

Z LAT MINIONYCH

szkice

Tom 1

M. Mcd. Jałowiecki

Pierwszy egzmeplarz

"Motto" moich pamiętników

Myśl moja cicha jak moja chata
Nad dym ojczystej wioski nie wzlata
Oko nie widzi dalej i szerzej
Jak do tych lasów jak do tych krzyży
Jak do tej wody co płynie srebrna
Czy większa mądrość ludziom potrzebna?

T. Lenartowicz

Z LAT MINIONYCH

szkice

M. Mcd Jałowiecki

Część I Dzieciństwo i szkoły
Część II Gaudeamus
Część III Na szerokim świecie

Mieczysław Jałowiecki

Z LAT MINIONYCH

szkice

- M. Med Jałowiecki

część I

Diecińatwo i szkoły

Londyn
1945

Mieczysław Jałowiecki

Spis Rzeczy

części I

ZACZAROWANA PARAFJA

Odwieczny bór sosnowy ciągnął się bez przerwy na przestrzeni niemal 100 wiorst od Wilna aż po brzegi jeziora Jesiaty w dawniejszym powiecie Święciańskim.

Na zachód i północ od Jesiaty krajobraz się zmieniał. Pokryte puszczą płaszczyzny przechodziły w malowniczy pagórkowaty porosły gajami i dębiną a bogaty jeziorami kraj górnej Litwy.

Syłgudyszki nasze leżały na pochyłości będącej pograniczem tych dwuch światów.

Z okien dworu syłgudyskiego ku południowi, ciągnęły się wdal jak morze, przesłonięte niebieskawą mgłą ciemne bory puszczy Łabonarskiej.

Parafja nasza obejmowała znaczną część tego leśnego kraju. Wieś Łabonary leżała w środku puszczy na polanie leśnej otoczonej z czterech stron borem. Kościołek górujący na okolicą położony na wzgórzu sypanym ongiś w czasach przedhistorycznych ręką ludzką powstał dopiero w drugiej połowie XVII wieku jako fundacja biskupów Wileńskich dawniejszych właścicieli i gospodarzy tego kraju.

Łabonarszczyzna wraz z przyległemi parafjami była ostatnim zakątkiem na Litwie dokąd przeniknęło światło wiary chrześciańskiej.

Otoczony długim łańcuchem jezior, nieprzebytemi obszarami błot i lasów kraj ten przez długie wieki pozostał nietknięty ręką cywilizacyi, jak by zastygł w swym pierwobycie, strzegąc zazdrośnie dawnych swych bogów, zwyczai i przesądów.

Przez długie lata chrześcianstwo szło tu w parze z zachowaniem dawnych obrządków pogańskich a święta katolickie w sposób przedziwny stopiły się pojęciowo z dawnemi uroczystościami poświęconemi bogom i boginiom litewskim.

Tak święta związane z Imieniem Matki Boskiej obchodzono bardzo solennie ale z pewną podświadomą domieszką pogańskich obyczai a święta katolickie nazywano w dawnym narzeczu pogańskiej Litwy.

Najbardziej uroczystym świętem w naszej parafji było Narodzenie Matki Boskiej obchodzone w dniu 8 Września a zwane z Litewska Świętem ,, Łabonarynie.

Swięto to było połączone z jarmarkiem i odpustem i był to bodaj jedyny dzień w roku w którym zjeżdżano się do tego leśnego odludzia z dalekich okolic.

Właściwie nikt z ludnosci miejscowej oprócz proboszcza i zakrystjana nie potrafił wytłumaczyć co to było za święta. Człowiek miejscowy spytany przez przybysza o przyczynie uroczystości zamiast odpowiedzi otrzymał by tylko pogardliwe wzruszenie ramionami i zdziwienie że są na świecie ludzie, którzy nie wiedzą co to jest ,, Łabonarynie!

Święto to było z różnemi obrządkami. Palono w puszczy wielkie ognie śpiewano dawniejsze zapomniane pieśni a starzy ludzie grali na t zw Dudzie łabonarskiej -kobzie, gdyż sztuka grania na dudzie zachowała się jedynie w tej zapomnianej parafji.

Tańczono przy ogniskach wieczorami dawniejsze tańce litewskie jak suktinis " jak ,, ratas " a starzy opowiadali różne legendy z pogańskich czasów.

Naprózno proboszczowie łabonarscy starali się wykorzenić [redacted] pogańskie zwyczaje ale nie mogli aż do lat ostatnich przełamać niektórych zabobonów i tradycyi.

Niemieniej uroczyście obchodzona Zielone Swiątki t zw. na Litwie Sekminias , i Św Jana. Zwiastowanie wypadało w dniu pogańskiego swięta Bogini Wiosny/ Łaumie Josta /

Dziwny to był kraj ta Łabonarszczyzna , kraj napoły pogrążony w legendę , napoły w jawę , kraj cichy,leśny w którym człowiek tracił świadomość czasu i rzeczywistości,kraj zamknięty w sobie a tak mało dostępny.

A jednak kiedyś w pomroce dziejów musiało tu być ludno . Jakieś plemiona nieznane i moce ścierały się tu między sobą w gorących a krwawych walkach. Świadczą o tem liczne kurhany i mogiły ciągnące się kilometrami w puszczy łabonarskiej Nikt nie wie z jakiego czasu [redacted] z jakiego pobojowiska powstały [redacted] okrągłe otoczone wieńcem kamieni kopczyska. Nikt się tem nie interesował.

Czasem chłop puszczański drapiąc sochą pogorzelisko wyorywał jakieś bronozowe dziwolągi,ale co prędzej rzucał je z powrotem i zagrzebywał w żwirze aby czasem nie urzekło zło .

Gdzieś o kilkadziesiąt kilometrów życie płynęło wartkim korytem [redacted] pędziły z hałasem pociągi , kotłowało się w mrowisku ludzkim ... tu panowała majestatyczna cisza , przerywana jedynie szumem boru dalekim krakaniem kruka ciągnącego po nas lasem lub kwileniem jastrzębi.

Po stronie północno zachodniej pojezierza łabonarskiego kraj stawał się ludniejszy , rozsiadły się tam liczne ukryte w zieleni sadów owocowych zamożne wsie , raz wraz strzela wgóry wieżyca koscioła lub nad jeziorem bieleją biały mury jezuickiej fary.

Spotykamy tam ciągnące się nieprzerwanym łańcuchem od brzegów dolnego Niemna sypane ręką ludzką wzgórza dawniejsze strażnice zwane po litewski ,, Piłkalnis " od słowa „pilt" - sypać , kałnas - góra.

Służyć one miały do dawania znaków , do sygnalizowania ruchów krzyżackich. A gdy gdzieś pod Rosieniami na głębokiej Żmudzi zapalono na wzgórzu pierwszy ognień płonęła Litwa cała aż po obronne mury Nowogródka tysiącem ogni . Chowano się w takich chwilach z dobytkiem po niedostępnych uroczyskach leśnych lub wyspach otoczonych obszarem błot i trzęsawisk .

W okolicy Syłgudyszek mieliśmy kilka takich piłkalnisów, mających formę wału otoczonego fosą . Na szczycie tych kopczysk znajdywano zwysporo popiołu , węgla , opalonych ogniem głazów , zardzewiały toporki i krótkie miecze.

W odległości 8 wiorst na północ od Syłgudyszek na wzgórzu pomiędzy dwoma jeziorami o jakiejś dziwnej zielonawej a przeroczystej toni , leżała kościelna wieś Tawrogimy.

Setki podań krążyły po okolicy o tych Tawroginach.
Podobno miało tam być kiedyś bardzo dawno wielkie miasto. Jezioro pochłonęło osiedle ludzkie , miejscowa ludność twierdzi że w noce księżycowe słychać głos dzwonów dochodzących do uszu ludzkich z głębin wodnych.

O Pilka staj od wsi ku zachodowi wznosi się góra będąca najwyższym

miejscem na Litwie . Na szczycie widać zwaliska jakichś budowli i gruzy głazów i cegły. Góra ta nosi nazwę „Tauropilis".

Przypuszczać należy, że kiedyś w czasach bardzo odległych Tauroginy leżały na jakimś wielkim szlaku handlowym łączącym morze Bałtyckie ze Śródziemnym. Bo czem da się tłumaczyć fakt znajdywania tu licznych ozdób bronzowych które według zdania archeologów nosiły wyraźne cechy fenickie.

Czy słowa Tauroginy i Tauropile pochodzą od słowa Taurus - tur trudno dociec. W starożytnym języku litewskim który w całej krasie zachował się w tych zabitych od ludzi i świata parafjach , nie spotykamy tego słowa.

Być może że ten pierwiastek ma inne znaczenie i pochodzi z innych źródeł. Należy pamiętać że żaden z języków europejskich nie zachował w sobie tyle pierwiastków sanskryckich co język litewski.

Słowo ,, Stwórca " między innemi wymawia się identycznie po hindusku i po litewsku Wieszpats co znaczy-wszędzie sam ".

Nie ma też kraju europejskiego za wyjątkiem chyba szkockiego Highlandu gdzie się przechowało tyle miejscowości do których przywiązane są legendy i opowiadania o strachach i duchach.

W naszej parfji pełno było takich miejsc których unikano nocą jak zarazy. Straszyło u nas w Syłgudyszkach i na pobliskich mogiłkach, i na gościńcu koło pagórka i na rzece Kiemeszce i na brzegach Jesiaty i Łaumesty.

Wyrosłem w tym dziwnym,tajemniczym kraju , od dzieciństwa towarzyszyła mi rzewna melodja piosnki litewskiej , szum boru i plusk fal jeziornych.

Być może wpłynęło to na nasz sposób myślenia, na nasz stosunek do świata i ludzi.

Na zewnątrz byliśmy realni w życiu i w czynach, tem nie mniej ludzie naszego typu żyją życiem podwójnym; raz w świecie realnych a obok w świecie legend , podań i fantazyi.

Dobry czy zły los skazał nas na samotność. Jesteśmy odludkami a w naszej podświadomości odpust nawet jesienny w Łabonarskiej parafji pozostanie czemś więcej solennym od uroczystości koronacyi w Londynie lub otwarcia wystawy światowej w Paryżu

NAJAZD SZKOTÓW NA KUKUCISZKI

Jakim sposobem szkoci dostali się do najbardziej zapadłego zakątka Litwy jakiemi są parafje Kukuciska i Sugincka wie o tem jedynie Pan Bóg no i sami szkoci.

W każdym razie rodziny Macdonaldów z przydomkiem Mc Bury po polsku Bury oraz Davidsonów figurują w kronikach kościoła parafjalnego w Sugintach już pod koniec XVIII wieku , a że umieli się „tak po szkocku" dorobić i byli zamożni świadczą o tem liczne folwark lasy , młyny gorzelnie należące przeważnie do Macdonaldów , gdyż Davidsonowie już na początku XIX wieku opuścili sugindkie strony.

Siedzieli sobie Macdonaldowie twardo i zażywnie na Liliszkach, Anomyślu i innych folwarkach , skrzętnie dokupując co pokolenie ziemie lasy , jeziora aż wreszcie większość parafji sugindkiej i lwia część kukuciskiej nie licząc obszernego kwartału i kamienic w Wilnie przy ulicy Mostowej znalazły się w ich gospodarnych rękach.

Ludzie się ich bali , bo byli zadziorni , nosili się z wysoka a krzywd nie zapominali.

Z tych to Macdonaldów Burych wyszła moja Babka Anna Jałowiecka Oprócz znacznego posagu wniosła ona memu Dziadowi w wianie żelazną wolę i nieugiętą moc, [redacted] które były tak wybitną cechą charakteru mego Ojca.

Mimo swego cudzoziemskiego pochodzenia Burowie stali dosc wysoko w hierarchji szlachty wileńskiej a na początku XIX wieku byli już skoligaceni ze Żmudzią i Litwą. Świadczy o tem moja prababka / matka mojej babki / pochodziła z możnego rodu Rudominów panów na Hołonetach w powiecie Wiłkomierskim.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć że prababka była znana ze swego temperamentu i wojowniczego usposobienia i że ostatni zbrojny zajazd na Żmudzi w którym brała czynny udział powstał z jej inicjatywy i pod jej łaskawemi auspicjami.

Babka moja miała jedynego brata Józefa ,dziedzica całej fortuny, chudego o suchej [redacted] jastrzębiej ,a typowo szkockiej twarzy szlachcica.

Co parę miesięcy przed ganek dworu syłgudyskiego ,zależnie od pory roku zajeżdżała kareta lub powóz zaprzężony w cztery rosłe świecące bronzami karogniade klacze z wyliberjowanym stangretem i służącym na kozłach.

Wizyty były bardzo uroczyste . Dziad Józef w długim surducie i rękawiczce na lewej ręce zasiadał na kanapie . Rozmowa toczyła się poważnie o sprawach politycznych,mówiono w trzeciej osobie a więc brat , bratowa , szwagier, a nawet zapytania skierowane pod moim adresem nie wychodziły nigdy po za konwencjonalnie zakreślone granice.

Dziad mój Józef był ostatnim z męskich potomków Macdonaldów pozostawił po sobie cztery córki które odziedziczyły całą fortunę

Babka moja była z natury małomówna , ale czasem w rzadkich chwilach dobrego humoru umiała się rozkrochmalić a wtedy prawiła nam wnukom o historyi swojej rodziny , o jakichś zameczkach w dalekiej Szkocyi o krwawej bitwie z anglikami którą przegrali , o emigraci rodzin szkockich kiedy to przodkowie jej zaciągneli się na służbę w cudzoziemskim autoramancie za czasów sakich .

Opowiadała nam jak to dostali indygenat polski jako że pochodzili z udzielnych szkockich wodzów władców wysp zachodnich .

W długie jesienne wieczory kiedy wichura szalała na dworze a deszcz dzwonił po szybach okien lubiliśmy siadywać w pokoju babci.

Na kominie płonął ogień rzucając czerwone blaski na ściany i wiszące na nich fotografje i portrety.

Wrzystko tu było bardzo czyste , nakrochmalone , pachnące lawendą i sztywnę ale miłe i przyjazne. Z wielkiej komody mahoniowej jak z rogu obfitości pojawiały się pierniki , karmelki i różne dobre rzeczy a w rzadkich okazajach różne stare sztychy i ryciny na których figurowały dziwacznie ubrane postacie szkockich wojowników .

Pamiętaj wnuku zwykła mnie ostrzegać babunia że jesteś potomkiem tych dzielnych ludzi i nie bądź mazgajem.

Nie pchaj się na pierwsze miejsca ,ale nie pozostawaj wtyle a najlepiej stój sobie twardo gdzieś zboku a nie pozwalaj aby ci ciosano kołki na głowie bo to i nie po męsku i nie po szkocku

Powstanie 63 roku zrujnowało naszą rodzinę doszczętnie. byliśmy na skraju przepaści. Posag babki poszedł na ratowanie ojcowizny, na wykupienie dziada, na wychowanie dzieci.

Jednak ocalenie naszej rodziny od upadku zawdzięczamy nie tyle jej pieniądzom, ile żelaznej woli i rozwagi z którą prowadziła mego dziada i synów.

Po śmierci najstarzsego syna Ryszarda odpowiedzialność za rodzinę spadła na mego Ojca Bolesława. Był on zdolny , energiczny , ambitny nieodrodny syn swojej Matki która w nim pokładała wrzystkie swe nadzieje.

Z domu rodzinnego wyniósł on fanatyczne przywiązanie do ziemi rodzinnej głębokie podstawy moralne i ten tak swoisty praktyczny idealizm które cechowały moją babkę i mego Ojca i stawiły ich wysoko po nad poziom zwykłych zjadaczy chleba. idealizm płynący ze starych zamków , jezior i skał szkockiego Highlandu.

Żelazną wolą i pracą całego życia, mego Ojca powstały znowu nasze Syłgudyszki.Odkupiliśmy, nietylko nasze dawne ziemie skonfiskowane po powstaniu, ale znaczną częśc parafji Kukuciskiej i Łabonarskiej.

Marzenie mojej babki i ojca spełniły się.

Dzis poszło wrzystko w gruzy padły podcięte toporem aleje lipowe , lasy sady i rozłożyste jabłonie sadzone ręką moich rodziców.

Na zgliszczach dawnego naszego tak szerokiego życia kresowego jeno wilki zawodzą jesienią swą pieśń żałobną, a chmiel dziki i powoje pokryją na wiosnę zielenią zwaliska dawnego dworu ... a szkotów już się więcej nie znajdzie ani na lekarstwo w parafjach Suginckiej i Kukuciskiej

Jednego babunia nie mogła wybaczyć moim rodzicom było to imię Mieczysła którym w epoce popwstaniowej symbolicznie obdarzono mnie na chrzcie św.

Unikała używania tego imienia jak ognia a nie pamiętam, abym kiedyś z jej ust usłyszał wymówione moje imię nawet w skróconej formie.

Byłem dla niej wnukiem , czasem Makiem ale nie Mieczysławem bo kto widział okaleczyć na całe życie dziecko takim pogańskim imieniem.

K O S Z C Z Y C E

Z wysokosci portretu zawieszonego w sieni dworu Syłgudyskiego patrzyła na mnie grozna twarz szlachcica ubranego w granatowy kontusz wojewodzki z czerwonemi wylotami i białym żupanem spię pod szyję wielkim karbunkułem.

Obok wisiał portret pani o łagodnej twarzy o wysokim uczesaniu w sukni jedwabnej staroswieckiego kroju.

Artysta tak dziwnie umiescił oczy osob figurujących na tych portretach że że goniły one za widzem nawet aż do najdalszego kąta komnaty.

Nie lubiłem tych portretow i niechętnie zaglądałem do sieni szczegulnie o zmroku a wszelkiemi sposobami starałem się wykręcac aby mnie czasem matka nie posłała po jakis kłębek nici lub nożyczki zapomniane w sieni.

Jako dziecku nie przychodziło mi wowczas do głowy spytac kim był ow straszny szlachcic przesladujące mnie wzrokiem.

Ktoregos lata przyjechała do Syłgudyszek moja babka Elwira Ignacowa Witkiewiczowa , Szemiothowna z domu i dopiero z jej ust dowiedziałem się prawdy.

Ten szlachcic o marsowej twarzy- rzekła babunia - to jest moj dziad a twoj prapradziad Stanisław Koszczyc , starosta zarzecki, pan na Miadziole i dziedzic znacznej ongis fortuny.

Ta pani obok jest jego małżonka Anna z możnego rodu Woynow, ktorych podobizny możesz oglądac w kosciele sw, Jana w Wilnie.

Bog obdarzył ich szesciu corkami i jedynym synem na ktorego długo czekali.

Moja babka a twoja prababka była najmłodszą z Koszczycowieni mi i miała na imię Aniela i na tę pamiątkę matka twoja nosi rownież imię Anieli.

Płynie więc w tobie moj wnuku krew tego starożytnego rodu ktory wygasł gdyż ostatni z Koszczycow zginął w tragicznych okoli-

okolicznosciach o ktorych ci opowiem.

Dziad moj Koszczyc był człowiekiem dumnym zuchwałym o nieposkromionych charakterze. Siedział na swoim zamku w Miadziole mało się udzielając sąsiedztwu.

Jakem ci mowiła doczek li Koszczycowie wreszcie syna ktory był o rok młodszy od mojej babki.. Rosł zdrowo, był podobno żwawy i inteligentny jak na swoj wiek.

Nieszczęscie jednak chciało aby piastunka jego z powodu nieostrożnosci spowodowała jego smierc. Jak tam było trudno dociec prawdy według jednej wersji podobno upusciła dziecko schodząc ze schodow w zamku miadziolskim , według innej, położyła go przy sobie na łożku , zasnęła i przygniotła go we snie swoim ciężarem, na smierc.

Dziad moj w porywie rozpaczy i gniewu rozkazał nieszczęsną piastunkę żakopac żywcem do ziemi.

Za ten czyn szalenczy odpokutował całym swoim życiem. Pieszo odbył pielgrzymkę do Rzymu skąd przywniosł ciern z korony Chrystusa pana i własnym sumptem fundował koscioł sw Rafaała w Wilnie bowiem tak miał na imię synek.

Gdy podrosniesz trzeba abys odwiedził ten Koscioł i zmowił pacierz za spokoj duszy twego przodka i obejrzyj w skarbcu koscielnym złotą puszkę z cierniem, trzeba też abys zwiedził zamek miadiolski leżący w tym samym powiecie swięcianskim co i Syłgudyszki i kaplicę gdzie spoczywają groby Koszczycow.

Z prawej strony goscinca prowadzącego do miadzioła będącego dzis już w ruinie ujrzysz kaplicę murowaną ktora stoi na miejscu stracenia piastunki.

- A co się stało z corkami Koszczyca spytałem babunieę.

Jakem ci mowiła najmłodsza z siostr Aniela moja matka wyszła z zamąż za ojca mego Tadeusza Szemiotha pana na Dykteryszkach na Żmudzi. starsze zas corki a moje ciotki poslubiły:. .... -Turczynowicza, Marja- ks Mirskiego, ...-Straszewcza , generała wojsk·polskich, ...- Brzostowskiego, Anna - Hrebnickiego.

Dla twej wiadomosci powiem że portrety moich dziadow po skonfiskowaniu p zez moskali naszego Poszawsza dostały się w dziale Matce twojej.

Gdym po wojnie swiatowej gospodarząc majątku mojej żony [redacted] w kaliskim odwiedziłem na Kujawach Janow Krzymuskich w Wierzbiu Byłem zdziwiony gdym w hallu w Wierzbiu ujrzał dobrze mi znajome z czasow dziecienstwa porterty Koszczycow .

Jak się wyjasniło babka Jana Krzymuskiego była corką generała Tomickiego ożenionego z Straszewiczową Koszczycewną z domu a portrety dostały się do Wierzbia w spadku po Tomickich

PSY LEŚNE

Toń Jesiaty gładka i nieruchoma jak lustro odbijała lesiste brzegi Jeziora.

Cisza zaległa nad wodami i puszczą, liść się nie poruszył, tylko gdzieś daleko nad borem odzywało się kwilenie jastrzębia.

Ryba przestała ,, brać. Ani żarłoczny okuń, ani srebrnołuska płotka nie tknęły przynęty, pływaki leżały leniwie na powierzchni jeziora... zbierało się na burzę.

Cóż Wincenty trzeba wracać do domu - rzekł Dziadunio Antoni zwijając wędkę.

-Tak Wielmożny Panie tu w ,, kulu " jeziora tak nic nie czuć, ale tylko patrzaj kiedy chmura wyskoczy i burza najdzie.-

Poszedłem w ślady Dziadunia i zacząłem zwijać wędką.

,, Niechaj Panicz uważa żeby czasem nie ,, ożergać " wędowiska bo ryba już więcej nie wkąsi przynęty " rzekł Wincenty Kopaliński, rybak i dzierżawca naszego promu na Jeziorze Jesiaty.

Wyciągnęliśmy kotwicę wzięliśmy się z Wincentym za wiosła i wkrótce wypłynęliśmy na „plos" jeziora.

Od zachodu od strony Styrń i Łabonar niebo zaciągało się ogromną czarną chmurą.

Zerwał się wiatr, sfałdował powierzchnię jeziora, nadbiegły wielkie rzadkie pokryte pianą falę.

- Panoczku , rzekł Wincenty do mego dziada , nie dopłyniem już do Powieżyńcia trzeby zajechać do mojej chaty i przeczekać burzę.

-Ci wielmożny Pan słyszy ?

Dziadunio nadstawił ucho ,-to puszcza szumi - rzekł.

- Nie panoczku to nie tylko sama puszcza , puszcza tak nie szumi, to psi leśne wyją idąc na żer. Nie daj Boże w ta pora pod nich trafić.-

- Niech Wincenty teraz o psach leśnych nie opowiada, bo trzeba conajprędzej dojechać do promu.-

Była to ostatnia chwila , byliśmy o parę kroków od brzegu gdy zerwał się wicher i burza jakiej nie pamiętam. Chata Kopalińskiego leżała na samym brzegu jeziora, ale nim zdołaliśmy doskoczyć do przyźby byliśmy przemoczeni do koszuli.

Gdy przeszła pierwsza nawała burzy, a grzmot nieco się uspokoił Wincentowa zapaliła w piecu. Wkrótce na stole zjawiła się misa kwaśnego mleka , kartofle ze słoniną i jajecznica.

Dziadunio wyciągną też różne zapasy z koszyka, zrobiło się ciepło i przytulnie Grzmot się oddalał, tylko jeszcze deszcz strugami walił [redacted] i dudnił po oknach.

Zapalono fajki

- No -, rzekł dziadunio-niech nam teraz Wincenty opowie o tych psach leśnych.-

- Panoczku już niechaj on lepiej nie gada, rzekła żegnając się pobożnie Wincentowa - jeszcze nie daj Boże urzeknie i napędzi zło a do tego nastraszy on panicza.-

Nie taki on już tchórz Wincentowo rzekł dziadunio a niech rośnie na mężczyznę a nie na [redacted] jakiegoś bijuna*.

* z litewskiego tchórz

- Niech Wincenty opowiada.
- Tak, znaczysię Wielmożny panie człowiek nibyto to w mojej bytności cała życia, [illegible], siedząc nad jeziorem i to takim jak Jesiaty w samym tym srodku puszczy, na różna rzeczy napatrzył się i różna rzeczy nasłyszał się.
Jak kiedy tak ludziom nie kce się gadać, bo durniów na świecie wi-cej jak rozumnych jeden powie drugi przekręci aż wreszcie gadając prawdę sam na durnia wyjdziesz.
Zaafektowałem ja panoczku sam sobie, opowiadać tylko państwu znajomym i edukowanym dla ich niby to ciekawości.
Wielmożny Pan sam nie raz mnie deklarował, co nasza parafja Łabonarska była ostatnia nawróciwszy się na wiara chrystusowa.
Puszcze tu były dawniej haniebne, dróg niejakich, czasem bywało rok minie, zanim się kto od strony Ucian przez prom przeprawi.
W tamta pora kiedy już wszędzie na naszej Litwie naród zaczął żyć pod błogosławieństwem to w naszej parafji łabonarskiej jeszcze pogańskie paszkudztwo i zabobon był panowawszy..
Z ta przyczyna wrzystkie z przeproszeniem złe duchy, ci jakie inne myszkulancje byli uciekszy z tamtych stron i zagnieździwszy się w puszczy a w tej ich motji tak byli i psi leśne.
Jak Wielmożny Pan był młodszy pamięta jak na parę lat przed powstaniem byli my z Panem zabłądziwszy i doszli aż do tego jezierka co to naród nazywa „Wielniu upie" / Djabelska rzeka / na samy srodku rojstu. W tamtym miejscu to cała ich legowiska tych psów leśnych.
Jak kiedy powietrze dobra, tak ich nie ma, można spokojnie jechać ci iść przez środek puszczy, ale nie daj Boże kiedy podwórz zhardzieje i przyjdzie burza jak dziś, albo zawierucha zimą koło gromnicznej to ci człowiek, czy jaka inna żywioła pod nich trafi tak tylko zawyją i w drobne sprzęty podrą.
Za mojej pamięci nie jeden człowiek był w puszczy zginąwszy od tego paszkudztwa i nie jeden koń przepadł.
- A może to zwykłe wilki tak robią? rzekł dziadunio.
- Nu co to to nie, panoczku. Wilk tak on trzyma swoja meta, a do tego choć on krwiste żywioła, ale wrzystko on szanuje zakon Boży. a nawet kiedy konia podrze tak po sobie ściek i krew pozostawi bo takie ma przykazanie, a psi leśni żeby ich na rojsty "to żadnego, ścieku nie pozostawią po sobie" a tylko ci latem ziemia, ci zimą śnieg nastrzępiwszy się w koło a innego znaku nie ma.
- Ale dobrze, spytał dziadunio, czy widział ktoś psów leśnych.
- A jej panoczku, ze starszych tak wiele widziało i stary Mintowt z Mintowciszek i Ulczycki z Pojesiacia i sam Rewkowski co u pana teraz w Powiżyńciu swoich lat dożywa.
Ludzie gadają co oni żyją na gałęziach, na jedlinach przyczaiwszy się pod kolor, bo sierść mają zieloną, długą, a mordy tak trochę do człowieka podobne.
- A Wincentemu zdarzyło się kiedy widzieć.
- Słyszał panoczku tak słyszałem a widzieć chwała Bogu tak nie przy-

- szło się, raz tylko pamiętam w powstannym roku widziałem jak
- cośći było przeciągnowszy nad puszczą , ludzie gadali co psi
- leśne ,, padlinę wietrzą ". *
Zamilkliśmy deszcz ustał niebo zaczęło się przecierać mielismy jeszcze dobrych parę staj łódką do Powierzyńcia gdzie czekały na nas konie.

Było już dobrze po dziesiątej gdyśmy z dziaduniem wrócili do Syłgudyszek spotkawszy po drodze dwuch posłańców , wysłanych przez zaniepokojoną naszą nieobecnością matkę moją

WIARUS NAPOLEOŃSKI

Umysł dziecka posiada pewną jak by podświadomą zdolność utrwalani w pamięci obrazów i zdarzeń, które wyszły z ram codziennego dnia.
Miałem wówczas lat osiem musiało więc to być na zielone Swiątki roku 1886.

Pamiętam dobrze.. ranek był cichy słoneczny taki prawdziwie świąteczny . Dnia poprzedniego spadły deszcze . powietrze było aromatyczne przepojone oddechem pól i lasów i uroczystością dnia.
Szybko niosła nas czwórka złotych kasztanów , mierzynków, szerokim gościńcem na Mszę Sw. do naszej parafji sąsiedniej w Kukuciszkach.
Ludu zebrało się wiele jak to zwykle bywa na Zielone Swiątki.
Kosciołek drewniany z trudem mógł pomieścić zaledwie nieznaczną część wiernych, reszta modliła się pod gołym niebem w ogrodzeniu koscielnym w cieniu odwiecznych lip.
Przedostaliśmy się z Matką z trudem przez natłoczoną zakrystję, do naszej ławki kolatorskiej z prawej strony Ołtarza.
Msza się już rozpoczęła. Gdy przyszła kolej na Ewangelję i lud powstał, dojrzałem z przeciwległej strony dorodnego starego mężczyznę, nie mogłem go wcześniej widzieć gdyż był zasłonięty tłumem wiernych i służbą kościelną.
Był wysoki , chudy o twarzy ogorzałej, suchej o włosach i wąsach mlecznobiałych. Ubrany był w mundur ciemne granatowy z wysokim czerwonym kołnierzem, srebrnemi epoletami i czerwonym rabatem zapiętym na srebrne guziki.
W oczach stanęły mi ilustracja Andriolego do Pana Tadeusza, czytanego nam głośno przez Matkę dnia poprzedniego.
– Mamo spytałem cicho , czy to generał z Pana Tadeusza.
– Nie synku , odrzekła Matka , to ostatni z dwuch braci Horodeckich z
– Horodyczewa wiarus napoleoński, potem Ci wrzystko opowiem , teraz nie
– przeszkadzaj.
Zapomniałem o wrzystkim i wytężyłem wzrok aby go dojrzeć. Klęczał pobożnie w tłumie i tylko od czasu do czasu wsród pochylonych głów zajaśniała na chwilę jego biała czupryna.
Oprzytomniałem dopiero po skończonym nabożeństwie, kiedy to u nas na Żmudzi świętej lud zwykł spiewać suplikację .
Spiewy umilkły , celebrans skonczył , ludzie tłumnie zaczęli wychodzić z kościoła.
Uchwyciłem się kurczowo ręki matczynej.
– Mamo rzekłem zcicha ja chcę cobaczyć wiarusa.
– Dobrze Synku , spotkamy go napewno na plebanji.
Jakoż gdyśmy podeszli pod plebanje zobaczyliśmy naszego proboszcza w rozmowie z wiarusem. Zrozumiałem że mimo nalegań proboszcza śpieszył do domu i nie chciał pozostać na obiedzie.
Przeszedł koło nas oddawszy Matce mojej ukłon wojskowy.

Wzrok jego padł na moją twarz i przez chwilę oczy nasze się spotkały.
Uśmiechnął się do mnie życzliwie z pod białego wąsa i poklepał po ramieniu

- Czemu Jegomość rzekła matka do proboszcza nie zatrzymał Pana Rotmistrza w obecnych czasach, to wielkie szczęście być na obiedzie w towarzystwie oficera napoleonskiego.
- Robiłem co mogłem Pani Dobrodziejko, tłumaczył się Proboszcz, ale to taki odłudek, unika obcych, a przytem harda sztuka choć o sercu szczerozłotym.
- Ludzie się go boją ale szanują a gdy jakaś bieda to pierwsi do niego po pomoc i porad ę, nawet sprawnik ma rozkaz aby stać przed nim na baczność, choć to przecie ,, miatieżnik"

Już go wiecej nie zobaczyłem.

Jesienią tegoż roku byłem z rodzicami w Kukuciszkach na pogrzebie rotmistrza. Był taki sam cichy słoneczny dzień. Po polach snuły się już pajęczyny a lasy stały nieruchome w swej jesiennej krasie, purpurze klonów i dębów i pozłocie brzóz.

Narodu nagromadziła się moc wielka. Przyszli ludzie z sąsiednich parafji z leśnych Łabonar, górzystych Tawrogin i z dalekich Łyngmian a nawet aż z pod Ucian i Owanty

Zjechali się też sąsiedzi i krewniacy zmarłego, przyjechali sędziwi bracia Bronisze, i pan Kurmin ze Skuduciszek i pan Butler z Sugint i pan Stefan Jałowiecki z Jassan i pan Romuald Malecki i Sidoryszek . [illegible] z Księżyna i p. Jałowiecka z Podlisia i [illegible]

Ksiądz skończył posypały się grudki ziemi na trumnę zaczęto zasypywać dół.

Któryś ze starszych panów przemówił w serdecznych słowach wspominając życie i zasługi zmarłego, a białowłosy Wincenty Trynkun gospodarz ze wsi Trynkuny, powtaniec 63 roku po litewski powiedział jak to pan rotmistrz pomagał i ratował ludzi i jak był kochany przez ludność okoliczną.

Umocowano nad mogiłą wysoki biały krzyż z męką pańska a poniżej zawieszono mały krzyżyk na czarno granatowej wstążeczce.

- Mamo co znaczy ten krzyżyk spytałem Matki
- Pamiętaj synku, to krzyż „virtuti militari" nasz polski krzyżyk za męstwo a stoi na nim wypisane

,, Honor i Ojczyzna "

- Zapamiętaj to sobie synku rzekła.

POGRZEB CARA ALEKSANDRA II

Najstarsze wspomnienia moje sięgają śmierci Cara AleksandraII w roku 1881 zamordowanego przez grupę rosyjskich terorystów.
Stoi mi w oczach wysoka postać mego Ojca wówczas pułkownika inżenierów wojennych w szerokim płaszczu mikołajewskim, z hełmem ozdobionym białym pióropuszem na głowie, z pod płaszcza wyglądały palone buty z ostrogami i ciężki pałasz w metalowej pochwie.
Przed naszym domem w Petersburgu stały sanie pokryte niedźwiedzią skórą a stangret Jefim na wyciągniętych z ruska rękach z trudem przytrzymywał parę czarnych orłowskich kłusaków przebierających niecierpliwie nogami.
Ojciec mój mimo udziału w powstaniu 63 roku zachował jednak pewien sentyment dla osoby Aleksandra II, sentytment którzy podzielali wrzyscy którzy zetknęli się z nim przed powstaniem a przedewrzystkiem byli wychowańcy Mikołajewskiej szkoły inżenierów wojennych i Akademji
Te podswiadome uczucie przyjazni wypływało ze stosunków panujących w owych bardzo postępowych jak na owe czasy wojskowych zakładach naukowych. Nie należy zapominać że większosc podchorążych w szkole inżenierów wojennych i oficerów w akademji składała się z młodzieży polskiej przeważnie z Litwy i Białejrusi.
Młodzież tłumnie dążyła do tych jedynych naówczas zakładów dających fachowe wykształcenie a znanych z prądów liberalnych które w nich panowały. Z tych to uczelni wyszli znani działacze i liberałowie rosyjscy, wielcy uczeni i profesorowie.
Z polaków wielu zajęło następnie wybitne stanowisko w swiecie technicznym przemysłowym i naukowym.
Powstanie znacznie przerzedziło szeregi podchorążych, wielu z nich zginęło wielu emigrowało zagranicę. Ojciec mój ciężko chory dostał się w pierwszych dniach wybuchu do niewoli i jedynie dzięki wstawiennictwu Cara jako prymus szkoły został ułaskawiony i otrzymał pozwolenie ukończenia następnie studjów.
W każdym razie w okresie poprzedzającym wybuch powstania na korytarzach słyszało się więcej polskiej niż rosyjskiej mowy.
Aleksander II mówiący dosc płynnie po polsku zwykł sie zwracać do polaków w ich ojczystej mowie, a mając słabość do młodzieży polskiej otaczał szczegulną opieką oba zakłady.
Opowiadał mi kiedyś Ojciec że w czasie wielkich manewrów w roku poprzedzającym powstanie szkoła inżenierów wojennych bardzo umiejętnie i szybko przerzuciła pontony przez rzekę Newę pod Petersburgiem.
Aleksander II stojąc na wysokim bzregu rzeki zawołał do pracujących w dole podchorążych ,, Dobrze chłopcy!
W dniu wybuchu powstania car wypadkowo znalazł się w szkole chciał się zwrócić do stojących w szeregu skamieniałych w pozycyi na baczność podchorążych, łzy mu stanęły w garle i rozpłakał się głośno.
Do końca życia zachował Aleksander II żal do polaków a szczegulnie do wychowańców szkoły inżynierów wojennych za powstanie. Zwykł był twierdzić że polacy własną ręką przekreślili wszlkie możliwości poprawy ich warunków politycznych i to w przedeniu daleko idących re-

form.
Pomimo tego Aleksander II nie mógł podobno odboleć skazania na śmierć kapitana inżynierów wojennych Sierakowskiego , poruczników Maleckiego i Staniewicza.
Jak się okazało Murawjew miał to uczynić na własną rękę i nie przesłał rozmyślnie petycyi o ułaskawienie we właściwym czasie do Cara. Było to główną przyczyną oziębienia stosunku Aleksandra II do Murawjewa.
Szkoła i akademja inżenierów wojennych do ostatnich czasów mieściły się dawnym zamku Cara Pawła I.
Była to olbrzymia [illegible] budowa z szarego granitu otaczająca z czterech stron dziedziniec zamkowy , położona samotnie wśród rozległego parku na brzegu rzeki Fontanki.
Historja gmachu związana jest z tragiczną śmiercią cara Pawła I zamordowanego przez grupę spiskowców [illegible] wśród których znajdował się następca tronu późniejszy car Aleksander I.
Duch Pawła I miał się często ukazywać na korytarzach zamkowych w godzinach nocnych i z tej zapewne racyi weszło w tradycję szkoły pełnienie nocnej warty po dwuch.
W wielkiej tak zwanej ,, sali aktowej " na ścianach umieszczono tablice marmurowe z wypisanych na nich naszwiskami i rokiem prymusów szkoły. Z rozczuleniem wyczytałem pod rokiem 1865 nazwisko mego Ojca.
Głównemi aktorami [illegible] ponurej sceny zabójstwa Aleksandra II byli [illegible] członkowie organizacyi terorystycznej Żelabow [illegible] . Na szczęscie wśród spiskowców nie było żadnego polaka.*
Posłużyło by to jedynie pretekstem do dalszych prześladowań i tępnienia narodu Polskiego.
Należy zresztą podkreślić że skrytobójstwo nie leży w naturze Polskiej, i że wszystkie zamachy teroryst[y]czne w Rosyi odbyły się bez udziału polaków.*
Na dobro Aleksandra II należy zapisać bardzo szeroko zastosowaną następnie amnestję względem najbardziej skompromitowanych byłych podchorężych między innemi [illegible] kapitana inż wojennych Jana Koziełł Poklewskiego ,wojennego komendanta miasta Warszawy i syna naszego sąsiada z Sidoryszek porucznika inż woj. Kacpra Maleckiego.

*. To nie jest prawdą. Niestety muszę tę moją niedokładność [sprostować] gdyż wśród trzech osób odpowiedzialnych za zabójstwo Cesarza Aleksandra 2-go w dniu 13 Marca 1881 roku wymieniono Zofii Perowskiej, Rysakowa i Hryniewieckiego ten ostatni był na nieszczęście Polakiem chociaż renegatem
Ignacy Hryniewiecki powiedział do polaków „jeśli pójdziecie do boju ja z wami, ale wobec waszej martwoty ja idę do „russkich"

D Z I E D Z I C E

N A   A N T O Ł O M I E S C I U

Sąsiadowali z nami o miedzę. Dwór był stary wrośnięty w ziemię oparty wstydliwie o ciemną scianę jodeł.

W Syłgudyszkach niechętnie mówiono o dziedzicach Antołomieścia Niewiadomo było skąd przybyli , jak długo tam siedzieli co robili.

Dwór stał na wzgórzu na wyniosłym brzegu jeziora Łaumesty pokrytym zapuszczonym i zarośniętym parkiem spuszczającym się aż do samej wody.

Ongiś musiało być tam ludno i zamożnie świadczyły o tem rozwalone ściany jakichś budowli murowanych i gorzelni.

Za czasów mego dzieciństwa mieszkał tam samotnie ostatni z [illegible] Dziedziców Od czasu do czasu pamiętam odwiedzał naszego krewnego starego rezydenta zwanego stryjaszkiem Feliksem [illegible] Nosił czapkę wojskową z czerwonym otokiem.

Nie mogłem nigdy dowiedzieć się o celu wycieczek naszego sąsiada ani tematu ich rozmów. Stryjaszek zwykł zbywać moje zapytania niechętnym machnięciem ręki.

Potem ustały i wizyty , ostatni z dziedziców zmarł , dwór opustoszał jeszcze głębiej wrósł w ziemię a szpaler, jodłowy pogrążył domowstwo w wieczny cień przez który nie przenikał żaden promień słońca.

Dzierżawca mieszkał w sąsiedniej oficynie nie troszcząc się wcale o tem co się tam działo we dworze.

Jako dziecko lubiłem się z memi rówieśnikami zakradać przed dwór [illegible] antołomieski mimo że był oddalony o kilka wiorst od naszych Syłgudyszek.

Było coś dziwnie nieprzyjemnego w całej atmosferze tego pustkowia jakiś dziwny smutek [illegible] z przyczajonym lękiem wiał z każdego zakątka siedziby.

Wśród ludu dwór nie cieszył się dobrą sławą . Nikt z okolicznych włościan nie lubił przejeżdżać nocą w pobliżu dworu lub traktem po drugiej stronie jeziora mijać cmentarz na którym spoczywały prochy rodziny Dziedziców na Antołomiesciu

Mówiono że często na nowiu widziano starego dziedzica jak siedząc okrakiem na beczce przeprawiał się z dworu przez jezioro aż na mogiłki. antołomieskie.

Konie mijając w nocy cmentarz parskały lub rzucały się raptown: w bok a rwały tak że trudno było utrzymać ich w lejcach.

Zła opinja dworu ciążyła nad całą okolicą i jeziorem Łaumestą Częste tam były wypadki utonięcia a nawet ryba nie chciała tam brać przynęty i jezioro było ubogie w rybę.

Lata mijały nikt ze spadkobierców nie zajrzał do Antołomiescia Dopiero w latach dziewięćdziesiątych dowiedzielismy się pocztą pantoflową ,że dwór jest do wynajęcia jako letnisko.

Trzeba trafu że zamieszkali tam nasi krewni którym zależało na kilku miesiącach zanim nie ukończono remontu w ich dworze.

Matka moja spiesząca zazwyczaj każdemu z pomocą przysłała zawczasu majstrów i robotników , odnowiono piece, uporządkowano komnaty i wietrzono aby usunąć jakiś dziwny zaduch ziejący z zaniedbanego domowstwa.

Matka moja nie dawała wiary różnym opowiadaniom o dworze antołomieskim musiała jednak wkrótce przekonać się o słuszności krążących po okolicy plotek.

Krewni moi nie zaznali ani jednej spokojnej nocy . Meble przesuwały się bez szelestu z miejsca na miejsce , ktoś przewracał stronice ksiąg , słychać było jęki lub [redacted] kroki .

Trwało to parę tygodni gdy wreszcie pewnej nocy zegarek mego kuzyna przeleciał wieczorem ze stolika nocnego i upadł z trzaskiem w dalekim kącie pokoju a szkło się nie roztłukło i mechanizm nie uszkodził , krewni moi mieli dosyć Antołomieścia.

Dnia następnego spakowali rzeczy i przenieśli się na parę tygodni do nas.

Gdym w roku 1905 dowiedział się że Antołomieście jest na sprzedarz chciałem z Ojcem nabyć ten folwark dla zaokrąglenia granic.

Było już blisko zawarcia aktu kupna gdy pewnego wieczora przyszedł do mnie sędziwy Jan Trynkun gospodarz sąsiedniej wsi , dawny zaufany sługa mego dziada.

Gdysmy pozostali sami rzekł do mnie w te słowa.

- Paniczu słyszałem co Starszy Pan chce kupić Antołomieście jestem
- waszym starym oddanym sługą powiem jedno. Niech was ręka Boska
- strzeże od tego kupna . Tam wielkie nieszczęście leży w tym dwo-
- rze, tajemnicy wyjawic teraz nie mogę,ale gdy przyjdzie czas
- opowiem wrzystko Starszemu Panu.

% Jakoż w następnym roku stary Jan posłał po mego Ojca nie mogąc
- ze względu na osłabienie przyjść do dworu.

Co tam mówili nie wiem , ale Ojciec mój przez kilka następnych dni chodził dziwnie smutny i zadumany.

„ L U C Y "

Dom nasz w Petersburgu stał na wyniosłym brzegu Newy nad traktem łączącym Petersburg z fortecą Szluselburgską i jezirem Ładoga.
Po drugiej strnie szerokiej majestatcznej Neki czerwieniały mury osady fabrycznej a dalej jak okiem sięgnąć ciągnęły się tundry i lasy aż hen ku wybrzeżom Morza białego.
Za domem i parkiem widać było zabudowania [redacted] Aleksandrowskich zakładów Budowy Parowozów i wagonów największych w owych czasach w całym panstwie. Za czasów mego dzieciństwa Ojciec mój był dyrektorem naczelnym tych zakładów.
Wysoki płot oddzielał naszą posesją od sąsiadującej z nami parafji szkockiej.
Szkoci w owych czasach stworzyli w tej częsci Petersburga potężną a zamożną kolonję przemysłową. Posiadali oni wielkie przędzalnie t zw. Newskiej Manufaktury, sławną w Rosyi fabrykę sukien Torntona, papiernie, wreszcie wielkie browary których dyrektorem naczelnym był również polak nasz sąsiad z Litwy pan Jan Malecki.
Zakłady Aleksandrowskie należały wówczas do głównego towarzystwa kolei żelaznych w Rosyi następnie upaństwowionego wraz z siecią kolei Mikołajewskiej łączącej Petersburg z Moskwą i Petersburgsko - Warszawskiej.
Wsród inżynierów pracujęcych pod kierunkiem mego Ojca było sporo szkotów i polaków.
Jak wszędzie na swiecie gdzie tylko stąpi noga szkota potrafi on w prędkim czasie stworzyć własną zamkniętą od swiata zewnętrznego kolonję żyjąc własnym życiem i patrząc z wysoka na autochtonów mało się z nimi łącząc szczegulnie w życiu prywatnym.
W tej częsci Petersburga szkoci posiadali własny club, place tenisowe, żaglówki na rzece , swoje sklepy kolonjalne, swoje piekarnie no i rzecz oczywista własną parafję z kościołem i szkołą.
Pastorem szkockim a zarazem kierownikiem szkoły był „ Rev. David I. Key " . / Tak miał wypisane na lsniącej miedzianej tabliczce na drzwiach swego mieszkania/ Do pomocy miał miłą przystojną brunetkę z Edynburga Miss Mary Logan.
Za namową babki rodzice [redacted] oddali mnie do tej szkoły gdzie miałem odebrać elementarne wykształcenie i nauczyć się języka angielskiego.
Spędziełem tam dwa lata.
Szkoła była koedukacyjna a ja sąsiadowałem [redacted] z małą niebieskooką Lucy Maxwell córką zamożnego własciciela przędzalni.
Lucy była najmilszą towarzyszką mego dzieciństwa . Uczyliśmy się i bawili wspólnie a ja zapałałem do niej gorącą pierwszą miłością.
Nie było rzeczy której bym nie zrobił dla drogiej Lucy. Odrabiałem jej zadania, i obdarzałem najcenniejszemi skarbami jak n.p. rzadkie znaczki pocztowe, lub, modne w owym czasie, pierwsze stalówki aluminjowe.
Pewnego dnia Matka przeglądając moje podręczniki szkolne z niemałym zdziwieniem odkryła wypisane atramentem na każdej stronicy książki imię Lucy.
Niestety w następnym roku zmuszony byłem do przejścia do rosyjskich

szkół rządowych.
Z żalem opuściłem moich szkockich nauczycieli i towarzyszy zabaw unosząc w pamięci świetlany obraz mego ideału.
Gdym w trzydziescia lat potem zetknął się na konferencyi w Paryżu z Delegacją Brytyjską jakże byłem zdziwiony, gdym wsród personelu wypadkowo odkrył w zgryżliwej a bynajmniej nie ładnej starej pannie zmienioną do niepoznania moją pierwszą miłość.

W Y J A Z D D O S Z K O Ł

- Sejou rutu , sejou metu
- Sejou ir leleju.........

Gdzieś daleko za jeziorem zerwała się piosnka , odbiła echem o powierzchnię wód i zamilkła w powietrzu
Miało się ku wieczorowi.
Uzbieraliśmy pełne po brzegi kosze grzybów nie jakichś tam opieńków , jedliniaków czy maślaków ale prawdziwych borowików i aromatycznych sosnowych rydzów, co to prosto z patelni ,, same idą w usta ".
Włosy i ubranie miałem pokryte pajęczyną i igliwiem a twarz i ręce umurusane grzybami, wdychałem pełną piersią powietrze wieczorne pachnące sosniną , uwiędłemi liśćmi [redacted] i mchem.

Zakończyliśmy grzybobranie. W oczach migotały mi wciąż rydze ukryte w igliwiu, a w głowie się kręciło .
Wyszliśmy wreszcie z zagai sosnowych uroczyska Paramawities na wysoki brzeg jeziora Jesiaty.

Na dole lśniła przezroczysta , zielonawa toń jeziora na którą zachodzące słońce kładło ostatnie różowe blaski. Stanęliśmy oczarowani pięknością widoku i kolorytem naszej wczesnej litewskiej jesieni.

Raptem coś boleśnie ukłuło mnie w okolicach serca i przypomniało natarczywie że dziś to ostatni dzień wakacyi i że na jutro na noc mamy jechać do dalekich Nowo-Swięcian, a ztamtąd koleją do Petersburga do szkół.
Obawiałem się jek ognia tego dnia , pożegnania domu rodzinnego moich przyjaciół ludzi i zwierząt a przedewszystkiem mego ulubieńca Dukata , ogiera złotego kasztana .

Tamując łzy które mi stanęły w gardle zasiadłem do ostatniej kolacyi. Niesmakowało mi ani mleko kwaśne z młodemi posypanemi koperkiem kartoflami ani grzyby duszone w smietanie ani kurczęta.

Uczepiony ręki zacnego pana Erazma Downarowicza , rządcy Syłgudyszek , olbrzyma o łagodnych niebieskich oczach i złotym sercu dnia następnegp skoro świt byłem już z nim w folwarku Powieżyńcie gdzie zaczynano kopać kartofle.

Poranek był jasny i cichy. Szron trzymał się jeszcze na murawie liść bez szelestu opadał na ziemię.
Mgły stały nisko w dolinach. Nad ziemią snuły się dymy z ognisk na których pastusi piekli kartofle . Pachniało zwiędłą łęciną i dymkiem.
Z sercem przepełnionym tęsknotą a kieszeniami napchanemi pamiątkami z Syłgudyszek w więc flaszeczką napełnioną wodą z Jesiaty , pękiem włosia wyciętego pokryjomu z ogona Dukata , kozikiem i jakiemiś sznurkami usadowiłem się na koźle obok starego Mateusza i ruszyliśmy w drogę.

Jechaliśmy gościńcem leśnym na Podłaboszkę, Wasiliszki, Kołtyniany aż wreszcie wynurzyliśmy się z lasów na szeroki trakt przecinający kolej pod stacją Nowo-Święciany.

Zmęczony tęsknotą, podróżą i monotonnym stukaniem pociągu zasnąłem snem twardym czasem słyszałem przez sen gwizd lokomotywy lub przeciągły dzwonek na jakiejś małej odludnej stacyjce.

Ranek obudził mnie w Gatczynie, ostatniej stacyi przed Petersburgiem słynnej z dobrego bufetu i świetnej kawy.

Nie było już czasu na rozpamiętywanie pociąg wtoczył się na niską równinę. Osiedla zaczęły się zagęszczać wreszcie w mglistej dali wysunęły się kontury Petersburga.

Machinalnie dopiąłem guziki mundurka i nazajutrz byłem już w szkole. Liceum Aleksandrowskie mieściło się w długich wymalowanych na różowo gmachach przy prospekcie Kamiennoostrowskim.

Dwuch majestatycznych szwajcarów w czerwonych płaszczach z pelerynami obszytemi na brzegach orłami cesarskiemi witało dobrodusznie i przyjacielsko wracającą z wakacyi młodzież.

Ubrany w nowy krótki mundurek z czerwonemi obszywkami na kołnierzu i mankietach i granatowych długich spodniach czekałem w szeregu t. zw. „pieriekliczki" czyli apelu.

Głowę i serce miałem jeszcze przepełnione wspomnieniami z domu i usiadłszy na swoim miejsce mimowolnie zacząłem szkicować jakieś wspomnienia z polowania i połowu ryb. Pogrążony w marzeniach zapomniałem całkiem o rzeczywistosci.

Zbudził mnie dopiero głos nauczyciela historyi Aleksandra Iwanowicza Czewakinskiego.

- Jałowieckij pożałujtie k doskie / Jałowiecki proszę do tablicy /.

Oprzytomniałem i z kawałkiem kredy w garści stanąłem przy tablicy i pod dyktando zacząłem pisać daty wypraw krzyżowych.

Pierwsze tygodnie w liceum były dla mnie pasmem udręczeń, gryzła mnie tęsknota a otoczenie rosjan kolegów było jakieś nad wyraz obce.

Dopiero od połowy Listopada zaczynała mi świtać nadzieja Bożego Narodzenia powrotu do domu, śniegu, łyżew i polowania z gończemi aż wreszcie nadszedł grudzień i radośny dzień wyjazdu z dworca Warszawskiego na ukochaną Litwę.

P I E R W S Z Y L I S

Głos ogarów coraz się oddalał , zaledwie chwilami dochodził do naszych uszu chrapliwy bas Fagociuty i dyskant Lutni czołowych psów sławnej na cały powiat Wiłkomierski sfory gończych. Psy pognały gdzieś daleko w lasy Wiżuńskie.

Stałem na przesmyku w Morgowaniu na brzegu głębokiego jaru przecinającego bory Jasańskie.

Poprzedniego dnia wypadł śnieg , powietrze było miękie , pachniało odwilżą , psy trzymały dobrze trop.

Krótki szary dzień zimowy miał się ku końcowi . Od rana mieliśmy już kilkanaście zajęcy i parę lisów.

Nie miałem tego dnia szczęścia. Gon szedł daleko ode mnie a wieczór już nadchodził.

Po raz pierwszy w życiu byłem na prawdziwym polowaniu z ogarami zaproszony do Jasan przez stryja mego Stefana.

W lesie panowała głucha cisza przerywana skrzeczeniem sojki przelatującej na gałęzie sąsiedniego dębu lub krakaniem wron ciągnących po nad borem na nocleg.

Powtarzałem sobie w duchu wrzystkie przykazania łowieckie mego dziadka , abym dobrze zakładał gdy szarak defiluje przedemną a mierzył krótko gdy idzie ,, na sztych". straciłem jednak nadzieję strzału.

Zajęty temi nie wesołemi myślami anim zauważył że granie psów zbliżyło się w moją stronę. Mogłem wreszcie odróżnić głosy każdego z ogarów.

Usłyszałem w gęstwinie jakiś szelest , zamajaczyło coś czerwonego ścisnąłem broń w garści. Na polanę wysunął się cicho lis i z kitą wyciągniętą w jedną linję sunął w stronę jaru o jakieś czterdziescia kroków od mnie.

Krew uderzyła mi do głowy. całą siłą woli opanowałem nerwy wziąłem lisa na muszkę zakładając jak się należy i pociągnęłem za cyngiel

Lis dał jeszcze parę kroków zatoczył się i padł bez ruchu. Oniemiałem z radości. Oprzytomniałem dopiero gdym usłyszał tuż przy sobie ujadanie sfory gończych które w każdej chwili gotowe były rozszarpać mi zdobycz. W ostaniej chwili zdołałem jednak uchwycić lisa tylne łapy i unieść wgórę. Nie wiem jaki by mnie spotkał koniec bo psy skakały dookoła mnie coraz natarczywiej , gdyby w tej właśnie chwili nie wynurzył się z gęstwiny sam Pan Boluta Brzeziński z Trombaciszek , sławny u nas myśliwy i szczęśliwy posiadacz ,, Fagociuty i kompanji.

Odegnał psy zagrał na trąbce ,, pogrzebowego"obejrzał dokładnie zdobycz i po namyśle wyrzekł.

-No - winszuję pierwszego lisa , dobrze trafiony.

Zebrała się wkrótce reszta myśliwych z stryjem Stefanem na czele. Panowie - przeówił do zgromadzonych pan Boluta , trzeba naszego Pana Mieczysława nawrócić na nasza wiara łowiecka i pasować na myśliwego.-

Po tej oracji umaczał palce w posoce lisiej i wysmarował moją fizjonowmję.
Mrok już zapadł nad ziemią kiedyśmy zajechali przed oświecony rzęsiście dwór jasański.
Był to dwór niski napoły kryty słomą , napoły gontem. Było tam ciepło przytulnie i po kawalersku, stryj Stefan stracił bowiem za młodu żonę i pozostał na resztę życia kawalerem.
Z sąsiedniego pokoju dochodził do uszu naszych miły brzęk ustawianego szkła i sztućców.
Byłem głodny a po wypiciu kieliszka starki ogarnęło mnie miłe uczucie . Z rozkoszą zasiadłem za dobrą porcją smażonej po litewskiv świeżej kiełbasy pachnącej majerankiem i cebulą i bigosu do którego stryj Stefan osobiście dolał kilka kieliszków Madery.
Jak że błogo po dniu spędzonym w kniei rozciągnąć się wieczorem w miękiej czystej pachnącej ziołami pościeli i zasnąć snem kamiennym aby potem nad ranem słyszeć przez sen jak służba zapała w piecu , jak trzaskają w ogniu smolne łuczywa.
Już dnieje , ale pokój tonie jeszcze w mroku. ogień z pieca rzuca czerwone światło i gra blaskami po ścianach. Drzwi się otwierają wchodzi Tomasz stary sługa stryja Stefana niosąc tackę z pachnącą kawą i garnuszkiem gęstej śmietanki z korzuszkiem, półmiskiem pełnym różnych wędlin i serów i rumianemi bułeczkami.
Zaczyna się pogadanka o pogodzie , o śniegu który wypadł w nocy o źrebaku który się onegdaj urodził od tej prawej klaczy lejcowej , no i rzecz oczywista o wczorajszym lisie .
Po wczesnym śniadaniu wyruszyliśmy ze Stryjem Stefanem do Syłgudyszek na wigilję. Pogoda się popsuła,powietrze wyostrzyło. Zawiał suchy mroźny wiatr podnosząc z pól smugi śniegu , zawiewając drogi i opłotki po wsiach. Jechaliśmy saniami szydłem , ale mimo to z trudem dopiero wieczorem dobrnęliśmy do Syłgudyszek.
Czakano na nas z niecierpliwością z opłatkiem i wigilją a rodzice moi mieli już wysyłać na nasze spotkanie konnych z kagańcami abyśmy nie zabłądzili w zawiei śnieżnej.
Zapytany o rezultat polowania milczałem skromnie ale wyręczył mnie zacny stryj Stefan głosząc moją sławę myśliwską.

C H R Z E S T N A

W rodzinie mojej od czasów niepamiętnych przestrzegano tradycyi aby jednym z rodziców chrzestnych był wieśniak z sąsiedniej wsi.
Chłopca mieli zwykle gospodynię jako chrzestnę a dziewczynki gospodarza.
Moją chrzestną była zamożna gospodyni, wdowa, Weronika Pełedas z sąsiedniej wsi Pełedy.
Odwiedzała często dwór syłgudyski przynosząc swemu chrzestniakowi w darze różne przysmaki swieże orzechy laskowe, miód, jagody, sery.
Lubiłem ją. [redacted] Była pogodna, miła a nie raz służyła Matce mojej radą w różnych drobnych kłopotach gospodarstwa domowego.
W dniu moich imienin na Nowy Rok zjawiała się przybrana w całej krasie litewskich barwnych samodziałów, z jedwabną chustą na głowie i ciężkim sznurem korali. Miała włosy jasne jak len, niebieskie oczy i piękną twarz.
Nazywała mnie zawsze z litewska w trzeciej osobie po imieniu. Dwuch swoich synów, towarzyszy zabaw dziecinnych, trzymała żelazną ręką i wychowała na dobrych i zacnych ludzi.
Rodzina Pełedów mieszkała na zaścianku w obszernej, ładnie przyozdobionej krytej słomą chacie z ganeczkiem porosniętym dzikiem winem.
Izby były czyste, zawsze dobrze wymiecione i posypane tatarakiem. Pachło swieżo pieczonym chlebem, ziołami i miodem.
Dom otoczony był obszernym sadem w którym latem brzęczały roje pszczół.
Co niedziela po nabożeństwie spieszyłem aby zobaczyć chrzestną i ucałować jej zacne spracowane ręce. Czekała na mnie przy swojej dobrze okutej i pięknie wymalowanej nietyczance zaprzęgniętej w parę okrągłych jak ogórki bułanych mierzynków.
Panowały u nas sw Żmudzi inne zwyczaje i stosunki i nie raziło to nikogo że panicz ze dwora całował rękę wieśniaczki. Stary Mateusz stangret z wysokosci swego kozła patrzący z pobłażliwą życzliwoscią na zgromadzonych przed kościołem parafjan względem chrzestnej zachowywał wielki szacunek i zwykł był mnie mówic że - Chrzestna to akuratna i sławna gospodyni na całą parafję kukucieka, a kiedy przystroi się na odpust do koscioła, to Paniczu ,, wprost alleluja":
Było to w czasie pierwszej rewolucyi rosyjskiej w roku 1905. Pozostałem sam na całą okolicę, bo Matka moja z siostrą wyjechały na czas dłuższy do Szwajcaryi od Ojca będącego w Petersburgu byłem odcięty gdyż strejki unieruchomiły koleje.
Wielu znas za czasów młodosci przeżywa okresy, które dadzą się porównac do wąskiej kładki zawieszonej nad przepaścią. Jak że błogosławiona jest życzliwa ręka która w takiej chwili pomoże do utrzymania równowagi i uchroni od stoczenia się w przepaść.
Jak że byłem bliski tej przepaści.
W ostatniej [redacted] chwili jak by wiedziony niewidzialną ręka opieki Boskiej zdecydowałem zasięgnąć rady Chrzestnej.

Kazałem zaprządz do sań i szydłem poprzez zawiane śniegiem drogi dostałem się do zaścianku. Gdym się rozgrzał, bo mróz był tęgi szkla neczką mocnego ciepłego krupniku wytłumaczyłem jak umiałem przyczynę mojej niespodziewanej wizyty.

Słuchała mnie uważnie.

- Paniczu rzekła , używając po raz pierwszy tego zwrotu, Zle panicz
- zrobi . A gdzie wiara , gdzie wola , gdzie honor. Nasi panowie z
- Syłgudyszek tego by nie zrobili.
- Czy to na to Pan Bóg dał człowiekowi wola aby go każdy za nos wodził.
- Szczupak w naszej Żejmianie tak on płynie swobodny w jedna i druga
- strona a z przeproszeniem słoma czy kawał drzewa płynie tam gdzie
- prąd poniesie.
- Wiem że panicz mnie swojej chrzestnej usłucha, bo jak nie to już moje
- oczy więcej nie chcą go widzieć , a uszy słyszeć.

Podeszła do łóżka odpięła jeden z wiszących tam medalików i zarzuciła mnie na szyję.

Usłuchałem !

Gdym wiosną roku 1918 po stracie rodziców cudem wydowstawszy się z więzienia bolszewickiego jako rozbitek przedostałem się do Syłgudyszek udałem się niezwłocznie do chrzestnej . Posiwiała , przygarbiła się a łzy potoczyły się gradem na mój widok.

We dworze syłgudyskim mieściły się urzędy niemieckiego krejsamtu Mnie po długich naleganiach przydzielono jakąś małą izdebkę na strychu w oficynie . Pobyt w tym otoczeniu był nad wyraz nieznośny, a widok orła pruskiego którym niemcy zawiesili herb nasz na dworze doprowadzał mnie do wściekłości.

Wrzystkie wieczory spędzałem u mojej chrzestnej na ich zaścianku Ta prosta wiejska kobieta potrafiła mi w tych ciężkich chwilach podnieść na duchu, uspokoić i poradzić.

Przyszedł grudzień 1918 niemcy jęli wycofywać się gwałtownie z Kowieńszczyzny na Litwę nadciągała szarancza bolszewicka. W ciągu kilkunastu minut musiałem w ostatniej chwili opuścić dom rodzinny tym razem na zawsze.

Nie widziałem więcej w życiu mojej chrzestnej , doszła do mnie wiadomość że zmarła wiosną roku 1919.

R O K 63 N A Ż M U D Z I

Jedną z najenergiczniejszych kobiet biorących czynny udział w powstaniu na Żmudzi była babka moja Elwira z Szemiothów Witkiewiczowa marszałkowa szawelska.

Należała do osób najbardziej skompromitowanych a sąd polowy w Szawlach skazał ją na śmierć . Jedynie dzięki wstawiennictwu jej ciotecznego brata szambelana dworu hr Adolfa Czapskiego z Berżan karę śmierci zamieniono zesłaniem na Syberje a dobra mego dziada Ignacego Witkiewicza zwane Poszawsze leżące w powiecie szawelskim skonfiskowano.

Dziadowie spędzili wygnanie w Tomsku na Syberyi zanim w pięć lat po powstaniu zostali ułaskawieni.

Towarzyszyły im starsze dzieci Stanisław, późniejszy znakomity malarz i krytyk i córki Marja i Eugenja.

Matką moją Anielą , najmłodszą z rodzeństwa zajęła się siostra Dziadka Generałowa Suchorzewska z Urdominy w Suwalszczyźnie i wój Franciszek Szemioth, emigrant 31 roku, mieszkający stale w Paryżu.

Matkę ulokowano w klasztorze angielskim „Au Dames Anglaises" pod Paryżem skąd wróciła do kraju w latach siedemdziesiątych.

Dziad Witkiewicz zmarł na rzece Obi w drodze powrotnej do kraju. Wdowa po powrocie zamieszkała w Suwalszczyznie a następnie w Warszawie skąd często odwiedzała nas w Syłgudyszkach.

Za czasów dzieciństwa mego słyszałem z ust jej wiele opowiadań o powstaniu i o powstańcach , o egzekucjach , różnych zdarzeniach z tego okresu, których była świadkiem.

Na jej oczach wykonano w Szawlach na placu miejskim wyrok śmierci nad ks Mackiewiczem i Staniewiczem. Dla podtrzymania ducha skazańców kilka kobiet między niemi i babunia postanowiły nie opszczać ich do ostatniej chwili.

W czasie egzekucyi były one na balkonie przyległego domu powiewając białą chusteczką i, czyniąc w powietrzu znak Krzyża Sw . Ostatnie westchnienie skazancy wydali patrząc w stronę mojej babki.

W czasie powstania dwór w Poszawszu był kwaterą główną sztabu powstańców. Nocami wysyłano stamtąd do oddziałów broń , prowjant i amunicję. Starsi synowie Ignacy i Wiktor chociaż bardzo młodzi brali czynny udział w powstaniu przekradając się przez kordony nieprzyjacielskie z rozkazami do partyi ukrywających się w lasach.

Wój Wiktor postrzelony w głowę i skazany na śmierć zdołał zbiedz do Francyi gdzie przyjmował następnie czynny udział jako oficer w wojnie francusko pruskiej i przetrwał oblężenie Paryża.

Między innemi dowiedziałem się z ust Babuni jak lud na żmudzi czynnie walczył z moskalami jak całe wsie zesłano następnie na wygnanie a ludnosc pomagała jak i czem mogła powstańcom.

Było to kontrastem rażącym stosunków panujących po tamtej stronie Niemna w dalekiej kongresówce gdzie chłopi częstokroć dobijali kijami powstańców i gdzie mogli denucjowali ich władzom moskiewskim.

Na całej Żmudzi przechowało się wspomnienie o tem jak sąsiedzi Poszawsza dawniejsi poddani dziada zebrali znaczną sumę pieniędzy w wysłali emisarjusza na Syberję aby pomódz moim dziadkom.

Znałem znaczną liczbę osób którzy za młodu brali czynny udział w powstaniu. Wielu z dawnych powstańców doszło do wybitnych stanowisk w swiecie przemysłowym , znaczna też liczba pozostała w Rosyi.

Z dawnych powstańców z któremi zetknąłem się na Litwie i Żmudzi pamiętam następujące nazwiska:
p. Pawła Kończy z Szeszołek Prezesa Zarządu Wileńskiego Banku Ziemskiego , Kazimierza Narutowicza ze Żmudzi. Stanisława Montwiłła senj z Traszkun. inż woj. Kacpra Maleckiego z Sidoryszek. Ignacego Witkiewicza znanego adwokata w Mińsku. Tadeusza Dowgirda z Plemborga na Żmudzi Jana Koziełł Poklewskiego , byłego komendanta miasta Warszawy woj inż. kawaleryi Legion d' Honneur . Wincentego Rewkowskiego rezydenta . bar Manteuffla , Rotmistrza Rymgayłłę z Gilwicz , Jana Kołyszkę z pow. Wiłkomierskiego.

[illegible]

Zauwyżałem że wrzyscy z byłych powstańców niechętnie mówili o powstaniu i unikali opowiadań o swoich przeżyciach.

Być może że epoka popowstaniewa nie sprzyjała odnawianiu tych bolesnych wspomnień. W okresie t zw. pracy organicznej rok sześćdziesiąty trzeci był poniekąd na indeksie.

Nie krytykowane powstania ani powstańców , mówiono o nich z szacunkiem tem nie mniej uważano rok 63 za wielkie nieszczęście narodowe.

Nawet w domu moich rodziców unikano poruszania tego tematu, który mógł doprowadzić do ostrej różnicy zdań.

Wyrosłem w atmosferze mało przychylnej i dalekiej od entuzjazmu dla powstania . towarzyszyła mi smętne nuta popularnej wówczas piosnki

Leci liście z drzewa
Co wyrosło wolne
Na mogile śpiewa
Jakieś ptasze polne

Nie było nie będzie
Polsko szczęścia tobie
Wrzystko się prześniło
I twa dziatwa w grobie

Popalone miasta
Poniszczone sioła
A w domu niewiasta
Zawodzi do koła

Wrzyscy wyszli z domu
Wzięli z sobą kosy
Robić nie ma komu
Giną w polu kłosy.

O polska kraino
Gdybyż ci rodacy
Co za ciebie giną
Wzięli się do pracy

I po garstce ziemi
Z ojczyzny zabrali
Toby dłońmi swemi
Polskę usypali

FREJLINA DWORU

Piękny jest Petersburg w mroźny słoneczny dzień lutowy. Snieg skrzypi pod nogami , lśni w słońcu , szybko bez szelestu mkną sanie biały tuman wali z pod kopyt końskich i osiada srebrnym szronem na kołnierzach bobrowych , na brodach stangretów ubranych z ruska w ciemnogranatowe wypchane poduszkami płaszcze opasane jedwabnym czerwonym pasem.

Okiść osiadła na drzewach w parkach i skwerach. Snieg grubą warstwą pokrył ulice , dachy i gzymsy domów.

W taki to dzień wracałem z liceum do mieszkania przy ulicy Koniuszennej gdzie wspólnie z memi kuzynami Józefem i Wincentym Koziełł Poklewskiemi staliśmy na stacyi u generałostwa Karłowiczów.

Szedłem zwolna Nabrzeżną Newy nie mogąc napatrzeć się do syta na zaprzęgi i konie z których w owych czasach Petersburg słynął na swiat cały.

Po jednej stronie miałem pałac zimowy dawniej rezydencję carowej Katarzyny II , olbrzymi dwupiątrowy gmach w stylu późnego baroccu wybudowany w koncu XVIII wieku według planu włoskiego architecty Rastrellego .

Po drugiej stronie za granitowym niskim ogrodzeniem rozciągała się ja okiem sięgnąć zamarznięta biała lśniąca w słońcu Newa, a dalej na przeciwległym brzegu zarysowały się w niebieskawej mgle kontury twierdzy Petropawłowskiej i wybrzeża wyspy Bazylewskiej.

Zwróciła moją uwagę para pięknych karych kłusaków zdążających w tę samą co i ja stronę.

Zapatrzony na konie nie zwróciłem narazie uwagi na siedzącą otuloną w futro postać kobiecą ani na stangreta z galonami stajen cesarskich naszytych na skrojonym moskiewską modą płaszczu.

W tej chwili ujrzałem na śniegu jakiś czarny przedmiot . Był to futrzany zarękawek który podjąłem , podeszłem do sań i wręczyłem właścicielce.

- Spasibo liceist- rzekła po rosyjsku

Dotknąłem ręką szkolnego piroga

W tej chwili poczułem na sobie wzrok nieznajomej i oczy nasze się spotkały

Sanie odjechały a ja jak oczarowany stałem w miejscu nie mogąc się ruszyć ani oderwać myśli od cudownej twarzy , okolonej złotą koroną włosów i szafirowych głębokich jak toń jeziorna oczu.

W powietrzu czułem delikatny zapach perfum

Wróciłem do domu zamyślony milczący , napróżno pytano się mnie o przyczynę tej nagłej zmiany.

Przestałem się interesować a rzeczy i sprawy które do niedawna mnie bawiły stały się całkiem obojętne.

Napróżno w dniach następnych wypatrywałem złotowłosą panię

Dopiero w parę tygodni po tem ujrzałem znajomą parę kłusaków . Sanie powoli jak by na czyjś rozkaz przesunęły się koło mnie.

Stanąłem jak wryty i ukłoniłem się jak umiałem. Odpowiedziała mi przyjaznym skinieniem [redacted] i pogroziła paluszkiem.
Straciłem na dobre głowę , całą siłą woli zmuszałem się do rzeczywistości i do nauki bo egzaminy wiosenne były już za pasem egzaminy od których zależało przejscie z klas ogólnokształcących do klas uniwersyteckich, liceum.
Nie zaniedbałem jednak moich [redacted] przechadzek , [redacted] parę razy mignęła mi zdaleka znajoma postać, ale konie minęły mnie nie zatrzymując się.
Nastał wreszcie Marzec , mróz zelżał . W powietrzu czuć było już przedwiośnie..
Pewnego dnia gdym szedł pogrążony w niewesołych myślach usłyszałem z tyłu [redacted]m tentent [redacted]kopyt końskich.
Zbliżała się do mnie kareta zaprzężona w parę rosłych szpakowatych kurtyzowanych koni w chomątach angielskich. Na koźle siedział wygolony ubrany w dworską liberję stangret i lokaj.
Kareta się zatrzymała, lokaj zeskoczył i z uszanowaniem uchylił drzwiczki .
Wysunęła się rączka kobieca i skinęła na mnie.
Czułem jak krew uderzyła mi do głowy musiałem być czerwony jak burak.
- Słuchaj chłopcze rzekła do mnie , jestem ciężko i beznadziejnie
- chora ... suchoty ... wyjeżdżam więcej mnie już nie ujrzysz, niech
- cię Bóg strzeże i prowadzi. Wyciągnęła rękę którą ucałowałem,
- łzy stanęły mi w garle nie byłem w stanie wymówić słowa.
Rzuciła we mnie batystową chusteczką .
- Zachowaj to - .. rzekła.
Drzwiczki się zamknęły , lokaj wskoczył na kozioł , konie ruszyły z kopyta.
Nastały dla mnie ciężkie czasy , dnie bez końca wlokły się jeden za drugim schudłem, zczerniałem i nadludzkim wysiłkiem przebrnąłem szczęśliwie przez egzamina.
[redacted] Pod koniec Maja po ukończyonym roku szkolnym wybierałem się do domu na wakacje.
Na parę dnie przed wyjazdem wyczytałem w gazecie oznajmienie o śmierci w Montreux w Szwajcaryi frejliny dworu.................
....

PAROWÓZ SERYI K

Przeciągły gwizdek fabryczny zwiastował przerwę obiadową. Zmieszany z tłumem robotników śpieszyłem do głównej bramy . Byłem ubrany w bluzę robotniczą i długie buty , a czarny od sadzy która mi osiadła na ubraniu rękach i twarzy w niczem nie odróżniałem się od reszty.

Od paru dni pracowałem jako czeladnik w kuźniach Zakładów budowy lokomotyw w Siole Aleksandrowskim pod Petersburgiem.

Uczyłem się tego roku dobrze i przeszedłem do następnej klasy bez egzaminów , skorzystałem z długich wakacyi aby część czasu spędzić zgodnie z życzeniem ojca mego na praktyce fabrycznej.

Przeskok od atmosfery liceum , jednego z najbardziej wyłącznych zakładów naukowych w Rosyi do środowiska robotniczego był dość gwałtowny a nikt w umurusanym robotniku nie poznałby na pewno młodzieńca który przed paru dniami paradował w pirogu na głowie i białych rękawiczkach na Nadbrzeżnej Newy.

Ale Ojciec mój był zwolennikiem hartowania i kontrastów twierdząc słusznie że nic tak nie zaprawia do życia jak zmiana otoczenia i warunków. Miał zresztą sentyment dla klasy robotniczej i zwykł był mawiać że wśród tych prostych ludzi spotykał więcej ludzi subtelnych i gentlemanów niż wśród t. zw. towarzystwa.

Zresztą w swoim życiu dał dowód wielkiej odwagi kiedy będąc za młodu oficerem gwardyi w porozumieniu ze swoją matką wystarał się o roczny urlop i wstąpił jako zwykły robotnik do Zakładów których w kilkanaście lat później był dyrektorem naczelnym.

W owych czasach postępek mego ojca wywołał wiele komentarzy nietylko w korpusie oficerów gwardyi ale i wśród ziemiaństwa na Litwie.

Ojciec mój będąc człowiekiem z natury bardzo wyrozumiałem i szanującym przekonania każdego miał jednak swoje ,, ale ".

Nie znosił zarozumiałych półinteligentów i miał wrodzoną niechęć do sfery urzędniczej rosyjskiej.

Był natomiast ojcem dla ludu pracującego który odwdzięczał mu niekłamaną sympatją . Ojciec mój był jednym z pierwszych którzy podjęli pracę nad polepszeniem bytu robotnika a zakłady których był dyrektorem pod względem urządzeń dla robotników uważane były za wzorowe w całym państwie. Podjął on walkę z analfabetyzmem i pijaństwem tą plagą życia robotnika rosyjskiego. Założył kluby , czytelnie kasy oszczędnosci , miejsca rozrywkowe , teatry etc.

Gdy padeszła fala strejków [redacted] robotniczych Zakłady Aleksandrowskie były spokojną wyspą wśród burzliwego morza zamieszek socjalnych.

Pierwsze moje dnie pobytu na fabryce były [redacted] męczące. Po kilku godzinach walenia młotem czułem ból w mięśniach i stawach. Dość jednak prędko zaaklimatyzowałem się w nowym otoczeniu i zapomiawszy o liceum wsiąkłem całkowicie w atmosferę robotniczą

Odkryłem w życiu fabrycznym wiele cech dodatnich. W huku młotów turkocie maszyn w szalonym obrocie trybów i przekładni tkwiło coś męskiego, jakaś tężyzna a nawet pewien rodzaj poezyi.

Zakłady aleksadrowskie składały się z dwuch samodzielnych jednostek fabryki lokomotyw i zakładu budowy wagonów odległych od siebie o 5 kilometrów i połączonych linją kolejową.

Każda z fabryk składała się z oddziałów jak kuźni , kotlarni , odlewni etc. Na czele oddziałów stali t zw ,, starsi majstrowie ". Za czasów mego ojca większośc kierowników oddziałów byli dypl inżynierowie polacy.

Jedynie na czele kuźni pozostał [redacted] wysoki chudy szkot nazwiskiem Pratt.

Kuźnie fabryczne w których pracowałem mieściłły się w długim na cwierć kilometra wąskim budynku . Wzdłuż ścian z dwuch stron były warsztaty kowalskie na których odkuwano ręcznie mniejsze części parowozów po srodku [redacted] olbrzymie młoty parowe.

Każdy z majstrów kowalskich miał do pomocy dwuch robotników t zw. po rosyjsku ,, mołotobojców " i jednego czeladnika.

Ziemia trzęsła się od uderzenia młotów parowych a huk był ogłuszający. W półmroku panującym z powodu sadzy unoszącej się w powietrz[redacted] jaśniały fejerwerki iskier buchających z pod młotów kowalskich i swiatło rozgrzanego do białości żelaza.

W powietrzu czuć było siarką , sadzą i rozrzarzonym koksem.

Obok kuźni w olbrzymich halach mieściły się wielkie piece i odlewnie. Nocą buchały z tych pieców czerwone zarzewia oświecające niebo i całą okolice złowieszczą łuną.

Nie bez uczucia ulgi ogłuszony hukiem i zmęczony dymem człowiek [redacted] przechodził do modelarni i stolarni. Panowała tu względna cisza a w powietrzu zamiast siarki czuć było zapach drzewa i żywicy.

W olbrzymich długich halach w sąsiednim gmachu stały setki obrabiarek i tokarni . Dostawało się zawrotu głowy od widoku obracających się w szalonym pędzie transmisji i ruchu tokarń z pod których z szelestem spadały strużyny stalowe.

Najhałaśliwszym miejscem z całej fabryki była kotlarnia gdzie setki młotów uderzało w spojenia kotłów. Nie można się dziwić że robotnicy pracujący w tym oddziale po paru latach zapadali na nieuleczalną głuchotę. Najciekawszym był dla mnie oddział zbiórki lokomotyw. Wzdłuż ścian stały tam po obydwuch stronach parowozy jedne dopiero świeżo osadzone na podwoziu, inne bliżej wyjazdu w stanie wykonczenia aż do gotowych do próby odmalowanych błyszczących polerowaną powierzchnią części stalowych i lakierem parowozów.

W owym czasie z inicjatywy mego ojca zbudowano pierwszy parowóz szybkobieżny nowego typu całkowicie z materjałów krajowych.

Do tego okresu sporo części stalowych sprowadzano z zagranicy z Anglji i Niemiec.

Obliczenia i konstrukcję wykonał doradca techniczny zakładów , kolega mego ojca z akademji inżynierów wojennych i przyjaciel naszej rodziny profesor Mikołaj Leonicdowicz Szczukin.

Wielu z młodych inżynierów polaków po ukończeniu Instytutu Technologicznego odbywało praktykę w naszych zakładach pod kierunkiem mego Ojca.

Spotykałem ich często w domu moich rodziców w którym byli stałemi a zawsze mile widzianemi gośćmi. Matka moja opiekująca się i lubiąca

młodzież nietylko przyjmowała ich chętnie, ale nie raz służyła radą i pomocą w różnych kłopotach życiowych.

Niektórzy zaprzyjaznili się z naszą rodziną na całe życie.
Z młodych ludzi których spotykałem w owych czasach pamiętam nazwiska inżynierów Antoniego Księżopolskiego poźniejszego profesora politechniki warszawskiej, Antoniego Słaboszewicza, Ziemowita Arlitewicza, Tejchmana, Gużewskiego, Gnoińskiego i innych.

Nastał uroczysty dzień próby nowego parowozu. Zebrali się liczni przedstawiciele świata kolejowego i ciała profesorkiego wyższych technicznych uczelni w stolicy.

Memu bezpośredniemu szefowi zawdzięczam, że wyznaczono mnie jako młodszego palacza do załogi nowego parowozu. Nie posiadałem się z radosci i w dniu próby o świcie byłem już na fabryce.

Przeszło parę godzin zanim rozpalono pod kotłem, naoliwiono i sprawdzono czy wrzystko jest w porządku. Około Io rano nowy parowóź był już „ pod parą.

Przeciągły głęboki gwizd odróżniający kurjerskie lokomotywy od zwykłej towarowej braci obwieściły światu że gotowi jesteśmy do drogi.

Błysnęły światła sygnałów i nasz parowóz swięcący farbą, wystrojony niczem baletnica przed występem, wytoczył się z hali fabrycznej na tor kolejowy.

Doczepiono do nas pociąg składający się z pięciu pulmanów pierwszej klasy w których zajęli miejsca goście i komisja przyjmująca parowóz. Wyjechalismy powoli bocznicą fabryczną prowadzącą do magistrali kolei Mikołajewskiej.

Gdyśmy wjechali na główny tor parowóz zwiększył szybkość.
Była wiosna. Na skarpach kolejowych złociło się już od kwitnącego mlecza i jaskrów. Po przez ostrą woń smarowidła, przypalonego oleju i paliwa, przedzierał się do nas prąd swieżego wiosennego powietrza. Z wysokości parowozu patrzyłem na migające przed nami pola, lasy osiedla ludzkie. Szybkość parowozu wzrastała. Z rozkoszą czułem pęd maszyny. wreszcie zwolniliśmy biegu i stanęliśmy przed dworcem w Kołpinie.

Z wagonów wysiedli inżynierowie biorący udział w komisyi i goście. Zaczęto żmudne i szczegułowe badanie stanu parowozu, szybkosci etc etc. Szczegulną uwagą poświęcono tłokom systemu „compound" po raz pierwszy zastosowanych w budowie lokomotyw w Rosyi.

Był późny wieczów gdy po dniu pełnym wrażeń na pół przytomny ze znużenia wróciłem nareszcie do domu.

W czasie mego pobytu na fabryce miałem możność zapoznać się bliżej z życiem robotnika. Udało mi się pozyskać ich zaufanie i przyjaźn nazywali mnie po imieniu i uważali za swojego.

Nie raz bywałem w ich domach i z całą swiadomością mogę stwierdzić, że warunki bytu robotnika fabrycznego w Rosyi w owych czasach były bez porównania lepsze niż to z czem się w lat kilka zetknłem następnie w Anglji.

Przypuszczam że żaden z ówczesnych robotników rosyjskich nie zgodziłby się na mieszkanie w „slumsach" angielskich ani na warunki angielskie. W życiu robotnika rosyjskiego było więcej powietrza, więcej przestrzeni i rozmaitości związanej z szeregiem patryjarchalnych zwyczai i swiąt koscielnych, nie mówiąc o zdrowej pożywnej a smacznej kuchni rosyjskiej. Niestety plagą życia robotniczego w rosyi było pijaństwo rujnujące dom rodzinę i dobrobyt klasy robotniczej

Moim kolegą w kuzni był Mikołaj Pietrow t zw ,, Kola " syn kierowcy parowozu z kolei Mikołajewskiej. Był to chłopak starszy od mnie o parę lat delikatny w obejściu , inteligentny z pewnym odcieniem tej tak swoistej rosyjskiej melancholji [redacted]

Spędzałem z nim długie wieczory, siedząc na urwistym brzegu Newy rozmawiając o różnych interesujących go sprawach , o niesprawiedliwości rządzącej światem , o konieczności poprawy bytu ludzkiego o powszechnej równosci i braterstwie.

Któregoś wieczora w chwili szczerości wtajemniczył mnie że należy do organizacyi socjalistycznej i jest czynnym członkiem ruchu robotniczego. Prosił mnie abym dochował tajemnicy.

Była to szlachetna, subtelna, uczuciowa natura . Polubiłem go szczerze.

Zbliżał się kres mego pobytu na fabryce za parę dni miałem włożyć z powrotem mundur licelsty i jechać na wakacje do domu na Litwę.

Cieszyłem się bardzo, tem nie mniej szkoda mi było porzucać mego przyjaciela a czułem że wyjazd mój bardzo zmartwi tego zacnego chłopaka.

Obiecaliśmy wzajemnie, że będziemy się nadal spotykać choć oboje czuliśmy podświadomie że rzeczywistość rozdzieli na na zawsze.

Nadszedł wreszcie dzień mego odjazdu.
Zająłem miejsce w wagonie drugiej klasy pociągu pośpiesznego idącego na Wilno Kowno do granicy, i wyszedłem na peron.

W tłumie pasażerów i osób odprowadzających ujrzałem [redacted] postać mego przyjaciela.

Była to dla mnie miła niespodzianka. Wzięliśmy się pod rękę i chodziliśmy po peronie w milczeniu jak by w obawie wypowiedzenia naszych myśli.

Odezwał się wreszcie trzeci dzwonek . Wskoczyłem do wagonu i stanąłem w otwartym oknie.

- Do widzenia Kola zawołałem pamiętaj o mnie
- Do widzenia Mitia nie zapomnę -

Widziałem że miał łzy w oczach a i mnie coś zaczęło dusić w garle. Pociąg ruszył i poczułem nagle że między mną a moim przyjacielem zarysowało się raptem coś, co z wąskiej szczeliny szybko rozszerzy się w przepaść przez którą ani dobra wola , ani przyjaźń nie zdoła przerzucić kładki przepaść dzieląca dwa światy i dwie mentalności.

C Z A S Z K A   C U K I E R N I C A

W czasie mego pobytu w liceum nie miałem wiele sposobności do zetknięcia się z polską młodzieżą akademicką w Petersburgu.

Byłem na prawach ucznia a nie studenta a gdym następnie przeszedł do klas uniwersyteckich liceum byłem skrępowany rygorem i dyscypliną wojenną tego zakładu, wreszcie brakiem czasu.

Jedynie w czasie krótkich pobytów zimowych mojej Matki w Petersburgu dom nasz był otwarty i licznie uczęszczany przez młodzież .

Spotykałem wówczas w domu rodziców różne ugrupowania młodzieży : narodowców, postępowych radykałów , socjalistów będących w owych czasach skrajną lewicą, wreszcie przedstawicieli nielicznej grupy t zw ,, złotej młodzieży.

Osobiście nie przyjmowałem udziału w dyskusjach politycznych i społecznych , natomiast słuchałem z uwagą a z różnicy zdań starałem się wyrobić swój własny pogląd.

W owych czasach polska młodzież akademicka nie łączyła się z młodzieżą rosyjską i nie przyjmowała aktywnego udziału w ruchach studenckich podkreślając tem swoją niezależność narodową.

Żyła własnym życiem , we własnym środowisku zachowując swoją polską odrębność , swoje podłoże kultury zachodniej tak nas różniącej od principjalizmu lub nihilizmu moskiewskiego.

Jeżeli wewnątrz polskiego życia studenckiego zarysowywały się często jaskrawe różnice poglądów, to należy oddać sprawiedliwość że na zewnątrz wszelkie zbiorowe wystąpienia młodzieży polskiej były nacechowane solidarnością.

Rodzice moi nigdy nie narzucali swych poglądów bywającej u nas młodzieży nie krępowano też nikogo w wypowiadaniu swych przekonań.

Wszczepiono we mnie za młodu szanowanie przekonań moich przeciwników politycznych o ile te przekonania wypływały z uczciwych pobudek i dyktowane były dobrą wolą.

Młodzież dyskutowała swobodnie, a Matka moja z właściwym sobie taktem starała się utrzymać rozmowy w granicach parlamentarnych i nie dopuścić do zbyt ostrych wystąpień pod adresem przeciwnika.

Z oddali lat stwierdzić mogę, że tło polskiej młodzieży akademickiej było nad wyraz szlachetne uczciwe , owiane wielkim idealizmem i chęcią pracyb dla kraju i dla jego niezależności politycznej.

Udział młodzieży w ruchu niepodległościowym był ogromny jak wielki był udział w pracy nad ludem.

Jako drobny przykład przytoczę że nikomu z młodzieży od skrajnej prawicy aż do lewicy nie przyszło by nawet do głowy wyjechać na wakacje lub na praktykę nie zapoatrzywszy się w komplet bibljoteczki popularnej a utarło się że każdy wracający z wakacyi zdawał sprawozdanie ze swej działalności oświatowej.

W oczach mi stoją twarze tej młodzieży często wycieńczone niepomierną pracą i korepetycjami ale w z twarzy tych biła uczciwość i głęboka miłość dla kraju a życzliwość dla bliźnich a w oczach świecił blask zapału do czynu do poświęceń w imię wyższych ideałów.

Praca narodowa i społeczna nie była łatwa . Czujne oko policyi politycznej i żandarmeryi śledziło życie młodzieży a wypadki rewizyi procesów politycznych oraz aresztowań i deportacyi bez sądu w trybie administracyjnym były na porządku dziennym.

Ojciec mój dzięki swemu stanowisku nie raz wyciągnął z biedy lub wyratował tego lub innego który się"wkopał !

Nasze Syłgudyszki leżace wśród borów i jezior daleko od swiata i ludzi ukrywały nie raz skompromitowaną politycznie młodzież a nie jednego w przebraniu chłopskim udało się nam przemycić zagranicę.

Miejscowa administracja nie podejrzewała nas nigdy o żadne akcję konspiracyjną a nikt z policyi nie ośmieliłby się wtargnąć do prywatnego mieszkania generała inżynierów wojennych i budowniczego pociągów carskich co do mnie,to mój uniform wychowańca cesarskiego liceum chronił od wszelkiego rodzaju podejrzeń natury politycznej.

W czasie pobytu w Petersburgu bywałem o ile mnie na to czas pozwolił na wieczorkach studenckich , odczytach lub na herbatkach koleżeńskich

Najczęściej odwiedzałem wspólnie z memi kuzynami Koziełłami Antoniego Borowskiego z Wileńszczyzny studenta wojenno medycznej akademji.

Pokój Antosia był zawalony książkami medycznemi , różnemi przyborami o niewiadomem przeznaczeniu . Na stołach i półkach pełno było kości ludzkich.

Włosy jeżyły się nam na głowie słuchając opowiadań Antosią o krajaniu trupów w prosektorjum akademji . Półmrok panujący w pokoju pogłębiał tajemniczość nastroju a ręce nam drżały ze wzruszenia gdyśmy sięgali po cukier do czaszki służącej przyszłemu profesorowi chirurgji za cukiernicę.

Bywał tam co sobotę brat Antosia Michał Borowski poźniejszy generał inżynieryi morskiej,wówczas szykowny kadet korpusu morskiego.

Serdeczne stosunki łączyły mnie z braćmi Sobieszczańskiemi z Ukrainy Pani Sobieszczańska była koleżanką i przyjaciółką matki mieszkała stale na kresach rzadko odwiedzając stolicę.

Z trzech braci najstarszy Włodzimierz kończył wydział prawny uniwersytetu, Ignacy był w Instytucie inżenierów dróg i komunikacyi a Eugenjuch po ukończeniu szkoły prawa / prawowiedów/ zdecydował ku zdziwieniu wrzystkich wstąpić do Instytutu Technologicznego.

Włodzio zginął w czasie kapmpanji bolszewickiej jako oficer Pierwszego Pułku Ułanów , Ignacy po powrocie z Syberyi gdzie miał ogromne przedsiebierstwa osiadł w Warszawie . Genio zmarł przedwcześnie.

Odwiedzałem ich często. Czytywaliśmy wspólnie modnego w owym czasie Nitschego . Nie mogę jednak powiedzieć żem wiele rozumiał z tej literatury a szczegulnie z jego dzieła " Also sprach Zarathustra

W domu Sobieszczańskich poznałem Stefana Ossowieckiego studenta Instytutu Technologicznego. Już wówczas był on znany w świecie Petersburskim ze swych nadprzyrodzonych zdolności okultystycznych.

Parę razy asystowałem na seansach spirytystycznych urządzanych przy jego współudziale.

Sądzę że był to okres najbardziej wydatny w jego karjerze spirytystycznej . W późniejszym życiu Stefan Ossowiecki miał już tylko przebłyski jasnowidzenia i sądzę,że instynkt ten w miarę lat musiał się stępić .

W pamięci pozostało mi wiele zdarzeń których byłem świadkiem. Było to w dniu imienin jednego z braci Sobieszczańskich.

Zebrało się kilka osób z młodzieży a wsród nich był Stefan . Zwyczajem petersburgskim przyrządzono poncz aby wypić zdrowie solenizanta.

Nad wielką wazą pełną tego trunku ułożono na krzyż dwie szpady studenckie a na ich skrzyżowaniu wielki kawał cukru obficie zlanego rumem który zapalono.

Zgaszono swiatła.

W niebieskawym półmroku panującym w pokoju ujrzeliśmy nagle mgłę która powoli przybrała kształty ludzkie. Widzenie trwało dobrych parę minut poczem rozpłynęło się w powietrzu.

Tegoż wieczora Ossowiecki wziął do rąk szpadę , oparł ją ostrzem o podłogę nachylił pod ostrym kątem , odjął ręką i odstąpił o kilka kroków szpada w ciągu kilkunastu sekund przetrwała w tej pozycyi nachylo nej jak gdyby jakaś niewidoczna ręka ją trzymała.

Oprócz Ossowieckiego był w owym czasie wśród młodzieży akademickiej młody człowiek, którego osobiście nie znałem i nię pamiętam jego nazwiska Stał się on ofiarą różnych zjaw, które go prześladowały dniem i nocą i o mało życiem nie przepłacił obcowania ze swiatem nadrzyrodzonym.

Nasz dobry znajomy student Instytutu Politechnicznego a następnie znany w Polsce Pedagog pan Ziemowit Arlitewicz miał nieszczęście zamieszkać z owym studentem spirytystą i w krótkim czasie zmuszony był do opuszczenia mieszkania w którym zaczęły dziać się różne niesamowite rzeczy. Ukazywały się w biały dzień zjawy, meble przesuwały się z kąta w kąt, ktoś rzucał ciężkiemi przedmiotami.

Rodzice zabronili mi stanowcze przyjmowania udziału w seansach a mój pierwszy spowiednik świetlanej pamięci [illegible] późniejszy Ks Biskup Małecki zobowiązał mnie słowem honoru że nie będą się w życiu bawił spirytyzmem, czego dotrzymałem lojalnie.

NA POGRZEBIE ALEKSANDRA III

+ 1. Nov. 1894

W pirogach na głowach , w białych rękawiczkach i opaskach żałobnych na rękawach płaszczów , liceum nasze stało w zwartym szeregu wzdłuż Prospektu Newskiego naprzeciw Aniczkowskiego dworca rezydencyi Aleksandra III

Po przeciwległej stronie ulicy błyszczały czarne lakierowane pickelhauby i białe skórzaae pasy wychowańców korpusu paziów.

Za plecami mieliśmy kordon policyi a dalej jak okiem sięgnąć morze głów zebranych tłumów. ludności .

Na przestrzeni 8 kilometrów oddzialających dworzec kolei mikołajewskiej od Soboru twierdzy petropawłowskiej, gdzie spoczywały prochy carów rosyjskich od czasów Pietra I stały kordony wojsk, szkół rządowych i wyższych zakładów.

Drogą tą miał kroczyć orszak pogrzebowy zmarłego cara.

Panowała cisza , przerywana od czasu do czasu słowami komendy i tupotem kopyt końskich .

Staliśmy już około dwuch godzin .

Nareszcie zdaleka usłyszeliśmy głuche warczenie bębnów i krótkie słowa komendy. Pochód się zbliżał.

Na czele maszerował Preobrażeński Pułk piechoty gwardji , którego szefem był Aleksander III. Dalej na karym koniu jechał samotnie rycerz ubrany w czarną średniowieczną zbroicę z zapuszczoną przyłbicą.

Na wschodnich złotych kasztanach przeciągnęła drobnym truchtem przyboczna sotnia kozaków - atamańców w swych czerwonych obszytych złotem czerkieskach i białych papachach na głowie.

Długim szeregiem po dwuch kroczyli wyżsi urzędnicy dworu carskiego niosąc na poduszkach pluszowych ordery i odznaczenia nieboszczyka

Na swych ciężkich karogniadych koniach przejechał z głuchym tententem kopyt lśniąc pozłotą pancerzy i hełmów szwadron pułku kawalergardów

Za nimi kroczył wielki koniuszy dworu i dwuch masztalerzy prowadziło pokrytego kirem wierzchowce zmarłego cara.

Rozpoczął się długi pochód duchowieństwa prawosławnego w kapiących od złota strojach liturgicznych i pozłocistych usypanych drogiemi kamieniami tjarach na głowach, poprzedzajcy katafalk.

Ciało cara spoczywało w trumnie ukrytej setkami wieńców i kwiatów wysoko na lawecie zaprzężonej w sześć rosłych karych koni.

Szła za tem carowa wdowa pod rękę z następcą tronu i rodzina zmarłego wśród której górował wzrostem wielki kniaź Sergjusz i wielki kniaź Mikołaj Mikołajewicz brat carski.

W oczach mi stoją liczni członkowie panujących dworów europejskich spokrewnionych z domem Romanowych wśród nich pamiętam otyłego opiętego w mundur, z olbrzymią bermycą na głowie księcia Walji późniejszego króla Edwarda VII , małego wzrostem następcy tronu włoskiego późniejszego króla Humberta, wreszcie niespokojną , ruchliwą gadatliwą postać Cesarza Niemiec.

Za rodziną carską w pewnym oddaleniu rozpoczynał się znowu orszak pogrzebowy trwający przeszło trzy godziny.
Szli ministrowie, rada państwa, senat, profesorowie, urzędnicy reszcie wojsko, wojsko bez końca.

Napół przytomny ze zmęczenia i głodu wróciłem do domu po to aby w pół godziny śpieszyć do liceum na oficjalne nabożeństwo żałobne w cerkwi licealnej.

Dnia następnego od rana defilowaliśmy przed trumną zmarłego.

Nie miałem bynajmniej ochoty brać udział w tej przymusowej uroczystości, ale podane przeze mnie preteksty nie były uwzględnione. i zmuszony byłem znowu spędzić długie godziny czekając w kolejce [redacted] na przedefilowanie przed trumną i ucałowanie krzyża.

Śmierć cara była podobno spowodowana ostrą formą cukrzycy i chorobą wątroby.

Twarz samowładcy leżącego w otwartej nisko umieszczonej trumnie była żółta i skurczona jak cytryna i w niczem nie przypominała twarzy kwitnącego zdrowiem a ucharakteryzowanego na mużyka rosyjskiego, olbrzyma.

Długie panowanie Aleksandra III, ciążące jak zmora nad Rosją, było panowaniem reakcyi i nienawisci do wrzystkiego co nie było rosyjskim i prawosławnym.

Car i cały naród, urzędnicy, wojsko przybrało zewnętrzne pozory mużyckie. Skasowano dawniejsze, piękne mundury i nakrycia głowy.

Odziano wojsko w moskiewskie kosoworotki, bufiaste spodnie i [redacted] buty z cholewami na wysokich obcasach. Na głowy wsadzono okrągłe barankowe czapki futrzane.

W dusznej, zabarykadowanej od świata zewnętrznego atmosferze rosyjskiej czuć było dziegciem i skórą. Car rządził Rosją autokratycznie ale za kulisami polityki stała szara eminencja w osobie oberprokurora świętego synodu Pobiedonoscewa.

Śmierć cara przyjęto z oznakami nietylko ulgi ale nawet radości. Nowy władca rosyi Mikołaj II jako następca tronu zdobył wśród otoczenia pewnego rodzaju popularność.

Jego piesze przechadzki po ulicach stolicy i zaglądanie do sklepów, jego skromny jednokonny zaprzęg, kary kłusak, i stary stangret z siwą brodą posłużyły do stworzenia legendy o dobroci, prostocie i poglądach liberalnych nowego cara.

Ślub Mikołaja II z księżną heską, wnuczką królowej Victorji odbył się nieoficjalnie i skromnie w stolicy księstwa. Niedawna śmierć ojca stanęła na przeszkodzie uroczystościom.

Młodą carową słynną ze swej piękności przyjęto entuzjastycznie W parze nowych władców Rosyi upatrywano rękojmię prądów liberalnych, oczekiwano nowych czasów, powszechnej amnestyi skazańców politycznych i zmiany policyjnego reżymu.

Entuzjazm trwał jednak bardzo krótko.
Młoda carowa zniechęciła do siebie wrzystkich. Sztywna, wyniosła, lodowato zimna i małomówna mimo całej swej urody miała coś co dziwnie raziło i odpychało ludzi.

Zamknęła się z mężem w ciasnym domowym kółku otaczając się służalczą miernotą, słuchając drobnych plotek i oszczerstw.

Oddalono z najbliższego otoczenia wrzystko, co było jeszcze szlachetne i uczciwe.

NA POGRZEBIE ALEKSANDRA III

+ 1. Nov. 1894

W pirogach na głowach , w białych rękawiczkach i opaskach żałobnych na rękawach płaszczów , liceum nasze stało w zwartym szeregu wzdłuż Prospektu Newskiego naprzeciw Aniczkowakiego dworca rezydencyi Aleksandra III

Po przeciwległej stronie ulicy błyszczały czarne lakierowane pickelhauby i białe skórzane pasy wychowańców korpusu paziów.

Za plecami mieliśmy kordon policyi a dalej jak okiem sięgnąć morze głów zebranych tłumów. ludności .

Na przestrzeni 8 kilometrów oddzialających dworzec kolei mikołajewskiej od Soboru twierdzy petropawłowskiej, gdzie spoczywały prochy carów rosyjskich od czasów Piotra I stały kordony wojsk, szkół rządowych i wyższych zakładów.

Drogą tą miał kroczyć orszak pogrzebowy zmarłego cara. Panowała cisza , przerywana od czasu do czasu słowami komendy i tupotem kopyt konskich .

Staliśmy już około dwuch godzin .

Nareszcie zdaleka usłyszeliśmy głuche warczenie bębnów i krótkie słowa komendy. Pochód się zbliżał.

Na czele maszerował Preobrażeński Pułk piechoty gwardji , którego szefem był Aleksander III. Dalej na karym koniu jechał samotnie rycerz ubrany w czarną średniowieczną zbroicę z zapuszczoną przyłbicą.

Na wschodnich złotych kasztanach przeciągnęła drobnym truchtem przyboczna sotnia kozaków - atamańców w swych czerwonych obszytych złotem czerkieskach i białych papachach na głowie.

Długim szeregiem po dwuch kroczyli wyżsi urzędnicy dworu carskiego niosąc na poduszkach pluszowych ordery i odznaczenia nieboszczyka

Na swych ciężkich karogniadych koniach przejechał z głuchym tententem kopyt lsniąc pozłotą pancerzy i hełmów szwadron pułku kawalergardów

Za nimi kroczył wielki koniuszy dworu i dwuch masztalerzy prowadziło pokrytego kirem wierzchowce zmarłego cara.

Rozpoczął się długi pochód duchowieństwa prawosławnego w kapiących od złota strojach liturgicznych i pozłocistych usypanych drogiemi kamieniami tjarach na głowach, poprzedzajcy katafalk.

Ciało cara spoczywało w trumnie ukrytej setkami wieńców i kwiatów wysoko na lawecie zaprzężonej w sześć rosłych karych koni.

Szła za tem carowa wdowa pod rękę z następcą tronu i rodzina zmarłego wsród której górował wzrostem wielki kniań Sergjusz [redacted] i wielki kniaź Mikołaj Mikołajewicz [redacted] brat carski.

W oczach mi stoją liczni członkowie panujących dworów europejskich spokrewnionych z domem Romanowych wsród nich pamiętam otyłego opiętego w mundur, z olbrzymią bermycą na głowie księcia Walji późniejszego króla Edwarda VII , małego wzrostem następcy tronu włoskiego późniejszego króla Humberta, wreszcie niespokojną , ruchliwą gadatliwą postać Cesarza Niemiec.

Za rodziną carską w pewnym oddaleniu rozpoczynał się znowu orszak pogrzebowy trwający przeszło trzy godziny.
Szli ministrowie, rada państwa , senat , profesorowie, urzędnicy wreszcie wojsko , wojsko bez końca.

Napół przytomny ze zmęczenia i głodu wróciłem do domu po to aby w pół godziny śpieszyć do liceum na oficjalne nabożeństwo żałobne w cerkwi licealnej.

Dnia następnego od rana defilowaliśmy przed trumną zmarłego.
Nie miałem bynajmniej ochoty brać udział w tej przymusowej uroczystości ,ale podane przeze mnie preteksty nie były uwzględnione. i zmuszony byłem znowu spędzić długie godziny czekając w kolejce [redacted] na przedefilowanie przed trumną i ucałowanie krzyża

Śmierć cara była podobno spowodowana ostrą formą cukrzycy i chorobą wątroby.

Twarz samowładcy leżącego w otwartej nisko umieszczonej trumnie była żółta i skurczona jak cytryna i w niczem nie przypominała twarzy kwitnącego zdrowiem a ucharakteryzowanego na mużyka rosyjskiego , olbrzyma.

Długie panowanie Alekasandra III ,ciążące jak zmora nad Rosją,było panowaniem reakcyi i nienawisci do wrzystkiego co nie było rosyjskim i prawosławnym.

Car i cały naród , urzędnicy,wojsko przybrało zewnętrzne pozory mużyckie. Skasowano dawniejsze , piękne mundury i nakrycia głowy.
Odziane wojsko w moskiewskie kosoworotki, bufiaste spodnie i [redacted] buty z cholewami na wysokich obcasach. Na głowy wsadzono okrągłe barankowe czapki futrzane.

W dusznej,zabarykadowanej od świata zewnętrznego atmosferze rosyjskiej czuć było dziegciem i skórą. Car rządził Rosją autokratycznie ale za kulisami polityki stała szara eminencja w osobie oberprokurora świętego synodu Pobiedonoscewa.

Śmierć cara przyjęto z oznakami nietylko ulgi ale nawet radości.
Nowy władca rosyi Mikołaj II jako następca tronu zdobył wśród otoczenia pewnego rodzaju popularność.

Jego piesze przechadzki po ulicach stolicy i zaglądanie do sklepów, jego skromny jednokonny zaprzęg , kary kłusak,i stary stangret z siwą brodą posłużyły do stworzenia legendy o dobroci ,prostocie i poglądach liberalnych nowego cara.

Slub Mikołaja II z księżną Heską,wnuczką królowej Victorji odbył się nieoficjalnie i skromnie w stolicy księstwa . Niedawna śmierć ojca stanęła na przeszkodzie uroczystosciom.

Młodą carową słynną ze swej pięknosci przyjęto entuzjastycznie
W parze nowych władców Rosyi upatrywano rękojmię prądów liberalnych, oczekiwano nowych czasów, powszechnej amnestyi skazańców politycznych i zmiany policyjnego reżymu.

Entuzjazm trwał jednak bardzo krótko.
Młoda carowa zniechęciła do siebie wrzystkich. Sztywna , wyniosła, lodowato zimna i małomówna mimo całej swej urody miała coś co dziwnie raziło i odpychało ludzi.

Zamknęła się z mężem w ciasnym domowym kółku otaczając się służalczą miernotą , słuchając drobnych plotek i oszczerstw .

Oddalono z najbliższego otoczenia wrzystko,co było jeszcze szlachetne i uczciwe.

Ulegając woli swej żony car zmienił szybko orjentacją i poddał się całkowicie wpływom reakcyjnym.

Słaby , chwiejny , podejrzliwy nie posiadał ani zalet ani wad swego Ojca,który mimo wrzystko był jednostką wybitną , posiadającą wolę i moc charakteru , jednostką z którą liczono się na dworach żagraniczynch a którego bezwzględna mało ustępliwa polityka napełniała obawą dyplomację europejską.

Aleksander III umiał [redacted] w rzadkich chwilach być sprawiedliwym i wspaniałomyślnym.

Względem dworów europejskich zachowywał stanowiskc napół pogardliwe i zwykł był mawiać że ma jedynego tylko przyjaciela. Tym przyjacielem był Nikita książe Czarnogórski.

Mikołaj II był osobistością bezbarwną , nie było w nim ani majestatu ani czegoś co przyciąga interesuje lub nawet odpycha ludzi.

Pierwszy manifest nowego cara podyktowany podobno przez Pobiedonoscewa nie zwiastował nic dobrego a tylko stwierdził,że polityka jego ojca ani wewnętrzna ani zewnętrzna nie ulegnie zmianie.

W swym oficjalnym przmówieniu do delegatów ziemstw i marszałków szlachty użył między innemi wyrazów ,, bezumnyja miecztanja "-bezmyślne marzenia .

W czasie jego życia kawalerskiego poznał i pokochał baletnicę dworu polkę z pochodzenia Krzesińską,nie wpłynęło to bynajmniej na jego ustosunkowanie się względem polaków . Był on raczej usposobiony niechętnie i obojętnie,co [redacted] do carowej Aleksandry ,to zajęła ona od początku stanowisko wrogie do wrzystkiego co było polskie.

Aleksander III był wrogiem otwartym Polski. Nie taił się z tem ale w granicach swej polityki trzymał się pewnej praworządności.

Mikołaj działał z ukrycia ,nie mając odwagi działać otwarcie nato miast posunięcia jego były nieobliczalne . Zasłaniał się osobami trzeciemi i zwalał [redacted] całą odpowiedzialność na swych doradców.

W kilka dni po manifescie cara w mieszkaniu mego Ojca zebrało się kilku dawnych jego kolegów z akademjii inżynierów wojennych.

Byli to ludzie znani ze swych poglądów liberalnych,mimo to zajmujących nawet za panowania reakcyi Aleksandra III wybitne stanowiska w swiecie naukowym i wojskowym.

Przyszli do ojca aby się wygadać szczerze aby wypowiedzieś swoje niepokoje o przyszłość Rosyi i Narodów z nią związanych .

Niepokoje te okazały się słuszne.

W powietrzu panowała jeszcze cisza ,ale w tej ciszy było coś złowieszczego a niewidocznie daleko na horyzoncie zbierały się już czarne chmury zwiastujące zbliżającą się burzę

DLA ZIEMI RODZINNEJ

Wsród pasażerów pierwszej klasy wieczornego pociągu pośpiesznego odchodzącego z dworca warszawskiego w Petersburgu można było zauważyć co piątek każdego tygodnia grupę polaków zdąrzających na zachód.

Byli to przeważnie ludzie w wieku dojrzałym , dyrektorowie fabryk banków , wybitnie inżynierowie lub wyżsi rangą wojskowi.

Gdybyśmy chcieli przysłuchać prowadzonym przez nich rozmowom bylibyśmy zdziwieni że wyłącznym niemal tematem tych rozmów było rolnictwo lub rzeczy związane z ziemią . Bylibyśmy niemniej zdziwieni że w rozmowach swych wykazywali poważną zanjomość nietylko teorytyczną ale i pryktyczną tematu chociaż zewnętrznie nie mieli w sobie nic co by przypominało zawodowych hreczkosiei.

Ludzie ci byli bowiem związani z rolą nietylko faktem posiadania nietylko sentymentem ale czemś głębszem , czwmś co można było by nazwać gorącą fanatyczną miłością ziemi rodzinnej.

W Petersburgu czas im schodził na ciężkiej pracy zawodowej i na wyczekiwaniu wyjazdu na wieś rodzinną.

Było coś wzruszająco prostego i dziecinnego w tej ich radosci z jaką spieszyli do swych siedzib na daleką Litwę lub Białoruś.

U tych typowych przedstawicieli epoki popowstaniowej i pracy organicznej u tych ludzi czynu i interesu tak na pozór zimnych a twardych w obejsciu była to dziedzina w której w całej pełni występowało wysoce szlachetne podłoże , często czułe serce i daleko idący idealizm.

W ich życiu osobistym przebijał pewien pierwiastek ascetyzmu, a cechowała ich skromność, umiarkowanie i oszczeędność o ile chodziło o własną osobę.

Natomiast gdy chodziło o ziemię, o sprawy krajowe potrafili być nietylko hojni ale nawet rozrzutni

Większość z nich rozporządzała znacznemi srodkami i miała wysokie dochody lub uposażenia. O ile pamiętam, nikt z nich nie zrobił większej fortuny bo wrzystkie wolne pieniędze topili często bezpowrotnie w swych majątkach ziemskich.

Byli poniekąd krzewicielami kultury rolnej na naszych kresach. Zakładali wielkie sady handlowe, osuszali błota , meljorowali łęki sadzili lasy nie szczędzili środków na urządzenie swych rezydencyi na budowę wzorowych często nawet luksusowych budynków gospodarskich

Ludność okoliczna korzystała zwykle z znacznych zarobków

Zachowanie w swych rękach ojcowizny było ich głównym nakazem życiowym dla którego nie szczędzili ani środków ani pracy ani poświęceń.

Należy mieć na względzie, że w gubernjach litewsko białoruskich i południowo zachodnich wprowadzono po powstaniu zakaz kupna ziemi polakom i katolikom. Każdy kawałek ziemi przechodzący w obce ręce zmniejszał stan polskiego posiadania.

Każdy kto by dobrowolnie wyzbył się ziemi lub sprzedał swoją schedę w obce ręce zasłużyłby miana zdrajce a solidarnosc była tak wielka że nikt z uczciwych ludzi nie podał by takiemu panu ręki.

Nie należy się dziwć, że ludzie pokolenia które wyrosło w atmosferze kultu dla ziemi siłą rzeczy miało inne podejście do zagadnień życiowych a wrzystkie swoje ambicje , sentymenta , przyjemnosci ulokowało w ziemi.

W okresie popowstaniowym trudno było znaleźć w kraju pracę i srodki utrzymania. Obowiązywał tu oprócz zakazu kupna ziemi długi szereg praw wyjątkowych uniemożliwiających polakom zarobkowanie.

A pokolenie mego ojca odziedziczyło ciężką a wymagającą wielkich srodków spuściznę.

Należało więc szukac zródeł daleko poza krajem.

Z grudką ziemi rodzinnej w kieszeni, z modlitwą w sercu a mazurkiem Dąbrowskiego na ustach szła ówczesna młodzież na brzegi Newy lub Wołgi na Syberję lub Kaukaz, aby swą pracą oszczędnością i energją przerobać lepszą przyszłość dla swego kraju i ocalić ojcowiznę.

Wśród otoczoenia rosyjskiego ludzie ci potrafili zdobyć powszechny szacunke nie tylko dla swych zalet charakteru ale również dla swych kwalifikacyi zawodowych.

W głębokiej rosyi słowo ,, Polak " stało się synonimem uczciwości. W swym życiu znałem wielu z tego pokolenia.

Nie raz w czasie mego pobytu w Petersburgu miałem sposobnosc odwiedzać ich wieczorami i przy szklance herbaty słuchać dyskusyi rolniczych i planów na przyszłość.

Wchodząc do ich mieszkań miałem zawsze wrażenie żem wchodził do jakiegoś całkiem innego oderwanego do rzeczywistości petersburskiej świata . [illegible] jakby ktoś przeniósł cudem kawałek kraju do Peterburga i zamknął w czterech ścianach.

[illegible] Stół był zastawiony litewską wędliną serami , owocami z własnych sadów , masłem a na biórku leżały katalogi rolnicze i pisma fachowe wreszcie dzienniki i tygodniki polskie.

Gdy wspominam pielgrzymki tygodniowe mego Ojca do swych Syłgudyszek to jednocześnie stają mi w oczach postaci pamięcią towarzyszy jego jego podróży z których znałem osobiście.w między innemi:

Exelencję p. Leonarda Iwanowskiego inżyniera technologa .Dyrektora Departamentu Gorzelnictwa Ministerstwa Skarbu. Właściciela pięknej Lebiodki w pow Lidzkim którą tak pięknie urządził i założył jeden z największych sadow handlowych na Litwie. Pan Leonard był Prezesem Warszawskiego Towarzystwa Pomologicznego.

Generała Riesenkampfa , dowódcę pułku Dragonów gwardyi własciciela zakładów przemysłowych. Posiadał on majątek rodzinny w powiecie Nowogródzkiem w okolicy Switezi.

Jana Maleckiego Dyrektora Naczelnego największych w Panstwie browarów sp akc Kalinkin. własciciela majątku Pokiewnie pow Swięciańskiego

Wincentego Kozieł Poklewskiego Rzecz Radcy Stanu , Posła do Rady Państwa właściciela miljonowej fortuny na Syberyi który tem nie mniej każdą wolną chwilę spędzał w swym majątku rodzinnym Krasny brzeg pod Bobrujskiem.

Generała inż. wojennych Woynickiego właściciela majątku Nidoki w pow. Wiłkomierskim

Senatora Gartkiewicza właściciela majątku pod Grodnem

Exelencję B. Maleszewskiego Dyrektora departamentu kredytowego Ministerstwa finansów Nabył on majątek na ~~Podlasiu~~ Radomszczy który pięknie urządził i zagospodarzył.

Pułkownika Inżynierów wojennych Wojciecha Falewicza właściciela majątku Marwa pod Kownem

Generała F. Babiańskiego . Profesora Wojennej Jurydycznej Akademji ziemianina pow. Szawelskiego na Żmudzi

Admirała Brynka Dyrektora Zakładów Metalurgicznych i mechanicznych w Obuchowie pod Petersburgiem . Admirał posiadał majątek rodzinny pod Święcianami na Wileńszczyźnie

Exelencję J. Łukaszewicza z powiatu Święciańskiego , inż dróg i komunikacyi. Profesora Instytutu Inż Cywilnych i Instytutu inż dróg i komunkacyi.

Inż Dróg i Komunik.p. Eugenjusza Dymszę Znanego wielkiego przedsiębiorcy budowy kolei rodem ze Zdaniszek na Żmudzi. Nabył majętek Ilzenberg w Kurlandyi na samej granicy kowieńszczyzny.

Profesora Lubomira Dymszę , późniejszego posła do Dumy Państwowej Czlnka Zarządu Towarzystwa Russo Belge.ze Zdaniszek na Żmudzi ziemianina z Podlasia włas maj. Neple.

Inż Antoniego Słaboszewicza. Dyrektora Zakładów Brianskich. Ze Zmudzi pow Rosieńskiego. Nabył dobra Ponary pod Wilnem

Inż Władysława Żukowskiego Znakomitego Ekonomisty . Dyrektora i prezesa wielu Towarzystw i Instytucyi. Posła do Dumy Panstwowej rodem z Podola. Posidał maj Łazy w Kieleckim dokęd stale jeździł.

Michała Benisławskiego . Dyrektora Naczelnego Wschodn. Tow. Żeglugi Generalnego Konsula Duńskiego. Ziemianina z Inflant

Inż Stanisława Kierbedzia Właściciela majątku na Żmudzi i na Inflantach Polskich.

Generał Inż Wojennych Żylińskiego. Znanego z powodu jego prac nad osuszeniem Polesia. Generał spędzał każdą wolną chwile w swym majątku w pow. Babrujskim ziemi Mińskiej.

Inż Henryka Święcickiego . Późniejszego posła do Dumy . Właściciela maj pod Wilnem.

Spis ten mógł bym znacznie przedłużyć i dodać do tego tych z polaków którzy odbywali podobne podróże z innych miast rosyjskich a w szczegulności z Moskwy .
Wrzyscy oni wnieśli znaczny dorobek na kresach i nieszczędzili pracy i środków dla sprawy polskiej.

Pokreslic należy ustosunkowanie się tych ludzi do młodzieży polskiej i stałą pomoc materjalną i moralną którą okazywali młodzieży studjującyj na wyższych uczelniach w Petersburgu i Moskwie.

Domy ich stały otworem dla młodzieży bez różnicy klas społecznych i przekonań lub ugrupowań politycznych.

W pokoleniu mego Ojca mogłem obserwować całkowity brak snobizmu który z biegiem lat stał się chorbą nagminną ~~polskim~~ a w kraju występował w formie znacznie jaskrawszej niż na emigracyi w rosyi.

Jednym z najbardziej otwartych i przyjmujących domów był dom Exelenzyi Wincentego Koziełł Poklewskiego. W domu tym panowała równość zupełna i członkowie Rodziny panującej , wielcy księżęta byli przyjmowani również uprzejmie jak ucząca się młodzież .

Biada tym którzy by osmielili się okzzać tej młodzieży choć cień lekceważenia. Pani Marja małżonka Pana Wincentego nie darowała by tego nigdy a znany mi jest fakt gdy jednemu z znanych i wszechpotężnych dygnitarzy Petersburskich Państwo Poklewscy wymówili dom z powodu jego zachowania względem pewnego studenta socjalisty.

Gdy z oddali lat minionych patrzę na pokolenie mego Ojca tem jaskrawiej występują mi w pamięci fakty i czyny z ich życia i tem z większym szacunkiem skłaniam głowę przed pamięcią tych zacnych dobrych a nieskomplikowanych charakterów , tych ludzi pracy , czynu i poświęcenia.

MEDYCYNA W ŁABONARSKIEJ PARAFJI

Przed oficyną w Syłgudyszkach stało kilkanaście fornalek chłopskich .
Wyprzęgnięte z hołobli i ,, dug" konie żuły przy wozach siano lub obrok z worków zaczepionych na łby. Na wozach siedzieli lub leżeli chorzy czekając w kolejce na poradę u Pani z Syłgudyszek / Matki mojej / znanej na całą okolicę z pomocy lekarskiej jaką udzielała ludności.
W tym zapadłym oddalonym od miast i kolei kraju [redacted] pozbawionym aż do czasu zamieszkania Matki mojej w Syłgudyszkach nietylko pomocy medycznej ale najprymitywniejszych potrzeb związanych z hygjeną ludnosci [redacted] panowały dziwne zwyczaje.
Stosowano to zabiegi i używano srodków medycznych które sięgały już nietylko średniowiecza ale przedhistorycznych bodaj czasów a obowiązek lekarzy spełniali znachorzy lub nieliczni wtajemniczeni w sztukę zamawiania.
Smiertelność szczegulnie wsród dzieci była znaczna a grużlica zbierała plon obfity.. Oczywiście kto przeżył ten żył już długo o ile nie padł ofiarą zakażenia krwi lub jakiejś epidemji.
Warunki hygjeniczne były opłakane . Za czasów mego dzieciństwa zaledwie nieznaczna część domowstw posiadała kominy w większosci wypadków ludnosc mieszkała w kurnych chatach [redacted]
Różne były tu srodki medyczne jak np ,, napar ze skóry żmji " od przeziębienia jak mocno osolona suszona ryba lub śledzie od chorób żołądka . Rany po wypaleniu rozpalonym żelazem po dawnemu traktowano gniecionym chlebem z pajęczyną lub stosowano srodki które ze względu na przyzwoitość nie chcę wymieniać.
Wsród miejscowych leków było [redacted] jednak spore skutecznych a dobrych srodków. Flora miejscowa obfitowała w zioła których wartosc leniczą uznawała nowoczesna medycyna a z których lecznictwo ludowe korzystało stale.
Skutecznym srodkiem przeciw niektórym chorobom [redacted] jak ból zębów , wścieklizna , róża było ,, zamawianie ".
Zamawianie polegało na odmówieniu pewnych tajemniczych zdań i wyrazów . Zamawiać można było nawet na odległość [redacted]. Sztukę zamawiania przekazywano z ojca na syna pod przysięgą zachowania tajemnicy, a nie pamiętam wypadku, aby ktoś zdradził formułę zaklęcia.
Matka moja będąc osobą postępową i obeznaną fachowo z nowoczesną medycyną musiała rónież stwierdzić ,, contre coeur " skuteczność zamawiania, ku zdumieniu młodych medyków spędzających wakacje w naszym domu i pomagających w leczeniu.
Jeden z przyszłych profesorów terpaji poświęcił dużo czasu i energji nad badaniem niewytłumaczalnego zjawiska ale po za stwierdzeniem faktu wyzdrowienia [redacted] nie mógł wykryć [redacted] ŻADNYCH INNYCH OBJAWÓW

Przy badaniu chorych osoby nie obeznane z miejscową gwarą albo zwyczajami [illegible] miały wiele trudności dochodziło do tego całkiem osobliwe pojęcie ludnosci miejscowej o anatomji. Niejeden z młodych medyków stawał bezradny wobec [illegible] odkrycia że mężczyźni na litwie, posiadali niektóre organa, które na całym swiecie były wyłączną własnoscia niewiast.

Rozmowa z choremi odbywała się mniej więcej tak :

- Co wam jest ?.
- Tak znaczysia , cały korpus zdetonowawszy sia , pałkość w gębie a do tego i srodki popusciwszy.
-.A czy zażywaliście jakichś leków ?
- Kobieta zadała deweldreku z pieprzówką , trocha niby to ruszyło na prawo, ale coż kiedy wokurach znow chwyciło, choć ty samego Chrystusa Pana wołaj.

Natomiast gorzej gdy chory na zapytanie co mu jest odpowiadał że

- Panie ratuj bo ...... podeszła pod garło
- Co takiego.wołał młody eskulap
- Tak znaczysia podszedłszy pod garło.

Nic rozumiem mówił do siebie medyk trzeba prosić panią Generałową o wytłumaczenie.

Wobec tego, że Matka udzielała porad i dawało lekarstwa a często i żywność dla chorych darmo chorzy zaczęli się zjawiać nie tylko z sąsiednich parafji ale gdzieś hen aż z pod Malat , Uciany, Owant odległych i kilkanaście mil.

Na prośbę Rodziny Matka musiała ograniczyć przyjmowanie chorych, gdyż wreszcie sama rozchorowała się ze [illegible]a a gospodarstwo zaczęło cierpieć od najazdu kilkudziesięciu fornalek dziennie.

Przy dawaniu lekarstw należało zachować wiele ostrożności i wytłumaczyć po kilka razy, gdyż nie raz były na tym tle różne omyłki.

Z opowiadań Matki mojej znam fakty o[illegible] które następnie rozeszły się po Litwie jako anegdoty, których zródłem były jednak Syłgudyszki.

Matka poleciła jednemu z pacjentów aby przyjmował lekarstwo, po 5 kropel w wodzie. Chory przyszedłszy do domu mimo jesiennej pory zdjął obuwie, zakasał spodnie a stojąc po kolana w wodzie pobliskiego jeziora [illegible] wypił lojalnie 5 kropli .

Przypominam wypadek, gdy Matka dając mężowi chorej lekarstwo uprzedziła aby przed wypiciem nie zapomniał dobrze wstrząsnąć .

W kilka dni po tem zjawił się uradowany z podziękowaniem , pod pachą trzymał koguta.

- Przyszedszy podziękować Pani generałowej za porada żona już zdrowa.
- A co lekarstwo poskutkowało ? spytała Matka.
- Nawet w ta pora już nie trzeba było lekarstwa. Jak tylko byłam
- przyjechawszy do chaty, tak chwyciwszy babe akuratnie natrzęsłem
- aż krzyczała gwałtu i wraz potem środki jej popuściło i przestało
- boleć.
- Teraz chodzi baba zdrowa jak piec, tylko prosisie już nie trzęś
- więcej.
- Człowieku czyście zwarjowali ! zawołała przestraszona Matka moja.

W latach dziewięćdziesiątych na skutek starań Matki osiadł w Ucianie młody doktór z Warszawy który wkrótce pozyskał zaufanie ludności , otworzono wreszcie szpital na kilkanascie łóżek co [illegible] pozwoliło Matce mojej zrezygnować z tej męczącej pracy.

B A Ś N

Płoną głównie na kominie
Trzaska ogień smolnych drzazg
Cicho płynie czas drużynie
Twarze złoci ognia blask

Pańskie dzieci , chłopskie dzieci
Siedzą wkółko łuszcząc groch
Baśń cudowne dziwy plecie
Smiech przyprawia albo szloch

Gdzieś w przestworza myśl unosi
Przez rozłogi w lasów krąg
Srebrną mgłę na polach wznosi
W zimie widzi kwiaty łąk

Ognie w polu i noclegi
Zbóż pozłotę, zieleń kniej
Gdybyż prędzej przez te śniegi
Gdybyż w pole w świat w las hej

Tu znów czary i znachory
Tu rusałka czesze włos
Z mogił wstają w noc upiory
Strach aż drży bajarza głos

Stoi w kącie kołowrotek
Z starej babki bladych warg
Płynie nuta dawnych zwrotek
Pełnych życia łez i skarg x.

Tak w długie wieczory zimowe zabawiała nas dzieci stara Borejkowa moja pierwsza piastunka w izbie czeladnej dworu syłgudyskiego.

KATASTROFA POD BORKAMI

Czekano na Ojca . Zwyczajem petersburgskim jadaliśmy o 7 wieczór Zamilkliśmy nadsłuchując powrotu ojca. matka nasza z trudem opanować starała się niepokój który ją nurtował.

Usłyszeliśmy wreszcie tentent kopyt końskich , zgrzytnęła brama wjazdowa a w kilka chwil po tem brzęk ostróg i znajome kroki.
Ojciec wyglądał zakłopotany.

Zaledwie siedliśmy do stołu a służący Fiedor zaczął roznosić zupę, gdy gwałtowne targnięcie za dzwonek u drzwi wejsciowych na dole przerwało obiad.

Służący wrócił za chwilę
- Kurjer Cesarski oznajmił głośno
- Niech wejdzie - rzekł ojciec.
W drzwiach sali jadalnej stanęła postać wojskowego w czapce na głowie przy szabli i rewolwerze u boku.
Brzęknął ostrogami zasalutował wyjął z torby wielką zalakowaną kopertę poprosił o pokwitowanie, zasalutował powtórnie, zrobił zwrót w lewo i wymaszerował.

Ojciec rozdarł kopertę, twarz mu się zmieniła, skinął głową na matkę i oboje wyszli z sali.

Gdy matka wróciła zauważyliśmy że była blada jak płótno.
- Dzieci - rzekła , trzeba abyście wiedzieli . Pociąg cesarski uległ
- katastrofie , nie wiadomo czy car i rodzina żyją . Ojca zapotrzebowano
- natychmiast , czy wróci nie wiadomo. Ojciec się pakuje i odjeżdża
- natychmiast ekstra pociągiem na miejsce katastrofy. Pamiętajcie
- nikomu ani słowa. Trzeba zachować spokój i zimną krew a zmówcie pa-
- ciorek za ojca.
Ojciec wszedł ubrany w płaszcz , służący znosił rzeczy , pożegnał się z nami i pobłogosławił.

Wyszlismy wrzyscy przed dom aby go odprowadzić .
W chwili gdy miał już siadać do powozu a myśmy z trudem powstrzymywali łzy które się cisnęły do oczu, jak z pod ziemi wyrosła postać drugiego kurjera.

Serce nam zamarło z niepokoju.
Raptem twarz ojca rozjasniła się .-Przeczytaj-, rzekł do matki, oddając jej papir.
Treść rozkazu brzniała
- Jego Cesarska Mość z Rodziną ocalała nietknięta. Opatrzność czuwała
- Jego Cesarska Mość raczyła wyrazić zadowolenie z mocnej konstrukcyi
- i budowy wagonów . Jego Cesarska mość z rodziną wraca do Petersburga
- przyjazd nie potrzebny.
Westchnęliśmy z ulgą koszmar minął.
Nie wiadomo jaki los spotkał by mego Ojca, jako odpowiedzialnego za budowę wagonów i podróże carskie. gdyby spadł włos z głowy Cara lub jego rodziny. Na moim Ojcu jako na polaku skupiło by się wrzystko i jak sam kiedyś mówił, nie ominął by go sąd polowy ze wrzystkiemi dalszemi następstwami aż do rostrzelania włącznie.
Aleksander III żartować nie lubił!.

W parę miesięcy po tym wypadku Ojciec dostał rozkaz stawienia się osobistego do Cesarzowej Maryi Teodorówny .

Carowa przyjęła Ojca nad wyraz łaskawie i wyraziła zadowolenie z budowy wagonów , która„napewno przyczyniła się do ocalenia. rodziny carskiej."

Po pewnym czasie wydano prawo w kTórym w drodze wyjątkowej Cesarz zezwolił memu ojcu nabywać na własność ziemię na Litwie i dekret nadający mu order sw Włodzimierza wysokiej klasy , odznaczenia dawane w wyjątkowych wypadkach [redacted] nie tylko polakom ale nawet rosjanom.

Zezwolenie na kupno ziemi cesarz dał na skutek opinji swojej żony która intuicją kobiecą wyczuła największe życzenie Ojca.

Skrzystalismy z tego skupując nasze dawne ziemie skonfiskowane po powstaniu memu dziadowi.

Stanowisko zajmowane przez mego ojca było nietylko odpowiedzialne ale nad wyraz ryzykowne i niebezpieczne , to też westchnęliśmy wrzyscy z ulgą, gdy wreszcie po kilkunastu latach takiego nerwowego życia ojciec w randze generała inżynierów wojennych wycofał się do życia prywatnego.

Z czasów mego dzieciństwa pamiętam wypadek, gdy w nocy zbudzono mego ojca bo Aleksander trzeci wyraził niezadowolenie że zegar pamiątkowy po zmarłym carze Aleksandrze II zamieniono innym dopasowanym do stylu nowego wagonu zegarem.

Cesarz rozkazał aby zegar znalazł się z powrotem w czasie postoju pociągu w Moskwie.

Trzeba było wysłać posłańca najszybszą lokomotywą aby złapać jeszcze pociąg carski w Moskwie.

Posłaniec po tej przejażdżce rozchorował się ciężko.

Aleksander III lubił sprawdzać stan toru kolejowego i resorów wagonu W tym celu nalewał w czasie biegu pociągu szklankę pełną wody. i śledził aby się żadna kropla ze szklanki nie przelała.

W przewidywaniu tych przyzwyczajeń carskich, komisja inżynierów rzeczoznawców przyjmująca nowe wagony przeznaczone dla osobistego użytku cara i jego rodziny posługiwać się zaczęła również szklanką [redacted] napełnioną po brzegi wodą.

DWIE STRONY MEDALU

Czasy panowania Aleksandra III wyryły głęboki slad na historyi Litwy i Białejrusi.
Tępiono systematycznie wrzystko co miało najmniejszą styczność z polskoscią i wiarą katolicką .
But moskiewski zadeptywał brutalnie każdą iskrę która się zapalała na pogorzelisku polskim. Tem nie mniej gdzieś głęboko pod warstwą popiołu i zwęglonych szczątków tliło się zarzewie które przy każdej sposobności mogło się rozpalić w olbrzymią krwawą łunę.
Na ścianach urzędów resyjskich na stacjach kolejowych wisiały ogłoszenia zabraniające używania polskiej mowy.
W szkołach bezlitośnie tępiono język polski . Młodzież szkolna rozmawiała szeptem pomiędzy sobą w stałej obawie aby ucho pedla nie doniesło panu inspektorowi co by pociągnęło za sobą wydalenie ze szkół.
Po wsiach żmudzkich urządzano obławy i rewizje u chłopów w celu wykrycia tajnych szkółek i elementarzy litewskich przemycanych z Prus Wschodnich. Duchowienstwo katolickie prześladowano na każdym krku.
Nie wolno było wydalać się z granic parafji bez zezwolenia naczelnika policyi powiatowej.
Za podparcie walącego się ze starości krzyża przydrożnego , za postawienie nowego za reperację bez zezwolenia generał gubernatorstwa dziurawego dachu na kościele groziła zesłanie na Syberję lub w razie najlepszym do gubernji srodkowej Rosyi.
Za czasów szkolnych miałem mało sposobności do bywania w Wilnie a w czasie rzadkich bytnosci w tym miescie starałem się głośno i ostentacyjnie mówić po polsku á ironicznie patrzyłem na policję która nieośmielała się zwrócić uwagę lub zaczepić ucznia liceum cesarskiego z Petersburga.
Pewnego razu odwiedzając z Matką krewnych naszych w Wilnie trafiliśmy na tragiczną chwilę. Kuzyna mego ucznia ostatniej klasy gimnazjum wileńskiego wydalono ze szkół na skutek doniesienia pedla gimnazjalnego który jakoby słyszał jak kuzyn rozmawiał na ulicy głośno po polsku.krytykując stosunki gimnazjalne.
Biedny chłopak zmuszony był wędrować do jednego z dalekich położonych na wschodzie miast gubernjalnych aby uzyskać maturę i prawo wstąpienia do wyższego zakładu. Stracił przez to rok cały.
Trzęsłem się z oburzenia i po powrocie do liceum nie omieszkałem opowiedzieć o tych przesladowaniach kolegom.
Był w naszej klasie chłopak , syn gubernatora jednej z gubernji Królestwa , powszechnie nie lubiany , wtrącił się do naszej rozmowy twierdząc że polacy to ,, buntowszczycy , to kanalja , która nie zasługuje na lepsze traktowanie.

W klasie zaległa cisza , kilku z chłopaków czerwonych z oburzenia z zaciśniętemi pięściami zbliżyło się do oszczercy.
W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły i do klasy wkroczył generał Szilder , dyrektor liceum , wykładający nam historję.
Rozejrzał się po klasie i spytał o powód wzburzenia.
Zgodnie z tradycją liceum klasa milczała , tylko wrzystkie oczy utkwiły swój wzrok na twarzy winowajcy.
Generał szybko się zorjentował i wywołał go do tablicy rozkazawszy aby wyjaśnił powód .
Winowajca wobec całej klasy zmuszony był do powtórzenia słowo w słowo swych uwag o polakach.
Generał się zasępił.
- Słuchaj rzekł widzę że nie rozumiesz gdzie się znajdujesz. To jest
- liceum - szkoła dla dobrze wychowanych i przyzwoitych młodych ludzi
- a nie chamów. Zakład nasz ma na celu wychowanie młodzieży na gentle-
- man'ów a niedonosicieli i prowokatorów.
- Powinienem był ciebie wydalić z liceum , nie robię jednak tego ze
- względu na przykrość jaką bym zrobił twemu koledze Jałowieckiemu.
- Natomiast pozbawiam ciebie niedzielnych urlopów na okres miesiąca,
- abyś zapamiętał że tylko człowiek podły pluje na powalonego prze-
- ciwnika a tylko człowiek pozbawiony serca obrażać może w taki sposób
- przedstawiciela tego bohaterskiego a nieszczęsnego narodu jakim są
- polacy.
- A teraz wobec wrzystkich przeproś kolegę któremuś zrobił krzywdę mo-
- ralną.
....
- Za owych czasów bywali jeszcze porządni rosjanie.

KONIEC SZKOŁ

Egzamina ostateczne miały się ku końcowi.
Musiałem przysiedzieć dobrze fałdów i spędzić nie jedną noc nad książką aby ,, pomyślnie wybrnąć z interesu".
Pozostały mi eknomja polityczna i prawo konsularne, przedmioty zaliczona do podstawowych od których w znacznej mierze zależało pomyślne ukończenie egzaminów.
Czułem się jednak o tyle przygotowanym że mogłem pozwolić sobie na mały wypoczynek á wobec czasowej nieobecności mego ojca korzystać z jego zaprzęgu.
Nasz stary stangret Trofim woził mnie wieczorami na daleką wyspę ,, Jełagin" położoną w widłach Newy u jej ujścia do morza.
Jakiś dziwny upajający czar płynie z tych godzin wieczornych dalekiej północy, kiedy to słońce nie zachodzi a jeno zniża się ku krawędzi horyzontu oświetlając cały widnokrąg przedziwną gamą blasków , barw i półtonów , kiedy to zaciera się granica pory dnia a noce rozświetlone jakąś tajemniczym niebieskawym półmrokiem.
W tych dawnych latach cały elegancki Petersburg zwykł spędzać owe letnie wieczory na wyspach.
Po wysypanych żwirem drogach i serpentynach parków cicho suną pojazdy przystając na cyplu wysp t zw. ,, point" z widokiem na otwarte morze. Oddech słonej wody i aromat wiosennej zieleni miesza się z delikatnym zapachem perfum.
W moich długoletnich wędrówkach po świecie nie spotkałem w żadnej stolicy tyle przedziwnie pięknych twarzy , takich zaprzęgów i takiej inscenizacji jak w tym północnym mieście.
Nie można się dziwić że nawet wielu z polaków nie mogło się oprzeć tej upajającej atmosferze i pokusom które czyhały na każdym kroku.
My ludzie z nad brzegów Wilji , Niemna , Dniepru i Dzwiny mieliśmy jednak w sobie jakąś dziwną odporność a nasza ,, litewska patafjańszczyzna chroniła nas od wszelkich wpływów rozkładowych rosyjskiej stolicy.
Czułem że i po mnie ta wspaniała inscenizacja spływała jak woda nie przesiąkając wgłąb istoty.

Z niecierpliwością wyglądałem ukończenia egzaminów i wyjazdu do domu.
Wreszcie nadszedł oczekiwany dzień wydania dyplomu i pożegnania liceum.
W olbrzymiej sali licealnej t zw ,, sali aktowej " po raz ostatni zebrała się nasza nieliczna grupka drugiej klasy uniwersyteckiej t zw ,, specjalnej " , po raz ostani mielismy na sobie nasze piękne galowe mundury.
Za długim pokrytym zielonym suknem stołem zasiadło ciało pedagogiczne liceum z naszym zacnym dyrektorem generałem Szilderem na czele. Uroczystości przewodniczył W. Ks Oldenburgski - kurator liceum.
Krzesła na sali zajęły rodziny absolwentów. Wsród wieczorowych strojów pań lsniły srebrem i pozłotą mundury urzędników dworu i oficerów gwardyi.
Wielki książe zagaił w paru słowych akt zakończenia.
Po wielkim księciu powstał generał Szilder i przemówił zwracają się

do absolwentów.
Żegnając nas i życząc nam powodzenia w dalszej karjerze życiowej wypowiedział między innemi myśli które mi pozostały na zawsze w pamięci.
- miejcie na uwadze - rzekł - że tylko ci ludzie są warci miana
- gentleman'a którzy w każdej okoliczności życiowej potrafią zacho-
- wać swe właściwe oblicze i prosto a odważnie patrzyć w oczy
- ludzkie. Wsród wychowańców naszego liceum zajmujących często wy-
- bitne stanowisko mamy chyba najbardziej znikomą liczbę karje-
- rowiczów którzy zmieniają swe przekonania według kierunku wiatru
Swoje przemówienie generał zakończył cytatą z Hamleta

This is above all
To Thine ourself be true

Po przemówieniu przystąpiono do wydawania nam dyplomów. Tradycyjnie wywoływano na wstępie nazwiska absólwentów nagrodzonych medalami a następnie według liter alfabetu.

Padło pierwsze nazwisko naszego prymusa i ogólnego ulubieńca Piotra Wołkońskiego.

Byłem oszełomiony gdy w następstwie usłyszałem własne nazwisko. Byłem ostatnim który się spodziewał dostania się na kategoryi prymusów. Myślałem narazie żem się przysłyszał dopiero gdy po raz drugi wywołano mnie napół przytomny stanąłem przed areopagiem. Dyrektor wręczył mi dyplom i safjanowe pudełko z wielkim srebrnym medalem i podał rękę na pożegnanie i powinszowanie.

Chwila ukończenia szkół i otrzymania dyplomu pozostaje w pamięc każdego jako zakończenie pierwszego okresu życia.

Jak że jednak często marzenia młodzieńcze, piękne plany życiowe i ambicje toną następnie w odmęcie szarej rzeczywistości.

Ale życie należy do tych którzy potrafią wzniśc się po nad poziom banalnego podejścia do życia, którzy mają wolę i siły do a co najważniejsze posiadają odwagę ,, dnia powszedniego ".

[illegible]

Żegnałem moich zacnych kolegów z któremi miałem sposobność zachować łączność i przyjaźń. szczegulnie z Piotrem Wołkońskim z którym zetknęłem się w kilka lat potem w Ambasadzie Rosyjskiej w Londynie.

W pierwszej połowie Czerwca znalazłem się wreszcie w domu rodzinnym na Litwie.

Niestety tym razem mało korzystałem z wakacji.
Wbrew tradycjom liceum dającym prawa wyższego zakładu postanowiłem ukończyć jeden z zakładów specjalnych a jesienne konkursowe egzamina wymagały szczegulnego przygotowania i powtórzenia przedmiotów dawno zapomnianych.
Lato zeszło mi na nauce pod kierunkiem zacnego Pana Arlitewicza studenta instytutu technologicznego krótkich przejażdżek konnych i wycieczek na jeziora.

Nadszedł wreszcie Wrzesień i termin konkursu w Instytucie Inżynierów dróg i komunikacyi.

Uczyniłem to contre coeur. Petersburg nie nęcił mnie wcale i zazdrościłem w duszy moim krewnym i znajomym którzy wybierali się na studja do Rygi do sławnej w owym czasie Politechniki Rygskiej.

Z LAT MINIONYCH

szkice

M. Med. Jałowiecki

Część II

Gaudeamus

Londyn
1946

Spis Rzeczy

N A P O L I T E C H N I C E

Pewnego dnia wrześniowego roku 1895 znalazłem się w wielkim hallu Politechniki Rygskiej.
Z uczuciem ulgi opuszczałem Petersburg i ponury gmach Instytutu Dróg i Komunukacyi. Na egzaminach konkursowych nie miałem szczęścia a otrzymawszy tróję z algebry straciłem nadzieje na dostanie się do tego zakładu.
Przyjęto mnie jednak w drodze wyjątku na wakans nadetatowy, będący do dyspozycyi ministra dróg i komunikacyi. W moim pojęciu było to jednak wykorzystawanie stanowiska mego Ojca, do czego nie miałem najmniejszej ochoty, czułem się dość niewyraźnie i po paru tygodniach pobytu w Instytucie postanowiłem zrzygnować z ,, tego losu na loteryi " i uprosiłem Ojca aby dał swoją zgodę na przeniesienie mnie na politechnikę rygską.
Ojciec który nie cierpiał wszelkich protekcyi i protekcyjek całkowicie zaaprobował mój plan.
Mimo spóźnionego terminu matrykulacyi zostałem przyjęty na wydział inżynieryi rolnej.
Tego dnia w hallu politechniki było ludno i gwarno.
Młodzież zjeżdżała się z wakacyi letnich i teraz załatwiała różne sprawy związane z rozpoczęciem roku uniwersyteckiego.
Z ciekawością przyglądałem się życiu uniwersyteckiemu tak różnemu od atmosfery liceum i od urzędniczo sztywnego rygoru Instytutu Inżenierów.
Wśród tłumu młodzieży studenckiej przewijały się barwne czapeczki korporacyi a więc zielone Bałtyki, niebieskie - Rubonji, szafirowe Concordyi wreszcie ciemnogranatowe z biało zieloną obwódką Arkonji.
Po załatwienie formalnosci wstępnych zjawiłem się do dziekana fakultetu starego profesora Thomsa znanego autorytetu w dziedzinie chemji rolnej.
- Wybrał pan najtrudniejszy, najmniej popłatny ale najszlachetniejszy
- zawód, - rzekł profesor - a niech pan nie zapomni że
- Le sol c'est la Patrie
- Ameliorer l'un c'est servire a l'autre
- Mam nadzieję że pan dopełni przyjętych na siebie obowiązków to rzekłs podał mi rękę.
Gdym był już blisko drzwi zatrzymał mnie zapytaniem.
- Czy pan zamierza wstąpić do którejś korporacyi ?
Odpowiedziałem że mam zamiar wstąpienia do Arkonji
- Dobry wybór rzekł profesor, będzie pan miał wielu rolników jako kolegów.
Po wyjściu od dziekana zjawiłem się kolejno do profesorów wykładających na pierwszym roku w celu uzyskania podpisu w t zwanym ,, testirheft "
Byłem u profesora Shindlera wykładającego hodowlę roślin i botanikę u profesora Bischoffa chemika będącego postrachem wrzystkich agronomów Profesora Dossa - mineraloga i geologa, prof Kirsteina - budownictwa

prof. Bohla - matematyka ,
Dzień zszedł mi na zakupieniu przyborów kreślarskich , książek na zarezerwowaniu miejsca w laboratorjum chemicznym i w kreślarniach.
Wieczorem udałem się na kolację do t zw Romkeller'u - restauracji mieszczącej się w suterenach Hotelu Rzymskiego.
Było tam pełno i gwarno. Zauważyłem że każda z korporacyi miała swój stół. Młodzież studencka zachowywała się dość hałaśliwie . Na tle tej rubasznej burszowskiej atmosfery odbijały się dodatnio swym zachowaniem i zewnętrznym wyglądem studenci polskiej korporacyi Arkonji i niemieckiej Bałtyki.
Zasiadłem samotnie przy stoliku w pobliżu arkonów. Usłyszałem nieoczekiwanie swoje nazwisko. Jeden z młodych ludzi podszedł do mnie powitawszy mnie przyjacielsko. Był to mój dawny znajomy Michał Wereszczaka z Gutowszczyzny ziemi Nowogródzkiej.
Zostałem zaproszony do wspólnego stołu i po obustronnym przedstawieniu i krótkiej rozmowie zakomunikowałem obecnym o moich projektach zapisania się do Arkonji.
Zgodnie z etykietą arkońską te moje oświadczenie przyjęto dość zimno. Nie leżało to w tradycjach arkońskich rekrutowanie młodych studentów , przeciwnie przyjęcie do korporacyi łatwem nie było .
- A czy pan zna drugą polską korporację ,, Welecję , spytał mnie jeden ze starszych kolegów .
- Może było by wskazanem zapoznać się z obydwoma stowarzyszeniami i - dopiero potem zdecydować się na wybór.
Odpowiedziałem że znam Arkonję z tradycyi i opowiadań moich krewnych i znajomych,filistrów Arkonji,i że nie leży to w moich zamiarach zapoznawać się z ideologją Welecyi ani odwiedzać narazie ich kwaterę.
Powoli po przełamaniu pierwszych lodów atmosfera stała się mniej sztywną.
Wypytywałem o warunki przyjęcia , o wykłady , o koszta utrzymania i wynajęcia pokoju , gdyż w pierwszych dniach pobytu zamieszkałem w hotelu.
Udzielono mi rzeczowych i życzliwych odpowiedzi , a mój nowy przyjaciel ,, Mik " Wereszczaka,obiecał dopomódz mi w wyszukaniu pokoju gdyż pobyt w hotelu nie mieścił się w granicach budżetu studenckiego.
Umówiłem się,że dnia następnego w Sobotę spotkamy się na śniadaniu na kwaterze Arkonji . Będę miał sposobność przedstawienia się członkom prezydjum i złożenia podania o przyjęcie w poczet członków stowarzyszenia.
Mimo zmęczenia długo nie mogłem zasnąć w oczekiwaniu dnia następnego.

P I E S N   A R K O N J I

W czarnej fuksowskiej czapeczce ze srebrnym inicjałem Arkonji znalazłem się po raz pierwszy w środowisku korporacyjnym. Był wieczór
Siedziałem w gronie starszych kolegów w wielkiej sali naszej kwatery przy szklance piwa i z ciekawością przysłuchiwałem się rozmowom.
Głośne uderzenie żelaza o drzewo przerwało pogadankę , spójrzałem po za siebie.
W końcu sali na stole stał dorodny młodzieniec z rapirem w ręku, w barwnej czapeczce na głowie i trójkolorowej przepasce na piersiach
- Silencjum ! zawołał donośnym głosem
Na sali zaległa cisza
- Koledzy , pieśn Arkonji , zawołał powtórnie
Powstano z miejsc , na sali zaroiło się od granatowych czapeczek wrzystkie twarze zwróciły się w stronę godła Arkonji zawieszonego na frontowej ścianie na tle wachlarza trójkolorowych chorągwi korporacyjnych
Zabrzmiała na sali dzwięczna melodja pieśni naszego stowarzyszenia

- Niech z setki młodych piersi głos
- Potężny chór zapieje
- Niech nam Arkonja wieczny czas
- Rozkwita promienieje

- Niech krzepi serca krztałci myśl
- Rozwija młode ramię
- A żadna troska , żaden cios
- Potęgi jej nie złamie

- My syny jej wśród życia dróg
- Okażmy się jej godni
- Dla cnoty miejmy wszelką cześć
- A wzgardy moc dla zbrodni

- I w taką uzbrojeni broń
- Do walki stańmy z światem
- A każdy dzielny polski mąż
- Niech będzie naszym bratem

Pieśn się skończyła.
" Mistrz śpiewu" uderzył rapirem po stole
Ex ! zawołano na sali

Był to dla mnie dzień pamiętny. Po złożeniu podania , Wiceprezes Arkonji Ks Seweryn Czetwertyński wziął mnie pod rękę i chodząc po sali wyjaśnił mnie cele i ideały stowarzyszenia , odczytał mi rotę przysięgi arkońskiej i podał mi rękę na znak że dochowam mych zobowiązań.
Zostałem więc przyjęty oficjalnie na prawach kandydata / fuksa /.

O ile przed przyjęciem oficjalnym oblano mnie jak każdego zresztą z aspirantów zimną wodą, o tyle potem otoczyła mnie nagle serdeczna miła atmosfera koleżeństwa i harmonji które tak cechowały wewnętrzne życie naszego stowarzyszenia.

Zapoznałem się niezwłocznie z memi najbliższemi kolegami z „coetusu / rocznika / i z naszym bezpośrednim opiekunem czyli t zw Oldermanem / gospodarzem / który był poniekąd wychowawcą , doradcą i najbliższym przyjacielem korporacyjnych żółtodziobów / fuksów /

Zadanie Oldermana było trudne i wymagało wielkiego taktu , spokoju i wyczucia natury ludzkiej.

W owych czasach dążyła do Rygi młodzież polska ze wrzystkich dzielnic dawniejszej Rzeczypospolitej ; z szerokiej Ukrainy z Białejrusi Litwy,Żmudzi,z Królestwa z dalekiej Rosyi z Petersburga Moskwy każdy wnosił z sobą zwyczaje , tradycje rodzinne, odrębności mowy naleciałości tego lub innego zakładu w którym odbierał średnie wykształcenie.

Zebrać ten konglomerat w jedną całość, zcementować pojęciowo ,natchnąć jedną ideą przewodnią , skorygować i naprawić braki wychowania i przygotować na przyszłego pożytecznego członka koła Arkonji było to zadanie nie lada.

Naszym Oldermanem był Władek Mazaraki, ziemianin z Ukrainy, który zyskał naszą przyjaźń i zaufanie a który całkowicie odpowiadał zadaniom wychowawcy.

Szczęśliwie dla Władka rocznik nasz był szczegulnie solidarny i zdyscyplinowany i pod tym względem opiekun nasz nie miał nigdy kłopotu.

W dziejach Arkonji coetus nasz nie odznaczył się ani wielką indywidualnością ani inteligencją. natomiast był to rocznik głęboko przywiązany do stowarzyszenia i gotowy dać się posiekać , gdy chodziło o honor korporacyi.

Nie było wsród nas charakterów wybitnych i przewyższających otoczenie swym intelektem. być może z tej racyi byliśmy nad wyraz solidarni

Prezes komisyi naukowej miał z nami sporo kłopotu gdy chodziło o napisanie obowiązkowego odczytu i obronienie tezy ,natomiast gdy chodziło o fechtunek , pojedynek z niemcem , podtrzymywanie stosunków zewnętrznych , przygotowanie Balu arkonji , komerszu , sporty i polowanie byliśmy pierwsi.

Zebraliśmy się jak to mówią ,, simplex servi Dei " ale jakoś w życiu późniejszym dawaliśmy sobie radę nie wysuwając się co prawda do pierwszych szeregów ale i nie pozostając w tyle.

Z moich confuksów / kolegów z tego samego rocznika / wymienię Kazimierza Bystrama z Bystrampola ziemi Kowieńskiej, Janusza Chmielowskiego / syna Piotra znanego autora i uczonego / Szymona Meysztowicza z Meyszt , Tadeusza Mazarakiego z Ukrainy, Jakóba Rokickiego z Ukrainy. Ks Konstantego Czetwertyńskiego z Grodzieńszczyzny , Zygmunta Rutkowskiego z Koźliszek ziemi Kowieńskiej, Kazimierza Falkowskiego z Mińszczyzny, Alfonsa Czarnowskiego z Ukrainy , Andrzeja Bower de St Clair - szkota , Tadeusza Szaniora z Warszawy Bogdana Żagiela z Wileńszczyzny, Hr Edawarda O'Rourke z Basina ziemi Nowogródzkiej, Gabryela Wodzińskiego z Zaborówka z Królestwa, Michała Wodzińskiego z Sierakówka
Wacława Zyndram Kościałkowskiego, Michała Wereszczaki z Gutowszczyzny ziemi Nowogródzkiej, Konstantego Żebrowskiego z Rudy z pod Kamieńca Aleksandra Hr Choiseul - Gauffier z Płotel na Żmudzi WRESZCIE Józefa Wołłodkowicza z Iwańska ziemi Witebskiej.

S T U D E N T E R J A   R Y G S K A

Ustrój akademicki na dwuch wyższych uczelniach nadbałtyckich w Rydze i Dorpacie różnił się wyraźnie od ogólnego szablonu uniwersytetów i specjalnych wyższych zakładów na obszarze państwa rosyjskiego. Obie uczelnie zachowały ustrój uniwersytetów zachodnich z Senatem uniwersyteckim , z sądem akademickim z szeregiem pewnych swobód życia studenckiego wreszcie z możliwością grupowania się wychowańców w korporacjach oficjalnie zatwierdzanych i uznawanych przez władze administracyjne.

Studenterja rygska i dorpacka dzieliła się na dwa różne a nie mające z sobą nic wspólnego odłamy na : „korporantów" i tak zw „wilderów" czyli dzikich.

Korporacje grupowały młodzież o pewnych pojęciach zachodnich, o tradycjach , o pewnej przynależności do tej lub innej sfery towarzyskiej wreszcie elemntów nie rdzennie rosyjskich których łączył wzajemnie pewien instynkt samozachowawczy od napływu wschodniego nihilizmu lub skrajnego nacjonalizmu moskiewskiego.

Większość korporacji składała się z żywiołu niemieckiego starego mieszczaństwa Rygskiego i szlachty bałtyckiej. Najliczniejsze były jednak dwie korporacje polskie Arkonja i Welecja w których grupowała się prawie cała młodzież polska przybywająca w owym czasie tłumnie na studja do wyższych uczelni bałtyckich.

Druga grupa studenterji składała się z napływowych żywiołów rosyjsko-żydowskich o charakterze jawnie lewicowym a po części wywrotowym wreszcie z licznej grupy t zw. seminarzystów, którzy po ukończeniu seminarjum duchownego zrzygnowali z karjery kapłańskiej i korzystając z niektórych ułatwień napłynęli tłumnie na politechnikę Rygską.

Był to element w pełnym tego słowa znaczeniu wstrętny w którym niepojętym dla mentalności zachodniej sposobie łączył się nihilizm wraz z skrajnym rosyjskim szowinizmem nie znoszącym wszystkiego co ma jakiś wyraz kultury zachodniej.

Te dwa światy egzystowały obok siebie nie łącząc się a nawet nie komunikując wzajemnie. Korporanci patrzyli na te stado wschodniej dziczy z nietajoną pogardą, szczegulnie gdy pod koniec ostatniego dziesiątka ubiegłego stulecia na naszej spokojnej uczelni zaczęły się strejki i zamieszki studenckie powodowane przez te barbarzyńskie żywioły domagające się skasowania swobód akademickich , zamknięcia korporacji i wprowadzeniu mundurów.

Wśród „wilderów" można było spotkać również jednostki nie nadające się do zbiorowego życia korporacyjnego i nie znoszące dyscypliny i rygoru charakteryzującego ustrój korporacyjny.

Nic dziwnego że w pojęciu każdego korporanta słowo „ wilder " było symbolem wewnętrznego i zewnętrznego upadku, symbolem niższości, złego wychowania , chamstwa wreszcie bezczelności z którą ten element narzucać chciał swoje bezprawie i swoje poglądy.

Wilderzy nie uznawali ani sądu akademickiego , ani honorowego załatwienia spraw a Senat Uniwersytecki nie raz stawał wobec bezradnie wobec zachowania tych panów.

Jedynym poniekąd kulturalnym elementem wsród tej dziczy byli żydzi grupujący się w kole semickim zwanym z ruska „ krużok ". Szczegulnie wydział chemiczny był licznie obsadzony przez mniejszość narodową.

Młodzież polska umiała wykorzystać ustrój korporacyjny dla swych celów

Ustrój korporacyjny automatycznie zaprawiał młodzież do życia parlamentarnego, do rzeczowego i ujętego w przyzwoitą formę dyskutowania wreszcie co najważniejsze do szanowania zdania przeciwnika, o ile osoba przeciwnika nie używała argumentów przeczących zasadom etyki.

Korporacja składała się z czynnych członków koła / t zw barwiarzy / noszących kolorowe oznaki stowarzyszenia , kandydatów noszących na głowie czarne czapeczki ze srebrnym inicjałem wreszcie filistrów / filistrów członków koła lub filistrów kandydatów /

Aby stać się członkiem koła / otrzymać barwy / trzeba było przejść przez okres próby . Do koła przyjmowano zazwyczaj w trzecim semestrze, a więc po roku próby. W rzadkich wypadkach obdarzano barwami w drugim semestrze.

Przyjęcie do koła było uroczystością, która na całe życie pozostawała w pamięci.

Zazwyczaj dwuch czynnych członków koła proponowało kandydata . Na tajnem posiedzeniu koła odbywały się przed tem debaty na których omawiano „pro i contra" zalety i wady proponowanego członka.

Dopiero po upływie paru tygodni po przebalotowaniu prezes Korporacyi zjawiał się osobiście w mieszkaniu prywatnym przyjętego kandydata i po dłuższej rozmowie o ile kandydat zdecydował się ślubować wierność zasadom i celom arkonji zawartym w t zw ,, podaniu " oraz dochować wiernie ,, tajemnicy koła " został przez prezesa zaproszony na posiedzenie koła Arkonji / kandydata aż do czasu oficjalnego przyjęcia obowiązywała tajemnica / na którym odbierano oficjalne zobowiązanie poczem wkładano uroczyście kolorową czapeczkę na głowę i trójkolorową wstęgę na piersi.

Od tej chwili stawał się oficjalnie ,, barwiarzem " i zwykle musiał przyjąć na siebie jakiś z niższych urzędów stowarzyszenia .

Korporacja była w minjaturze małą republiką z szeregiem urzędów związanych z życiem stowarzyszenia jak wewnątrze tak i na zewnątrz zespołu.

Oprócz prezydjum składającego się z prezesa , wiceprezesa i sekretarza będących władzą stowarzyszenia i reprezentujących na zewnątrz korporację, mieliśmy następujące urzędy a więc: oldermana czyli gospodarza odpowiedzialnego za kandydatów będących na pierwszym roku studjów, wydziału sądowego składającego się z trzech członków, dwuch sędziów honorowych, delegata do ogólno studenckiego sądu oraz delegatów do ogólno studenckiego sądu honorowego, trzech członków komisyi naukowej , komisyi zebrań towarzyskich, mistrza fechtunku wraz z kilku substytutami mistrza śpiewu, bibjotekarza , gospodarza kwatery , wydziału finansowego . kasjera. kasy stypenjalnej , kasy kuchennej, gospodarza kuchni. komisyi balowej, komisyi komerszowej ,

Najwyższym organem zespołu wszystkich korporacyi był Konvent senjorów reprezentowanych przez prezesów lub vicprezesów poszczegulnych korporacyi. Prezesem konventu senjorów był po kolei prezes każdej z korporacyi. Obok konventu senjorów był jeszcze konvent delegatów / Chargirten Convent / będący w gruncie rzeczy najwyższym organem doradczym życia międzykorporacyjnego. Każde stowarzyszenie wysyłało po dwuch delegatów do konventu. Przewodniczyła po kolei każda z korporacyi.

Niektóre zasadnicze sprawy jak np zatwierdzenie i uznanie nowootworzonej korporacyi zależało od decyzyi ,, Konventu Delegatów.

Przy zatwierdzeniu Arkonji była ze strony dwuch niemieckich korporacyi wielka opozycja . Trzeba było z rapirem i pistoletem w ręku przerąbać drogę. Dopiero po kilku pojedynkach które się zakończyły tragicznie dla niemców w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia uznano Arkonję.

Uznanie Arkonji zawdzięczamy poczciwej Rubonji z którą zachowaliśmy trwałą przyjaźń. od tego czasu

Gorzej było z zatwierdzeniem łotyskiej korporacyi Zelonji, która przez dwadzieścia pięć lat napróżno starała się o uznanie . Niemcy i Rosjanie byli w stałej opozycyi. Zelonja egzystowała nieoficjalnie nie miała prawa nosić swych oznak po za ścianami własnej kwatery , nie miała z tej racyi swych przedstawicieli ani w Senjoren ani w Schargirten Conven'cie.

Zelonję uznano dopiero w latach dziewięćsetnych i to dzięki Arkonji i Welecji. a więc dzięki polskim głosom.

Za czasów mego pobytu w Rydze oficjalnie egzystowały sześć korporacyi mianowicie

A. Polskie

Arkonja / Barwy : granatowa , biała , zielona . Czapeczki : granatowe z zielono białym otokiem /

Welecja / Barwy zielona , srebrna , niebieska . Czapeczki aksamitne zielona z srebrno niebieskim otokiem

B. Niemieckie.

Bałtyka, składająca się w lwiej części ze szlachty bałtyckiej / Barwy jasno zielona , złota , czerwona . Czapeczki Jasno zielone ze złotym i czerwonym otokiem.

Rubonja, stowarzyszenie zamożnego mieszczaństwa rygskiego / Barwy niebieska , czarna , biała . Czapeczki : niebieskie z czarno białym otokiem

Concordja , Burszowska korporacja o charakterze burschenschaftu a nie Corpsu / Barwy Szafirowa, złota czerwona. Czapeczki Szafirowe ze złotem i czerwienią.

C. Rosyjskie.

Arktyka, również o charakterze burschenschaftu składająca się z mieszaniny różnych elementów reakcyjnych . / Barwy czarna, złota i czerwona . Czapeczki Czarne ze złotem i czerwienią.

D Łotyskie :

Zelonja egzystująca nieficjalnie . Miała prawo używać barw jedynie wewnątrz kwatery stowarzyszenia.
/ Barwy jasno zielona , złta , biała . Czapeczki jasnozielone z biało złotym otokiem.

Stosunki pomiędzy korporacjami układały się naogół przyjacielsko, Odwiedzano się wzajemnie a odwiedziny te kończyły się kolacja i często przeciągały się do późnej nocy.

Rzecz oczywista że stosunki te podlegały zmianom zależnie od panujących nastrojów lub zespołu tej lub innej korporacyi.

Arkonja tradycyjnie trzymała się z Rubonją oraz z Bałtyką. Stosunki z rosyjską Arktyką były zawsze oficjalne i naprężone.

Z Welecją zachowywaliśmy stosunek przyjacielski pomimo różnicy poglądów i pewnego współzawodnictwa . Nie dochodziło jednak nigdy do poważniejszych scysji i w sprawach zasadniczych obie polskie korporacje występowały zazwyczaj solidarnie.

Arkonja jako starsza przechowywała więcej dawniejszych tradycyi i zwyczajów, były to jednak dwa odrębne światy i środowiska, które w życiu codziennym nie łatwo mogły by się dopasować. Nieprzeszkadzało to, że indywidualnie mieliśmy w Welecyi wielu przyjaciół i sympatycznych kolegów .

Pomawiano nas o arystokratyzm, było w tem o tyle prawdy, o ile równmnie w górę podpada pod te określenie. Arkonja wyrabiała w wysokim stopniu poczucie honoru i godności osobistej i z tej racyi w stosunkach wewnętrznych Arkonji panowała zupełna rówość i dobrze pojęty demokratyzm. Starano się wyrobić w nas odwagę zdania , odwagę dnia powszedniego a wszelkiemi sposobami starano się wykorzenić ,, inferiority complex."

Już sam pobyt w Arkonji był pewnego rodzaju nobilitacją stawiającą studenta i filistra [redacted] naszego stowarzyszenia na pewnym poziomie społecznym i towarzyskim.

Wśród członków Arkonji mieliśmy młodzież z różnych sfer towarzyskich a nie samych tylko książąt i hrabiów , wrzyscy jednak po kilku miesiącach pobytu czuli się jak w najbliższej rodzinie , jak w domu, i nie przyszłoby nikomu do głowy podkreślać lub dawać koledze do poznania różnicy pochodzenia.

Natomiast przestrzegano bardzo surowo zasady dobrego wychowania. Wszelkie przejawy chamstwa, wszelkie odchylenia od zasad gentlamana tępiono z całą bezwzględnością, a biada temu kto by nie zachował względów należnych kobiecie, nawet będąc w towarzystwie kobiet z ,, półświatka lub popełnił najmniejszą niedyskrecję wobec kobiety. Czekała go kara surowa aż do wydalenia ze stowarzyszenia lub z koła Arkonji

Dziś z oddali lat tem wyraźniej występują mi w pamięci dodatnie wpływy wychowawcze naszej korporacyi.

Po kilku dniach pobytu w tym wesołym miłym przyjaznym środowisku poczułem się jak w najbliższej rodzinie , otrząsłem z siebie różne naleciałosci ,, licealne " i całkowicie [redacted] wsiąkłem w te nasze barwne , pełne werwy [redacted] i poezyi życie korporacyjne.

Aczkolwiek w Arkonji przestrzegano, aby młodzież nie zaniedbywała studjów i nie poświęcała zbyt wiele czasu życiu korporacyjnemu kosztem nauki tem nie mniej połączenie tych dwuch obowiązków było dosyć trudne i w niektórych wypadkach młodzi ludzie nie posiadający z natury silnej woli tracili pierwszy rok.studjów.

[redacted]

Nie należało jednak uważać te pierwsze dwa semestry za stracone. Pierwszy rok pobytu w stowarzyszeniu był świetną szkołą życiową i obywatelską, stawiał młodego człowieka na pewnych nogach, dawał młodzieży gruntowne podstawy społeczne , narodowe i towarzyskie.

Zazwyczaj już w drugim roku młodzież dopędzała stracone studja mając już za sobą nabyte doświadczenie i rutynę życiową.

W czasie pierwszego roku pobytu w Arkonji mieliśmy obowiązujące wykłady z historji i literatury polskiej. Większość z nas uczyła się w szkołach rosyjskich ze względu na konieczność otrzymania matury dającej prawo wstępu do wyższych zakładów. Na douczanie w domu rodzimej historji i literatury często nie było czasu, szczegulnie w wypadkach przebywania młodzieży w zakładach zmakniętych .

Zadaniem Arkonji było wyrównanie tych usterek wykształcenia , zainteresowanie młodzieży czemś szerszym po za pracą zawodową i przygotowanie do dalszej działalności obywatelskiej.

W czasie pierwszych dwuch lat każdy z nowoprzyjętych członków był obowiązany do złożenia na ręcą komisji naukowej odczytu i obronienia publicznego swych tez.

W razie niezłożenia odczytu w ustalonym terminie lub odrzucenia przez komisję pracy groziło wydalenie z koła a więc pozbawienie praw noszenia barw i uczestnictwa w posiedzeniach koła.

Rocznik mój miał poważne trudności przy składaniu odczytów. Komisja naukowa której przewodniczył Wojciech Baranowski była bardzo surowa w swych sądach, a niektórzy z nas zmuszeni byli po cztery razy przerabiać pracę zanim ją przyjęto.

Komisja naukowa zdecydowała wreszcie, że w stosunku do poziomu intelektualnego naszego rocznika należy zastosować daleko idącą wyrozumiałość, co nam wreszcie umożliwiło przebrnięcie przez ten męczący okres. Westchnęliśmy wrzyscy z ulgą, gdy nam oznajmiono, że prace nasze przyjęto i że możemy już sypiać spokojnie bez obawy utraty barw stowarzyszenia.

Atmosfera Rygi szczegulnie sprzyjała życiu akademickiemu. Było to miasto prowincjonalne , żyjące spokojnem statecznym życiem , pełne swoistego uroku , pełne tradycji płynącej z pokrytych pleśnią wieków murów starej Hanzy , z jej gotyckich tumów o strzelistych wieżycach z szerokich kwiecistych parków i bulwarów wreszcie z majestatycznej Dźwiny płynącej szerokim korytem ku morzu.

Wrzyscy się tu wzajemnie znali a barwna czapeczka korporacyjna otwierała nam drzwi do domów prywatnych i poważnych rodzin ryskiego mieszczaństwa lub bałtyckiego ziemiaństwa.

Nie było tu wyraźnej linji demarkacyjnej pomiędzy wsią a miastem. Żyło się tu życiem pół wiejskim a kwatera Arkonji z tradycyjnym służącym, poczciwym żmudzinem, Wincentym przypominała swym urządzeniem wnętrze dworu wiejskiego.

Pobyt w tym środowisku pozostawił nam wrzystkim dawnym arkonom niezatarte wspomnienia na całe życie. Był to jakby zastrzyk młodości , pogody i dobrego humoru jakąś wiecznie tlejącą iskrą w duszy

Jak że często w późniejszym życiu, w chwilach ciężkich lub krytycznych człowiek zwracał się myślą ku owym dawnym czasom i tych wspomnień czerpał otuchę i wiarę w przyszłość i we własne siły. i jak że często brzmi nam jeszcze w uszach poważna melodja owej odwiecznej pieśni studenckiej.

Gdy wieczorem marzę sam , to w mej wyobraźni
Stoją widma dawnych lat szczęścia i przyjaźni
Zda się widzieć miasta krztałt , w pustej gdzieś ulicy
Stoi wielki stary gmach , mury mej wszechnicy.

M E N Z U R A

Wśród młodzieży którą Arkonja brała pod swe skrzydła opiekuńcze zdaały się okazy jak by żywcem wzięte z opowieści sienkiewiczowskich , luzie których główną wadą było że przyszli na świat o kilkaset lat zapóźno .

Było to nie lada zadaniem aby te bujne typy kresowe przerobić i przystoować do życia realnego , do walki o chleb powszedni , zaprawić ich do racy społecznej i obywatelskiej.

Nie zawsze udawało się zmienić całkowicie ich psychikę. W każdym razie jeżeli się nie powiodło zmusić ich do pracy na politechnice to koedzy ci opuszczali mury uniwersyteckie już z innym światopoglądem z nnym podejściem do życia i ludzi.

Jednym z takich nieokiełzanych natur był mój powietnik zamożny ziemianin z powiatu Święciańskiego Daniel Paszkiewicz Tołokański.

Za młodu stracił obojga rodziców. Pozostał z młodszym bratem pod opieką krewnych, którzy się mało zajmowali sierotami. Chłopcy rosli samopas. Młodszy brat studjujący medycynę w Dorpacie członek Dorpackiego Konventu Polonji zmarł przedwcześnie. Daniel pozostał w Rydze.

Zyskał on sławę największego awanturnika i rębacza, choć nigdy nie przekroczył granic gentlemaneryi i honoru. Względem kolegów i przyjaciół, względem biednych lub potrzebujących opieki miał otwartą kieszeń i serce.

Był wsród kolegów bardzo lubiany i wiele mu przebaczano tembardziej że był to człowiek [illegible] głęboko wierzący.

Z jego osobą związane są wspomnienia pierwszego pojedynku na którym w pierwszym semestrze wspólnie z Mikiem Wereszczaką braliśmy udział w roli ,, szlepfuksów " . Szlepfuksy w przerwach w czasie pojedynku podtrzymywali w pozycyi poziomej prawą rękę partnerów.

Już od czasu dłuższego pomiędzy Arkonją a rosyjską korporacją Arktyką egzystowała daleko idąca niechęć , która z biegiem czasu zmieniła się w nienawiść.

Był w owym czasie w Arktyce niejakiś Arszaułow , rosjanin tatar , znany siłacz i szermierz który zyskał sobie sławę niepokonanego.

Tego to Arszaułowa arktycy wydelegowali do szukania zaczepki z Paszkiewiczem. Nie czekano długo. Paszkiewicz pierwszy sprowokował Arszaułowa Nastąpiło wyzwanie i w dalszym ciągu sąd honorowy i pojedynek. na rapiery tak zw. ,, menzura ".

Zdarzenie te wzbudziło wielkie zainteresowanie w swiecie korporacyjnym

Każdy chciał być świadkiem potyczki dwuch najlepszych szermierzy ryskich tembardziej że jak pod względem wzrostu i siły Arszaułow mało przewyższał Paszkiewicza.

Już od rana kwatera Arkonji zapełniła się różnokolorowemi czapeczkami zaprzyjaźnionych korporacyi wsród nich przeważały niebiesko czarno białe barwy naszej przyjaciółki Rubonji.

Była jednasta rano gdy oznajmiono o rozpoczęciu procedury pojedynkowej Ustawiono stół na którym stanął sędzia t zw Unparteischel - Bezstronny oznaczono na podłodze kredą granicę stron pojedynkujących. Na salę weszło dwuch lekarzy ubranych w białe płaszcze sanitarne z pudełkiem narzędzi chirurgicznych i opatrunków w ręku.

Silencjum oznajmił sędzia.

Drzwi otworzono. Z przeciwległych końców sali wyszły orszaki pojedynkowe.

Na przedzie ,, szlepfuksy " trzymając w rękach rapiry pojedynkowe o gardach z kolorami korporacyi , , dalej sekundanci opasani szerokiemi trójkolorowemi pasami z rapirami sekundanckiemi w rękach i czapeczkach korporacyjnych na głowach.

Po przerwie kilu minut wprowadzono partnerów.
Ubrani byli w koszulach nocnej od pasa aż po kolana, mieli na sobie grube skórzane wypchane włosiem tekielarze , za niemi niesiono hełmy i rękawice pojedynkowe.

Na sali zapanowała głucha cisza.
Sędzia głośno odczytał regulamin pojedynkowy w końcu poprosił tonem urzędowym aby antyduelanci opuścili salę.

Na głowy partnerów włożono hełmy i rękawice pojedynkowe na prawą rękę. wreszcie podano im rapiery.

Partnerzy stanęli na wyznaczonym stanowisku mając za sobą sekundantów

Rozległy się słowa komendy
- Bindet die Waffen zum ersten Gange - zawołał sędzia
~~[illegible]~~
Skrzyżowano broń
- Gebunden sind - odrzekli sekundanci
- Der Gegenpartner shlägt los ' oznajmił sędzia
Nastąpiło pierwsze starcie
Arszaułow z furją rzucił się na Arkona , ten spokojnie odparowywał cięcia. Byliśmy nieco rozczarowani jego flegmą i powolnoścą .
Zdawać by się mogło , że Tatar na drobne kawałki posieka Polaka.
Jakoż na ramieniu Paszkiewicza ukazała się pręga krwi.
- Halt - zawołał sędzia - hat's gesesen .
Rozległa się komenda zmiany miejsc.
Nastąpiło drugie starcie prowadzone z nieustającą furją przez naszego przeciwnika , i tym razem Paszkiewicz został draśnięty w piersi.
Powtórnie zmieniono miejsca. Arszaułow oddychał ciężko .
Sędzia zarządził małą przerwę.
Po kolei z Mikiem jako ,, szlepfuksy " trzymaliśmy rękę Paszkiewicza w pozycyi poziomej. Widzieliśmy jak z pod hełma mrugnął na nas oczami .
Zarządzono dalszy ciąg pojedynku,odskoczyliśmy z Mikiem na stronę
Nastąpiło trzecie potem czwarte starcie . Zmieniano miejsca ale z żadnej strony nie zauważyliśmy przewagi.

W oczach obecnych widać było zaniepokojenie , należało się spodziewać że piekielna siła przeciwnika zmoże w końcu Pazskiewicza który wciąż był w defensywie.

Nastąpiło wreszcie piąte starcie. i tu zaszła rzecz zgoła nieoczekiwana . Paszkiewicz przeszedł do ataku. Rapir jego jak błyskawica jął zataczać koła nad przeciwnikiem , który nie mógł nadążyć z parowaniem krótkich dobrze przestudjowanych ciosów, szermierza wysokiej klasy jakim był Arkon. Sztuka zaczęła pokonywać siłę.
Wreszcie w pewnym momencie Paszkiewicz zamierzył się do cięcia tercyi i korzystając z pozycyi przeciwnika który niebacznie się odsłonił ciął całą siłą w otwartą pierś moskala.
- Cyganka - zawołano na sali,było to sławne arkońskie cięcie
Silencjum krzyknął groźnie sędzia.
Na koszuli Arktyka wykwitła szeroka czerwona pręga , krew chlusnęła

Na przedzie ,, szlepfuksy " trzymając w rękach rapiry pojedynkowe o gardach z kolorami korporacyi , , dalej sekundanci opasani szerokiemi trójkolorowemi pasami z rapirami sekundanckiemi w rękach i czapeczkach korporacyjnych na głowach.

Po przerwie kilu minut wprowadzono partnerów.
Ubrani byli w koszulach nocnej od pasa aż po kolana mianą na sobie grube skórzane wypchane włosiem tekielarze , za niemi niesiono hełmy i rękawice pojedynkowe.

Na sali zapanowała głucha cisza.
Sędzia głośno odczytał regulamin pojedynkowy w końcu poprosił tonem urzędowym aby antyduelanci opuścili salę.

Na głowy partnerów włożono hełmy i rękawice pojedynkowe na prawą rękę. wreszcie podano im rapiery.

Partnerzy stanęli na wyznaczonym stanowisku mając za sobą sekundantów

Rozległy się słowa komendy
- Bindet die Waffen zum ersten Gange - zawołał sędzia
~~Gebunden sind - odrzekli sekundanci~~
Skrzyżowano broń
- Gebunden sind - odrzekli sekundanci
- Der Gegenpartner shlägt los ' oznajmił sędzia
Nastąpiło pierwsze starcie
Arszaułow z furją rzucił się na Arkona , ten spokojnie odparowywał cięcia. Byliśmy nieco rozczarowani jego flegmą i powolnością .
Zdawać by się mogło , że Tatar na drobne kawałki posieka Polaka.
Jakoż na ramieniu Paszkiewicza ukazała się pręga krwi.
- Halt - zawołał sędzia - hat's gesesen .
Rozległa się komenda zmiany miejsc.
Nastąpiło drugie starcie prowadzone z nieustającą furją przez naszego przeciwnika , i tym razem Paszkiewicz został draśnięty w piersi.
Powtórnie zmieniono miejsca. Arszaułow oddychał ciężko .
Sędzia zarządził małą przerwę.
Po kolei z Mikiem jako ,, szlepfuksy " trzymaliśmy rękę Paszkiewicza w pozycyi poziomej. Widzieliśmy jak z pod hełma mrugnął na nas oczami .
Zarządzono dalszy ciąg pojedynku,odskoczyliśmy z Mikiem na stronę
Nastąpiło trzecie potem czwarte starcie . Zmieniano miejsca ale z żadnej strony nie zauważyliśmy przewagi.

W oczach obecnych widać było zaniepokojenie , należało się spodziewać że piekielna siła przeciwnika zmoże w końcu Pazskiewicza który wciąż był w defensywie.

Nastąpiło wreszcie piąte starcie. i tu zaszła rzecz zgoła nieoczekiwana . Paszkiewicz przeszedł do ataku. Rapir jego jak błyskawica jął zataczać koła nad przeciwnikiem , który nie mógł nadążyć z parowaniem krótkich dobrze przestudjowanych ciosów, szermierza wysokiej klasy jakim był Arkon. Sztuka zaczęła pokonywać siłę.
Wreszcie w pewnym momencie Paszkiewicz zamierzył się do cięcia tercyi i korzystając z pozycyi przeciwnika który niebacznie się odsłonił ciął całą siłą w otwartą pierś moskala.
- Cyganka - zawołano na sali, było to sławne arkońskie cięcie
Silencjum krzyknął groźnie sędzia.
Na koszuli Arktyka wykwitła szeroka czerwona pręga , krew chlusnęła

na podłogę
Arktyk zachwiał się i padł na ręce sekundantów.
Sala oniemiała.
- Mensur ist ex - oznajmił sędzia
Nieprzytomnego Arktyka wyniesiono do przyległego pokoju . Chirurg zabrał się pośpiesznie do zaszywania cięcia.

Zdjęliśmy z głowy naszego kolegi hełm. Ze zdziwieniem przekonaliśmy się że nie widać było na nim śladów zmęczenie. Był czerwony ale z radości.... Honor Arkonji był ocalony.
Po tak szczęśliwym dla nas zakończeniu pojedynku asystę przeciwnika i zaprzyjaźnione korporacje zaproszono do stołu i obie strony w zgodzie i harmoji przesiedziały przy lampce wina aż do późnej nocy.

Aczkolwiek stosunek pomiędzy Arkonją i Arktyką nigdy nie był przyjacielski to nauczka poskutkowała o tyle że zachowanie moskali stało się względem nas poprawne.

Arszaułow dostał kilkanaście szwów i około miesiąca spędził w szpitalu. Paszkiewicz często go odwiedzał i zaprzyjaźnił się z tatarem który z całego zespołu Arktyki okazał się największym gentlemanem i nie raz otwarcie bronił polaków.

W kilka tygodni po tym zajsciu jakiś z oficerów rosjan kwaterujęcego w Rydze pułku piechoty w obecności Paszkiewicza odezwał się z lekceważeniem o polakach.

Paszkiewicz natychmiast zareagował.czynnie , ale oficer nie uważał za stosowne przysłać w ciągu doby sekundantów do Arkona.

W kilka dni po tym wypadku spotkaliśmy się z Paszkiewiczem na kwaterze Arkonji.
Wziął na stronę naszego oldermana Władka Mazarakiego i Totka Radziwiłła . Rozmawiali z sobą dość długo poczem zwrócił się do mnie i do Mika Wereszczaki. -Byliście memi szlepfuksami w pojedynku więc mam nadzieję że mi nie odmówicie jeszcze jednej przyjacielskiej usługi. Jutro w południe czekajcie mnie na kwaterze Arkonji co dalej będzie zobaczycie.-

~~C[illegible]~~

Dnia następnego na umówioną godzinę stawiliśmy się w lokalu stowarzyszenia, zastaliśmy tam Mazarakiego i Radziwiłła za chwilę zjawił się Paszkiewicz.
- Nie mamy minuty do stracenia , moja dorożka parokonna czeka, jedziemy natychmiast do kasyna oficerskiego , będziecie wrzyscy świadkami tego co zajdzie %

Weszliśmy do kasyna. Paszkiewicz polecił ordynansowi zameldować że mamy interes do sali jadalnej kasyna. Wyszedł na nasze spotkanie adjutant pułkowy ze zdziwieniem spytał Paszkiewicza do kogo ma interes.
- Mam interes do wrzystkich oficerów pułku a ponieważ większość Panów jest obecnie w sali jadalnej chciałbym nie zajmować czasu i odrazu załatwić interes.

Poprzedzani przez adjutanta weszliśmy na salę.
Częsc oficerów siedziała za stołem kilku stało przy bufecie , wrzystkie twarze zwróciły się w naszą stronę.

Zapanowało milczenie.

Przepraszam panów że przerywam wam posiłek ale mam poważną sprawą do załatwienia.
Kolega panów kapitan x nie uważał za stosowne załatwić ze mną sprawy honorowej zgodnie ze zwyczajami przyjętemi i nie przysłał mnie świadków w oznaczonym terminie.
Mógł bym postąpić inaczej i ogłosić sprawę w pismie ze względu jednak na honor waszego Pułku i mundur który panowie nosicie chcę Panom dać możność wyjscia z tej całej sprawy w sposób honorowy. ... i dać Panom po kolei satysfakcję to są moi świadkowie panowie.................
Prosiłbym o odpowiedź w ciągu dwudziestu czterech godzin.
Oficerowie powstali z miejsc.
Podszedł do nas adjutant pułkowy młody przyzwoicie wyglądający człowiek ukłonił się i poprosił do sąsiedniej sali .
Paszkiewicz w paru słowach opowiedział o przebiegu sprawy.
Adjutant poczerwieniał.
- Dziękuję panom za wyświetlenie tej całej nieprzyjemnej dla pułku
- komplikacji. Niestety dowódcy pułku na razie nie ma, pozwolą Panowie
- że niezwłocznie zamelduję mu o bytności Panów a w ciągu wyznaczonego
- terminu będą u Pana z odpowiedzią.
Jakoż dnia następnego przed południem na kwaterę Arkonji zjawił się na adjutant w towarzystwie dwuch oficerów.
- Rozumiemy rzekł że pan Paszkiewicz nie zechce stawać do pojedynku z
- z kimś, kto nie zachował się po gentlemańsk'u ale ze względu na honor
- Pułku proponujemy mu aby zechciał przyjąć wyzwanie od tego na kogo
- z nas padnie los.
Paszkiewicz wyraził swoją zgodę.
Nastąpił pojedynek na pistolety w odległości 25 kroków przy jednorazowej wymianie strzałów . Szczęśliwie obeszło się bez przelewu krwi choć kule gwizdnęły obu przeciwnikom koło ucha.
Po załatwieniu sprawy przeciwnicy podali sobie rękę a w kilka dni potem Dowódca pułku zaprosił nas do siebie gdzie w serdecznych słowach podziękował Paszkiewiczowi za tak przyzwoite załatwienie sprawy , wyraził swoje ubolewanie nad zaszłym wypadkiem i oznajmił że kapitan x decyzją sądu oficerskiego został wydalony z pułku.
Od tego czasu stosunki nasze z korpusem oficerskim były poprawne a dowódca pułku złożył nam w towarzystwie adjutanta wizytę która przeciągnęła się do późnej nocy.

Przepraszam panów że przerywam wam posiłek ale mam poważną sprawą do załatwienia.
Kolega panów kapitan x nie uważał za stosowne załatwić ze mną sprawy honorowej zgodnie ze zwyczajami przyjętemi i nie przysłał mnie świadków w oznaczonym terminie.
Mógł bym postąpić inaczej i ogłosić sprawę w pismie ze względu jednak na honor waszego Pułku i mundur który panowie nosicie chcę Panom dać możność wyjscia z tej całej sprawy w sposób honorowy. ... i dać Panom po kolei satysfakcję to są moi świadkowie panowie.................
Prosiłbym o odpowiedź w ciągu dwudziestu czterech godzin.
Oficerowie powstali z miejsc.
Podszedł do nas adjutant pułkowy młody przyzwoicie wyglądający człowiek ukłonił się i poprosił do sąsiedniej sali .
Paszkiewicz w paru słowach opowiedział o przebiegu sprawy.
Adjutant poczerwieniał.
- Dziękuję panom za wyświetlenie tej całej nieprzyjemnej dla pułku
- komplikacji. Niestety dowódcy pułku na razie nie ma, pozwolą Panowie
- że niezwłocznie zamelduję mu o bytności Panów a w ciągu wyznaczonego
- terminu będą u Pana z odpowiedzią.
Jakoż dnia następnego przed południem na kwaterę Arkonji zjawił się adjutant w towarzystwie dwuch oficerów.
- Rozumiemy rzekł że pan Paszkiewicz nie zechce stawać do pojedynku z
- z kimś kto nie zachował się po gentlemańsk'u ale ze względu na honor
- Pułku proponujemy mu aby zechciał przyjąć wyzwanie od tego na kogo
- z nas padnie los.
Paszkiewicz wyraził swoją zgodę.
Nastąpił pojedynek na pistolety w odległości 25 kroków przy jednorazowej wymianie strzałów . Szczęśliwie obeszło się bez przelewu krwi choć kule gwiznęły obu przeciwnikom koło ucha.
Po załatwieniu sprawy przeciwnicy podali sobie rękę a w kilka dni potem Dowódca pułku zaprosił nas do siebie gdzie w serdecznych słowach podziękował Paszkiewiczowi za tak przyzwoite załatwienie sprawy , wyraził swoje ubolewanie nad zaszłym wypadkiem i oznajmił że kapitan x decyzją sądu oficerskiego został wydalony z pułku.
Od tego czasu stosunki nasze z korpusem oficerskim były poprawne a dowódca pułku złożył nam w towarzystwie adjutanta wizytę która przeciągnęła się do późnej nocy.

F I L I S T E R J A

W żargonie studenckim dzielono świat na dwie kategorje na filisterję i knotów innemi słowami na towarzystwo i resztę, a bywanie w towarzystwie zwano „bywaniem w filisterji."

Arkonja wymagała od swych członków bywania w domach rodzinnych a nie zasklepiania się jedynie w atmosferze studenckiej.

Stosunki jak z domami polskiemi tak też z mieszczaństwem rygskim i szlachtą bałtycką były jak najlepsze a młodzież arkońską znaną z obycia towarzyskiego i tego co niemcy określają słowem „ Kinderstube " przyjmowano chętnie , nie jedno też małżeństwo skojarzyło się na gruncie rygskim.

Kolonja polska aczkolwiek nie liczna składała się z wyjątkowo zacnych rodzin , które żywo interesowały się życiem naszego stowarzyszenia.

Za moich czasów zamieszkiwali w Rydze : Pani Monika Benisławska z córkami z których jedna poślubiła arkona Aleksandra Rosseta . Hr. Mieczysławowie Potuliccy , ona Krystyna z hr Czapskich z Berżan - moja kuzynka. Sędzia Józef Jankiewicz przyjaciel i opiekun Arkonji ożeniony z uroczą Anną z Montwiłłów. Kuzyn mój Mecenas Medeksza ożeniony z hr Kossakowską . Syn ich Stefan wstąpił następnie do Arkonji. Państwo Kiersnowscy z ziemi Nowogródzkiej. Ks Juljanowie Puzynowie, on wzięty adwokat i rejent rygski. Do najbardziej uczęszczanych domów należał dom Generała inżyniera Falkowskiego nie tylko z powodu wielkiej ich goscinności ale i ze względu na obecność czterech przystojnych i miłych córek z których dwie poślubiły następnie arkonów.

Bywano licznie u krewnych moich Generałostwa Olendzkich, ona z domu Jarudówna ze Żmudzi. Oprócz dwuch miłych a muzykalnych córek spotykaliśmy tam moje kuzynki Misię i Anulę Rymgayłłówny z Ławmiak ze Żmudzi.

Na sezon zimowy zwykła przyjeżdżać do Rygi dla wychowania córek marszałkowa Aleksandrowa Montwiłłowa z Antokola pod Wiłkomierzem. Panny Alina , Marja i Aleksandra należały do naszych stałych tancerek.

Hr Weronika Plater Zyberg z Liksny zjeżdżała licznym dworem zwykle po nowym roku. Pani Weronika lubiła młodzież a wysoce kulturalna i głęboko katolicka atmosfera jej domu wywierała wpływ bardzo dodatni na bywających tam kolegów.

Przy Bulwarze Teatralnym mieszkała Pani Szachnowa z Józefinowa na Inflantach . Panna Marcelina nasza stała tancerka poślubiła arkona Władysława Koziełł Poklewskiego.

Bywaliśmy częstow w domu Profesora Benedykta Wodzińskiego, filistra naszej korporacji, ożenionego z Panną Lovis , córka Dziekana wydziału mechanicznego. Ze starszych członków dawnych Arkonji mieszkali stale w Rydze Michał Benisławski z Inflant ożeniony z Dunką panną Bronholdt z domu i inżynier Florjan Wyganowski ożeniony z panną Tejchman , właściciel wziętego biura budowniczego .

Dom pana Radtke prezesa polskiego klubu Auszra / po litewsku zorza / przyciągał głównie brydżystów gdyż dobra partyjka była tam

w pogotowiu.
Z wiernych przyjaciół naszego stowarzyszenia wmienię :
Dra Jana Comes Nagurskiego z Dyrwian . Z rodziną Nagurskich / piszących się przez „u" których grobowce można oglądać w kościołach wileńskich/ jestem spokrewniony przez matkę moją. Baron Manteuffel senjor polonji Rygskiej był nietylko naszym przyjacielem ale opiekunem i surowym krytykiem. Jemu zawdzięczamy piękną melodję naszej pieśni korporacyjnej. Baron był bardzo wymagający pod względem sposobu bycia i wyglądu zewnętrznego i biada gdy się dowiedział a jakiejś drobnej gafie towarzyskiej. Częstemi gośćmi w Arkonji bywali pan Józef Dymsza ze Żmudzi, zajmujący wówczas odpowiedzialne stanowisko dyrektora komory celnej i pułkownik Prewysz- Kwinto.

Co parę tygodni musiałem się stawiać do Babki mojej Marszałkowej Szemiothowej Szczytówny z domu.. Była to osoba bardzo wiekowa trzymająca się sztywnie i udzielająca się mało otoczeniu.

Bywaliśmy często na herbatkach tańcujących w dwuch renomowanych wówczas pensjach rygskich panien Houwaldt i Panny Jastrzębskiej. W owym czasie było tam wiele przystojnych i miłych panien ze Żmudzi i Białejrusi.Pod względem piękności prym trzymała panna Dowiattówna z Dowiattowa ze Żmudzi oraz Siostry Rymgayłłówny.

Z domów niemieckich które nas tak gościnnie przyjmowały wmienię domy panstwa Mentzendorfów , Baronów von Transee Schwanenburg, Baronów Pilar von Pilchau zaprzyjaźnionego z domem moich rodziców Baron był w owym czasie marszałkiem szlachty Liflandzkiej.

Bywaliśmy często zapraszani na wieś do domów sąsiedniego ziemiaństwa a więc do bar. Ixcüll von Hildeband, barona Roppa , ks Lievena , Barona Offenberga oraz ordynata hr Komorowskiego z Kurmen
Szlachta bałtycka była naogół usposobiona bardzo przychylnie dla polaków a wiele rodzin kurlandzkich spokrewniło sie z sąsiednią szlachtą polską na Żmudzi i na Inflantach, wielu też z potomków dawnych rycerzy mieczowych osiadłych na granicach Rzeczypospolitej spolszczyło się całkowicie , że wymienię nazwiska rodów którychh herby do niedawna upiększały ściany sal rycerskich w Rydze i Mitawie więc: Hr Broel Plater, hr Zyberg Plater, bar. Romerów, bar. Manteufflów - Zoege, graf. Mohlów, graf. Borchów bar. Holstinghausen Holsten, bar. Weyssenhofów bar. Korfów , bar Roppów

Łączył nas ze szlachta bałtycką w owych czasach wspólny wróg w postaci moskiewskiego rusyfikatora.

Co niedzielę po nabożeństwie w miejscowym kościele i obiedzie mieliśmy całe popołudnie zajęte składaniem wizyt a wieczór spędzaliśmy zwykle w jakimś domu rodzinnym.

Za owych dobrych dawnych czasów / nie chamskich a prawdziwie demokratycznych / przestrzegano bardzo rygorystycznie obowiązku składania wizyt,a nie pamiętam aby ktoś ze starszych panów bez względu na wiek i stanowisko zaniedbał rewizytowania studenta pozostawieniem swego biletu wizytowego w mieszkaniu lub na kwaterze Arkonji .

Co pewien czas Arkonja przyjmowała Panie u których bywaliśmy. Takie herbatki towarzyskie cieszyły się wielkim powodzeniem. Urządzaliśmy wówczas ku uciesze Pań próbne pojedynki a towarzystwo z ciekawością oglądało naszą piękną kwaterę zawieszona na scianie godła korporacyjne i rynsztunek pojedynkowy.

Karnawały rygskie a szczegulnie bal Arkonji który był ośrodkiem sezonu miały ustaloną sławę.

Zjeżdżano się tłumnie do tej starej stolicy bałtyckiej ze Żmudzi , Litwy Bąałej Rusi a nawet z dalekiej Ukrainy i Królestwa.

Karnawały kresowe zaczynały się w Wilnie Mińsku Kijowie a na zakończenie bawiono się w Rydze.

Było to pod koniec Lutego , sanna była jeszcze dobra ale w powietrzu czuć było już powiew wiosny. Dnie były słoneczne . W całym mieście roiło się od przyjezdnych, hotele przepełnione.

Z brzękiem dzwonków sunęły sanie , migały barwne czapeczki korporacyjne, na ulicy widziało się różowe twarzyczki w towarzystwie poważnych matek lub ciotek,a z pod futrzanych czapeczek patrzyły w świat wesołe rozbawione oczy.

Większość z przyjezdnych ziemian zatrzymywała się w Hotelu Rzymskim przy bulwarze teatralnym lub w staroświeckim tradycyjnym Hotelu Petersburgskim na placu Zamkowym w pobliżu kościoła.

Ostatnim balem w sezonie byl bal urządzany przez Towarzystwo Katolickie Dobroczynności którego prezesem był Hr Mieczysław Potulicki

Wreszcie karnawał się kończył, rozjeżdżano do domów, do dalekich zasypanych śniegiem wsi unosząc w sercu wspomnienia miłych chwil, niedomówionych pragnień i całej tej tak pełnej poezji atmosfery pachnącej wiosną,kwiatem pomarańczowym winem i młodością.

KANDYDAT NA ZAKONNIKA

W pierwszych dniach Pazdziernika roku pańskiego 1995 przed kwaterę Arkonji zajechała kareta hotelowa. Na kozłach oprócz stangreta siedział starszy człowiek ubrany w liberyjną baranicę z takąż czapką na głowie.

Z karety wysunęła się postać poważnego pana w towarzystwie młodzieńca otulonego w zasobne futro niedźwiedzie.

Służący korporacyjny Wincenty otworzył drzwi.

- Czy to klasztor św. Arkoniego ? spytał starszy pan. -

Nasz żmudzin spojrzał ze zdumieniem na gości ale wnet się zmiarkował i z całą powagą odrzekł.

- Tak to klasztor , ale w ta pora nikogo niema bo zakonniki wyszedłszy
- na miasto.

Nie było rady , towarzystwo po dłuższej rozmowie z Wincentym ruszyło z powrotem do hotelu.

Przez kilka dni następnych nie mieliśmy żadnych wiadomości o przyjezdnych , przepadli jak kamień w głębokiej wodzie, zachodziliśmy w głowę co się z niemi stać mogło.

Wreszcie któregoś dnia w porze obiadowej zjawił się ma naszą kwaterę korporacyjną ów tajemniczy młodzieniec w towarzystwie starszego pana.

Po wzajemnym przedstawieniu okazało się że młody człowiek nazywa się Wołłodkowicz , że jest synem pana Wincentego Wołłodkowicza z Iwańska ziemi Witebskiej i że ma na imię Józef , że starszy pan ma poleconą nad nim opiekę , że ma go chronić od złych wpływów i pokus życia studenckiego i kierować jego studjami na wydziale Rolnym Politechniki Rygskiej , że wreszcie za poradą swego wuja pana Kazimierza Siellawy z Paula ma zamiar wstąpić do Arkonji.

Opiekun młodzieńca ze swej strony oświadczył, że ma pełne zaufanie do ,, zakonu " ale że dopiero dziś mógł złożyć swoje uszanowanie,bo odnalezienie odpowiedniego mieszkania i zaznajomienie kucharza z arkanami życia miejskiego zajęło mu sporo czasu.

Po kilku dniach nasz nowy kolega został oficjalnie przyjęty na prawach kandydata / czytaj fuksa / do Arkonji i od pierwszego dnia stał się jednym z najbardziej gorliwych aspirantów ,, zakonu".

Nie było zebrania studenckiego, nie było wizyty w zaprzyjaźnionych korporacjach , nie było wreszcie pijatyki lub pojedynku na terenie Rygi która się obyła bez obecności pana Józefa.

Zrozpaczony opiekun spędzał noce bezsenne w oczekiwaniu swego pupila , który zjawiał się nad ranem z tem że około południa ginął bez śladu w odmętach życia burszowskiego.

Napróżno nasz olderman Władek Mazaraki odbywał z nim poważne konferencje w celu skierowania kroków swego fuksa na właściwą drogę i zachęcania go do więcej regularnego uczęszczania na wykłady , napróżno opiekun słał do Iwańska ponure sprawozdania z działalności pupila w Rydze. Niestety w szerokim wachlarzu zainteresowań naszego Józia ostanie bodaj miejsce zajmowała politechnika.

Jedynym jego wyczynem na tym pierwszym roku studjów było przepalenie w laboratorjum tygla platynowego za co zapłacić musiał grube odszkodowanie i wylanie tuszu na swój pierwszy a jedyny wykończony rysunek.

Po upływie paru miesięcy opiekun zmiarkował że nic nie wskóra i pozostawiwszy swego pupila pod opieką ,, zakonników św. Arkoniego wrócił do Iwańska zabierając z sobą kucharza, niedźwiedzie rodzinne znalazły się w lombardzie a ich właściciel w poszukiwaniu mieszkania.

W takiej to krytycznej dla Józia chwili ofiarowałem mu czasowe locum w moim mieszkaniu studenckim na Parkstrasse.

Delikatny a uprzejmy w obejściu Józio był mniej przyjemnym współlokatorem i swój powrót do domu zwykle nad ranem obwieszczał strzelaniem mi z rewolweru nad głową.

W rzadkich godzinach wolnych od jego zwykłych zajęć a więc asystowaniu przy pojedynkach, wizyt w korporacjach i załatwiania licznych spraw honorowych Józio studjował zawzięcie historję Białej Rusi , heraldykę rodów litewskich i skrupulatnym , powiedziałbym zbyt dokładnym notowaniu swoich rygskich przeżyć w wielkiej w skórę oprawnej księdze z wyciśniętym na niej złotemi literami tytułem.

- Dyaryusz Józefa Wołłodkowicza herbu własnego z Iwańska ziemi - witebskiej.

Zgodnie z tradycją rodziny Wołłodkowiczów będących za dawnych czasów oddanemi adherentami Radziwiłłów , Józio otaczał szczegulną przyjaźnią osobę Totka Radziwiłła nie raz narażając go na kłopoty związane z załatwianiem licznych spraw honorowych swego pupila.

Miarka wyczynów Józia wyczerpała wreszcie cierpliwość naszą i Totka.

Sprawa wynikła z powodu interpretacji nazwiska pewnego studenta niemca, członka zaprzyjaźnionej z nami korporacji Rubonji.

Przy wzajemnym przedstawieniu , student kilkakrotnie powtórzył swoje nazwisko . Ich heise Eckstein , nazywam się Eckstein co w dosłownym tłumaczeniu znaczy ,, kamień narożny".

Pierwotnie uszło to uwagi Józia gdy jednak po wypiciu kilku kieliszków poprzedzających ,, bruderschafta " jego nowy przyjaciel przypomniał Józiowi jak się nazywa a w dodatku do imienia powtórzył swoje nazwisko po raz trzeci,doprowadziło to do małej różnicy zdań a co za tem do wymiany strzałów w lasach miejskich.

Obaj przyjaciele nie należeli do rzędu dobrych strzelców i kule przeszły daleko od miejsca przeznaczenia zagrażając jednak życiu stojących o kilkanaście kroków sekundantów.

Partnerzy opóścili plac boju w zgodzie i całe towarzystwo udało się winiarni Schwartza na zapijanie sprawy i zasłużony posiłek.

Nadszedł wreszcie czas świąteczny i wyjazd do domu co szczęśliwie rozdzieliło nasze drogi.

N I E U D A N E P O L O W A N I E

Swięta roku I896-7 były mroźne. Snieg pokrył Litwę grubą białą powłoką , zasypał wsie aż po same opłotki, okiść osiadła na drzewach. Głęboka cisza zapanowała nad całą okolicą , opustoszały gościńce a nawet w niedzielę nie było na drogach zwykłego ruchu bo tylko najbliższe wsie brnąc po kolana w śniegu mogły dotrzeć do parafji na nabożeństwo.

Jakoś koło ,, Trzech Króli " siedziałem w towarzystwie zacnej pani Borowskiej przy podwieczorku w sali jadalnej dworu Syłgudyskiego.

Było ciepło i przytulnie , pachniało swieżo pieczonym chlebem, suszonemi jabłkami i smolnym łuczywem , bo właśnie dorzucono drzewa do pieców. Krótki dzień zimowy miał się ku końcowi. Za oknami mięko bez szelestu padał śnieg.

Z pobliskiego kredensu dochodziły rozmowy służby a wsród tego usłyszałem tubalny głos Jana Jachimowicza , naszego leśnika z Powieżyńcia.

Jakoż wszedł służący oznajmiając o jego przyjściu.

- Niech Jan wejdzie - rzekłem.

W drzwiach ukazała się postać w korzuchu i wojłokowych butach na nogach. Otarł z wąsów sople lodu , odchrząknął i rzekł.

- Paniczu - Wilki pokazawszy się w lasach pogołońskich probowali my z Borejką obejść ale zamieć zasypała tropy , kto wie ci nie, zaryzykować dziś na noc z parsiukiem.

- Snieg jak by zcukrowawszy sie , miesiąc pokazał się , można od - biedy strzelać.

- Dobrze - rzekłem. Niech Jan zostanie na kolację we dworze a na wie- czór możemy jechać. Niech Józef przynarowi „rozwały" przygotuje worek - i wybierze parsiuka.

Pani Borowska aż podskoczyła na krześle.

- Panie Maku co to to nie-zawołała - ja sama wybiorę prosiaka jeszcze mnie Józef z Janem gotowi wziąsc któregoś z tych importowanych anglików za któremi chodzę jak za własnemi dziećmi.

Około dziesiątej zajechała przed ganek para kasztanów zaprzężonych szydłem do wielkich szerokich sań zwanych rozwałami.

W saniach oprócz stangreta Józefa Szylinika siedział Jan trzymając na kolanach worek z chrząkającym prosiakiem obok miał wziązany pęk słomy i zwiniętą w kłębek długą linkę.

Śnieżyca ustała , po niebie płynęły pojedyńcze chmury z pod których wyzierał księżyc . Od drzew kładły się długie cienie a na horyzoncie na tle drgającej blaskiem miesięcznym dali czerniała sciana borów puszczy łabonarskiej.

Sunęliśmy bez szelestu przez uśpione jak by wymarłe wsie i zaścianki , ciszę przerywało tylko parskięcie konia lub uderzenie podkowy o podkowę.

Przejechaliśmy Tryunkuny, Stasiuny i pogrążyliśmy się w ciemną otchłań boru.

- Paniczu-rzekł Jan- Trzeba wyjechać na pasieki i młodniaki , wilki - musić wyszli z puszczy na pole bliżej wioski.

Skręciliśmy w lewo na drogę wiodącą do Pogołonia jednego z naszych forwalrków i wysunęliśmy się na skraj lasu.

Jan rozwinął linkę z uwiązanym na końcu kłakiem słomy przymocował do sań i dłonią nacisnął prosiaka. Napróżno ,, parsiuk " milczał jak zaklęty.

W tej samej chwili siedzący na przodzie sań stangret Józef kiwnął na mnie i targnął za rękaw.

- Wilki - szepnął

Rzeczywiście były to wilki , szły gęsiego jednym tropem kierując się w naszą stroną i odcinając się wyraźnie na śniegu. Naliczyłem ich pięć sztuk.

Scisnąłem broń w ręku,dzieliło nas ze 300 kroków z powodu odległośći nie mogłem strzelać.

Trąciłem Jana wskazując na worek.

- Parsiuk nie kce kwiczeć - szepnął

Wilki zapewne musiały nas zwitrzyć albo usłyszeć głos ludzki bo przystanowszy na chwilę , zawróciły z miejsca i znikły w pobliskich haszczach.

- Poszli , żeby ich na rojsty , już teraz ich nie objedziesz a do
- tego ten angljiski parsiuk , cipun jemu na język , tak nie kce
- kwiczać.- rzekł po namyśle Jan.
- Co takiego ? jaki anglijski parsiuk ? - spytałem.
- Tak paniczu prosza nie mieć w gniewie,ale po prawdzie,to byłam pod-
- mieniwszy tego parsiuka co Pani Borowska dała , kalkulowałam co
- ten przywozny będzie głośniejszy.
- Co też Jan zrobił rzekłem z rozpaczą - wszak ten przywozny prosiak
- może zdechnąć.
- Paniczu , prosza nie biedować, nic jemu nie bendzie , bo rucha się
- akuratnie w worku.

Zamilkliśmy siedziałem nasępiony nie tyle z powodu nieudanego polowania , co w oczekiwaniu nieprzyjemnych konsekwencji.

Było już po północy gdyśmy zajechali przed dwór.

Zastałem zapłakaną panią Borowskę.

Panie Mieczysławie-przemówiła do mnie oficjalnie - tego się nie spo-
- dziwałam. Co powie Pan Generał. - A już Jan to doprawdy nie ma sumienia aby taką rzecz zrobić.

- Panieczka , droga - sumitował się Jan , nie gniewaj sie parsiuk
- bendzie zdrów , sam obaczyłem , ogon ma zakręciwszy w obwarzanek i
- podaje głos .
- Niech tam Jan mnie nie zawraca głowy tym obwarzankiem-rzekła z gniewem Pani Borowska

Przyniesiono prosiaka do kuchni, zebrała się cała komisja ze stróżem nocnym Pumputisem na czele.

Po dłuższej naradzie wytarto parsiuka spirytusem i ulokowano w skrzynce wysłanej miękką słomą .

Mimo zapewnień Jana , wyprawa nie posłużyła anglikowi na zdrowie i cherlał przez czas dłuższy zanim troskliwość Pani Borowskiej i czas nie wygoiły choroby.

Wyjechałem w kilka dni potem do Rygi. Niestety moje przygody z ,, parsiukiem" rozeszły się po okolicy a co gorzej dostałem się na języki wyszczekanych wyg myśliwskich powiatu Wiłkomierskiego Pana Boluty Brzezińskiego z Trombaciszek i mego kolegi ks Totka Radziwiłła z Towian a dalej okrężną drogą do Arkonji ku uciesze kolegów.

Nigdy już w życiu nie probowałem tego rodzaju polowania a znając wielu sławnych myśliwych kresowych nie przypominam aby któryś z nich na serjo mówił o polowaniu z prosiakiem. Sądzę że takie polowanie można jedynie oglądać na obrazach Wierusza Kowalskiego .

Nigdy się nie dowiedziałem czy ta sprawa doszła do mego Ojca

CZARODZIEJ Z NAD NILU

Na kwaterze Arkonji od dłuższego czasu panował ruch niezwykły. Przygotowywano się do Zebrania Towarzyskiego na którym między innemi miano odegrać operetkę pod tytułem ,, Czarodziej z nad Nilu " przy udziale wybitnych sił miejscowych ... tak głosił program.

Opustoszały laboratorja i kreślarnie , kto żył pracował od rana do wieczora. Jedni byli zajęci malowaniem dekoracji , inni pod dyrekcją mistrza śpiewu Kazia Woyciechowskiego zwanego ,, Bartkiem " ćwiczyli się w spiewach chóralnych.

Rola czarodzieja przypadła Karolowi Rostworowskiemu a piękną córke faraona miał odegrać Gabryś Wodziński . Ja byłem zaangażowany do niemej roli małżonki faraona w towarzystwie jowialnego , odznaczającego się niezamąconym spokojem i długim nosem Oskara Wendorfa którego wybrano na faraona.

Nastał wreszcie uroczysty dzień. Wielką salę korporacyjną zapełnili zaproszeni goście. Wieczory towarzyskie miały swoją ustaloną renomę a poważni mężowie kolonji polskiej chętnie uczęszczali na te jedyne w swoim rodzaju ,, sciśle męskie " zebrania aby spędzić kilka godzin zdala od kłopotów i obowiązków rodzinnych wsród młodzieży , uśmiać się do woli i przesiedzieć do późnej nocy przy lampce wina w studenckiej beztroskiej atmosferze.

Po odśpiewaniu kilku poważniejszych pieśni przez nasz sławny kwartet podwójny i wysłuchania różnych pikantnych kupletów odśpiewanych przez Karola Rostworowskiego t zw ,, kanarka " będącego stałym conferencier'em zebrań towarzyskich nastała przerwa.

Oczekiwano z niecierpliwością drugiej częsci programu. Gdy wrzyscy zajęli z powrotem swoje krzesła i na sali przyćmiono światła podniesiono kurtynę i oczom zdumionych widzów ukazały się piramidy na tle egzotycznego nieba i płynący wśród zieleni palm Nil.

Treścią operetki była klęska posuchy która nawiedziła Egipt. Nawet Faraon był zatroskany widmem nieurodzaju a co za tem idzie głodu. Niestety ani modły ludu egipskiego ani zaklęcia i sztuka kapłanów nie pomagały.
Izis i Ozirys nie chciały widocznie wysłuchać błagań ludności.

Gdy wrzystko zawiodło doniesiono Faraonowi że jest pewien czarodziej który podjął się przebłagać gniew bogów i odwrócić klęskę pod warunkiem że pozwolą mu ożenić się z córką faraona.

Nie było rady dobro ludu wymagało tej ofiary. Pierwszy akt kończył się smutną sceną pożegnania córki i jej arją ,, solo" w której przebijał ból i obawa o przyszłość.

- Słońce blaski swoje
- Mgłą okrywa już
- A motyli roje
- Szepcą coś ro róż
- W miesięcznym przezroczu
- Wrzystko dawno śpi
- Czemuż z moich oczu
- Cicho płyną łzy

śpiewała córka Faraona / Gabryś Wodziński /
W akcie następnym widzowie ujrzeli na scenie faraona siedzącego na tronie w towarzystwie małżonki i córki , otoczonego tłumem kapłanów i dworzan.
Z za sceny dochodziły chóralne śpiewy ludu.
Raptem umilkło wrzystko, faraon dał znak ręką , na scenę wprowadzono czarodzieja pod strażą wojowników.
Po oddaniu władcy górnego i dolnego Egiptu należnego hołdu , czarodziej wystąpił na przód sceny i utkwiwszy wzrok w córkę faraona zaśpiewał

- Krokodyl raz młody
- Wyłonił się z wody
- I ciągnął w tę stronę gdzie las
- Z samiczką tam ładną
- Rozmowę miał składną
- Lecz teraz wrzystkiemu już pas

a dalej

- Potęga ma sięga wrót czci
- I wszędzie zdobędzie ,, grand prix"
- To cud nad pojęcie , zaklęcie to święcie
- Na kawał jest wzięcie , wierz mi

Z za sceny wciąż dochodziły błagalne głosy tłumów
- Izis , Ozirys, Izis , Ozirys ....
Wylej Nilu..
Obecni utkwili oczy w czarownika
Ten padł na twarz przed faraonem , powstał , wykonał rękami kilka ruchów tajemniczych i wyrzekł pierwsze zaklęcie:
- Abra , Kadabra , Panopticum, Kalichloricum ... wylej Nilu
Nil jednak nie wylewał
Gdy i drugie zaklęcie nie poskutkowało , faraon skinął na straż aby ujęła czarodzieja jako skończonego szarlatana.
Wówczas padł on znowu przed tronem i zawołał.
- Panie racz zezwolić abym wyrzekł trzecie a najpotężniejsze zaklęcie
Faraon skinął ręką na znak że zezwala.
Czarodziej wykonał znowu jakieś ruchy tajemnicze , zamknął oczy i głosem donośnym zawołał.
- Szukszta , Pukszta, Rymsza, Dymsza , Medeksza ... Wylej Nilu
Za sceną włychać było zamieszanie i pojedyncze głosy który przeszły w ogólny grzmot .
Nil wylewa , nil wylewa.
Na scenę wbiegł zadyszany posłaniec i padłszy przed faraonem oznajmił że wody Nilu wystąpiły już z brzegów.
Zagrzmiały trąby, zaśpiewały chury , zapanowała radość ogólna córka faraona rzuciła się w objęcia czarodzieja , faraon nie pomny swej powagi odtańczył solo jakiś dziwny taniec. Sala trzęsła się od śmiechu.
Niestety w chwili gdy sytuacja doszła do najwyższego napięcia zauważono że jeden z widzów wstał ze swego miejsca i skierował swoje kroki ku wyjsciu. Był to zacny nasz przyjaciel Pan Józef Dymsza który poczuł się dotknięty usłyszawszy swoje nazwisko.
Szczęściem na sali okazali się obecni Pan Medeksza i Pan Szukszta z Medyngian powiatu Telszewskiego. Brali oni udział w ogólnej zabawie bynajmniej nie troszcząc się o to że ich nazwiska również figurowały

w najpotężniejszym zaklęciu czarodzieja.
Przy pomocy i za pośrednictwem tych towarzyszów niedoli Pana Józefa udało się wreszcie przełamać gniew obrazliwego żmudzina , który zapomniawszy całej przygody przesiedział z nami w zgodzie i harmonji aż do rana.

Dnia następnego prezes Arkonji ubrany w uroczysty długi surdut złożył wizytę panu Józefowi .

BAL ARKONJI

Było to na początku Marca. Śniegi jeszcze nie zeszły i sanna była dobra. Słońce zaczęło przygrzewać w południe , w powietrzu czuć było już wiosnę. Tegoroczny karnawał był wyjątkowo długi .Zgodnie z uświęconą tradycją Bal Arkonji stanowił zakończenie karnawału i był jakby ostatnim fejerwerkiem okresu zabaw po którym miał nastąpić popielec.

Spodziewano się licznego zjazdu ziemiaństwa nie tylko z sąsiedniej Żmudzi i Inflant ale i dalekiej Ukrainy, Podola a nawet Królestwa.

Już od miesiąca nasza komisja balowa pracowała usilnie nad przygotowaniem do tej uroczystości , która oprócz zabawy miała zapełnić studencką kasę stypendjalną.

Należało zawczasu obmyślić wrzystko do najdrobniejszych szczegułów, wydrukować i rozesłać setki zaproszeń, przygotować ozdobne karnety, zamówić orkiestrę, obstalować cukry, ciastka , owoce , kwiaty, wreszcie poskładać liczne wizyty „notablom" Miasta i sąsiedniemu ziemiaństwu bałtyckiemu.

Naszych dwuch sławnych wodzirejów w osobach Józefa Charmańskiego i Aleksandra Kozłowskiego przy pomocy młodszych kolegów opracowało dokładny plan strategiczny , ułożyło figury do konredansa, kotyljona, mazura . Każdemu z nas wyznaczono role .

W wielkiej sali Arkonji co kilka dni odbywały się próby tańców na których korygowano wszelkie niedokładności taneczne młodszej generacji.

Komisja balowa musiała posiadać oprócz zalet towarzyskich wiele zdolności dyplomatycznych i taktu, aby nikogo nie obrazić a jednocześnie ustrzedz od wkroczenie na salę balową elementów, które by mogły swoją obecnością zepsuć ogólny nastrój i charakter zabawy i na przyszłość poderwać opinję.

Towarzystwo ryskie a szczegulnie ziemiaństwo bałtyckie były pod tym względem bardzo czułe .

Dzięki jednak uzdolnieniom towarzyskim naszych komisarzy, którzy umieli wysterować w tym zdradliwym a pełnym podwodnych skał potoku, na balach Arkonji panowała harmonja, bawiono się w dobranym towarzystwie a w historji naszego stowarzyszenia nie pamiętam nawet najmniejszego niedociągnięcia ani najmniejszego zgrzytu.

Rodzice i opiekunowie z całym zaufaniem pozostawiali swe córki na czas balu pod opieką arkonów w przekonaniu że nie będą narażone na najmniejszy nietakt towarzyski.

W stowarzyszeniu naszym panowała żelazna dyscyplina, a biada temu w którego obecności któryś z Panów przekroczyłby bezkarnie zakreśloną granicę etykiety towarzyskiej lub dopuścił się najmniejszej poufałości względem naszych tancerek.

Raz tylko zdarzył się wypadek, gdy jakimś cudem, dostała się na salę pewna dama-rosjanka mająca w towarzystwie rygskim bardzo niepochlebną a ustaloną opinję. Nim się jednak zgromadzona publiczność spostrzegła, już w czasie pierwszego walca w sposób bardzo dyskretny ,, wytańczono ją z sali"

Naraziło nas to bardzo miejscowej żandarmerji, ale ówczesny gubernator rygski generał Zwiegincew całkowicie był po naszej stronie i niedopuścił do żadnych szykan.

Przestrzegano też surowo aby żadna z tancerek nie siedziała w oczekiwaniu nim ją ktoś wreszcie zaprosi do tańca.

Dyżurowaliśmy po kolei jako rezerwa a skoro tylko zauważono że tancerka została po za nawiasem wnet któryś z nas prosił ją do tańca. dzięki temu nikt z naszych gosci nie opuszczał balu z uczuciem rozczarowania lub goryczy w sercu.

Nadszedł wreszcie wieczór uroczysty.
Po całodziennej pracy ledwo zdążyliśmy się przebrać aby się stawić zawczasu zanim nie zjawią się pierwsi goście.

Olbrzymia sala ,, rygskiego klubu strzeleckiego " jaśniała od świateł Nasi koledzy architekci własnoręcznie udekorowali ściany barwami naszego stowarzyszenia , zawiesili chorągwie , ustawili kwiaty i różne egzotyczne rośliny zmieniają rzeczywistość w jakiś zaczarowany jak by wycięty z bajki świat.

Zachwyt ogólny wzbudziło urządzenie sali bufetowej w formie pięknej barokowej bombonjerki.

Zebraliśmy się w przedsionku sali czekając na gości.
Byliśmy ubrani we fraki z białym gozdzikiem w butonjerce, białe kamizelki na których odbijały piękne barwy wstęg korporacyjnych . Na nogach mieliśmy lakierowane lekkie półbuciki i nieodzowne w owych ,, przyzwoitych" czasach białe rękawiczki w ręku.

Na chórze orkiestra dostrajała już swe instrumenta.

Było po jednastej gdy pierwsze przybyły nasze gospodynie: Panie: Michałowa Benisławska, Mieczysławowa hr Potulicka, Sędzina Jankiewiczowa. Baronowa Transee, Generałowa Olendzka, Pani Medekszyna Ks. Juljanowa Puzynina. Baronowa Offenberg , Profesorowa Wodzińska i Małżonka Gubernatora Pani Zwiegincew.

Spotykaliśmy naszych gości u wejścia i podając ramię paniom wprowadzaliśmy na salę.

Po kolei gospodarze balu oprowadzali młodzież po sali przedstawiając opiekunom i tancerkom. Za owych czasów było nie do pomyślenia prosić do tańca nie będąc przedstawionym rodzicom lub opiekunom panny.

Sala się zapełniła. Wzdłuż scian nakształt długiej kwiecistej girlandy wyrzędowały się tancerki mając za sobą obronną barykadę matek i opiekunek usadowionych z całą należną atencją w wygodnych fotelach.

Dano znak orkiestrze . Bal się rozpoczął......
Rozległy się poważne tony poloneza . Prezes Arkonji prowadził w pierwszej parze jedną z gospodyń balu. Za nimi rozwinął się w całej krasie barwny korowód kierowany mistrzowsko przez naszych gospodarzy z zachowaniem tradycyjnych ukłonów i figur. Był to zapewne najpiękniejszy polonez który oglądałem w życiu.

Nastąpiła przerwa. Młodzież śpieszyła do tancerek aby zaprosić zawczasu do następnych dłuższych tańców i wpisać swoje nazwisko do ozdobnego karneciku damy.

Należało śpieszyć bo w kilka minut co najmilsze tancerki miały

swoje karneciki zapełnione i biada temu kto się spóźnił, spotkała go dyskretna odmowa - Dziękuję już tańczę - odmowa której często towarzyszył figlarny lub ironiczny uśmiech.

Tylko skończony niezdara lub człowiek z urodzenia nieśmiały nie potrafił zawczasu ułożyć sobie z kim chciałby tańczyć i kogo należy prosić do kontredansa, kotyljona a co najgłówniejsze mazura i następnej w ślad za tem kolacji.

Kto nie przeżył wrzystkich emocji radościch , niepewności losu nadziei lub zawodów związanych z proszeniem do mazura, kto nie starał się przezwyciężyć trudności połączonych z tańczeniem w pierwszej czwórce lub ósemce , kto został wybrany lub pominięty przy figurze dobierania ten nie zaznał pełni życia.

Mazur bowiem był tą jedyną chwilą w czasie której można było porozmawiać dłużej ze swą tancerką a z mazurem łączyło się pojęcie pierwszej nici sympatji lub miłości pomiędzy dwoma młodemi sercami . Jak że często kończył się mazur beznadziejnym zawodem, a jak że rzadko wstawano od kolacji z sercem pełnym radości i wiary w przyszłość a jakim pięknym wydawał się świat w takich chwilach.

Nie można się dziwić że czuwające na fotelach matki przeżywały ciężkie lub radośne okresy a ich wprawne oko od pierwszego spojrzenia ocenić potrafiło sytuację.

Na salę spłynęła rzewna melodja wiedeńskiego walca. Pary się zakręciły a takt muzyki tej dziwnej upajającej muzyki strausowskiej tchnącej , młodością , wiosną i kwieciem . To nie była ta brutalna hałaśliwa zbieranina tonów przeplatana rykiem saksofona lub dzwiękami przyponającemi rondle kuchenne wprowadzona przez dzikie plemiona murzyńskie do zwyrodniałej duszy dzisiejszego białego człowieka.

Czy dzisiejsze modne tańce w czasie których tancerz bez ceremonji opiera swoje gołe brudne ręce na żebrach tancerki pozostawiając na jasnej sukience widoczne ślady swych palców zasługują na nazwę kulturalnej zabawy.

Tańczyliśmy dawniej nie inaczej jak w białych rękawiczkach z zachowaniem szacunku należnego kobiecie i przestrzeganiem kulturalnych form towarzyskich, był to taniec wymagający wielkiej gracji dobrego ucha i silnej a zdecydowanej w prowadzeniu swej tancerki ręki, wreszcie umiejętności trzymania swej damy.

Przyszły inne czasy inne zwyczaje.
Gdy obserwuję dzisiejsze modne tańce, jak że mi często przychodzą na myśl słowa jednego z Arkonów dawnego pokolenia.

- Ce n'est pas la dance c'est un frottage-

Szepnął mi kiedyś na ucho na jednym z ,, reprezentacyjnych balów warszawskich.

Po krótkiej przerwie nastąpił kontredans.
Dziś dawno zapomiano o tym pięknym pełnym misternych figur i niespodzianek tańcu. A przecie dobrze prowadzony kontredans był nietylko miłym wypoczynkiem po walcu ale źródłem prawdziwej wesołości. dawał możność dowcipnej wymiany słów ze swoim vis a vis a jakże często śmiech tancerzy i szczebiot tancerek przygłuszał tony orkiestry.

Wślad za kontredansem nastała dłuższa przerwa. Panie przeszły do sali bufetowej gdzie już służba roznosiła chłodniki , cukry i owoce.

Następny krótki walc był jak by preludjum do mazura.

Mazur ....
Daleki jestem od krytyki,ale często zapytywałem siebie przyglądając się w rzadkich okazjach mazurom tańczonym na współczesnych balach do jakiej właściwie kategorji i jakim mianem należało by ochrzcić ten taniec.
Czy ta dzisiejsza nieokiełzana bieganina po sali,w czasie której tancerze nakształt rozjuszonego stada bawołów pędzą na oślep przed siebie z pochyloną głową brykając w prawo i w lewo nogami / co ma udawać hołubce / a za sobą ciągną zdyszaną ledwie zdążającą wyciągniętym truchtem tancerkę zasługuje na nazwę mazura?
Szanowni tancerze i tancerki żebyście zechcieli stanąć gdzieś z boku i przyjrzeć się sobie, to nie mazur , to chyba jakiś dziki taniec wojowniczych szczepów centralnej Afryki
Jak że inaczej tańczono mazura na balu Arkonji w roku 1896
Jak poważnie , spokojnie a zarazem dziarsko płynęły pary w takt tego pięknego tańca narodowego . Z jakim zacięciem a umiejętnością odtańczyła mazura pierwsza ósemka zdobywając ogólny poklask sali.
W swoim długim życiu bywałem na wielu zabawach , widziałem bale dworskie w Petersburgu i Berlinie ale z cały przekonaniem stwierdzam że żaden z nich nie dorównał balom rygskiej Arkonji.
Dziś z oddali lat jak że mi często staje w oczach ten pierwszy bal korporacyjny a razem ze wspomnieniem młodości płyną dziarskie tony mazura lub rzewna melodja ,, Fal Dunaju ... a z pod korony kruczych lub blond włosów patrzą na mnie jasne pogodne oczy naszych tancerek.
Jak że wesoło i beztrosko bawiliśmy się w owych odległych czasach nie przeczuwając że nad życiem naszym zbierają się groźne a wrogie siły które obrócą w proch wrzystko co było nam drogie i święte wrzystko w cośmy wrośli całą naszą duszą całym naszym istnieniem.
Nie jedna z moich dawnych tancerek zginęła w okropnych odmętach dzisiejszych strasznych czasów,nie jedna poniosła śmierć męczeńską w niemieckich obozach , więzieniach bolszewickich lub gdzieś w dalekich tundrach syberji lub stepach Mongolji
A wiele mocy ducha niezłomnej wiary i odwagi tkwiło w tych waszych wątłych postaciach.
A gdy dziś tak często wracam do Was myślą moje drogie tancerki to nie tylko dla miłych wspomnień związanych z waszą osobą,ale dlatego że mi na myśl o was usta mimowolnie szepcą słowa modlitwy a ręce składają się w błaganiu.
Na dworze już ciemno. Pokój tonie w półmroku. Na kominku tli się tylko czerwonym zarzewiem węgiel,rzucając krwawe światło na parę fotografji które mi ocalały z powodzi a są dziś dla mnie jedynym a najdroższym skarbem.
Jest cisza przerywana jedynie monotonnym tykaniem zegara.
Zatracam powoli poczucie rzeczywistości. Czy te moje dzisiejsze tułactwo zdala od kraju,te szmaty życia które mi jeszcze pozostały ta beznadziejna bezdomność są jakimś snem koszmarnym czy jawą ? snem po którym nastąpi wreszcie przebudzenia może już na innym lepszym świecie..nie wiem.
Myśl moja błądzi gdzieś daleko w tym zaklętym czarownym

świecie wspomnień , tego jedynego skarbu który nam pozostał a którego wraże siły nie zdołają wyrwać nam z duszy.

W półmroku przesuwa się w wyobraźni korowód mglistych postaci moich dawnych tancerek.

I oto ja niegodny tułacz chciałbym paść przed wami na kolana i ślady stóp waszych całować i prosić was o wstawiennictwo do Pana by mnie ,, mężczyźnie " dał taką moc ducha i wiary którą w chwilach niewoli i niedoli naszego narodu obdarzał Was......... Kobiety Polki.........

Bal się skończył. Nię zbierało się nam na sen. w duszy i sercu było zbyt wiele radości i nadziei.

Zapomnieliśmy o dorożkach [redacted] mających nas odwieźć do domu . Wracaliśmy na piechotę.

Ogarnęło nas orzeźwiające powietrze wczesnego słonecznego wiosennego poranka. Z pobliskiej piekarni dolatywał zapach świeżo pieczonego chleba.

Szliśmy tak w milczeniu , każdy zatopiony w swoich myślach i wspomnieniach.

Raptownie towarzysz mój Mik Wereszczaka przystanął na chwilę i rzekł.

,, A jednak jakie piękne jest życie , Prawda ?

- O tak- odrzekłem z głębokim przekonaniem w głosie.

ŚMIERĆ DZIADUNIA

Wieczór zimowy zapadał nad ziemią.
Gdzieś nisko, na horyzoncie, czerwonym zarzewiem gorzała jeszcze ostatnia smuga zachodzącego słońca.
Pokój tonął w półmroku , ale chory prosił by mu nie zapalano światła, zwrócił swą siwą głowę ku oknu wpatrzony w dogorywające promienie zachodu.
Przed chwilą odbył spowiedź św. , otrzymał ostatnie pomazanie . pożegnał nas szeptem , uśmiechnął się przyjaźnie i... chciał pozostać sam.
W sąsiednim pokoju rodzina , ks proboszcz i służba cicho odmawiała modlitwy za konających.
Do usza modlących się doszło ostatnie głębokie westchnienie. Ostrożnie otwarto drzwi i zapalono gromnicę.
" Stary pan" leżał na wznak porządnie , cicho , z godnośćią tak jak żył. Oczy miał zamknięte a w martwych złożonych na piersiach dłoniach ściskał różaniec i Mękę Pańską.
Blask gromnicy oświecił jego pogodną spokojną twarz , wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej i rynsztunek myśliwski zawieszony nad łóżkiem.
Nie stało dziadunia Antoniego mego najdroższego pprzyjaciela , mentora i towarzysza lat dziecinnych.
Nie wypłyniem już Dziaduniu czółnem na Jesiaty , nie pójdziem nocą z łuczywem na raki ani o świcie na toki cietrzewie w Mintowciszkac nie zagra nam w pogodny dzień złotej litewskiej jesieni daleka muzyka ogarów i Twoja dzwięczna trąbka myśliwska.
Nauczyłeś Mnie dzieckiem kochać i rozumieć Litwę naszą , otworzyłeś mi oczy na ten zaczarowany nie dostępny dla obcych "nasz własny świat", świat pachnący oddechem skoszonych łąk , żywicą borów i dymkiem ogni pastuszych .
Jakże ci Dziaduniu jestem wdzięczny za ten największy a jedyny skarb mego życia.
Mój Dziad Antoni na Perejasławlu Bożeniec Jałowiecki zmarł w Jedzienianach u swojej córki pułkownikowej Tomaszowej Steckiewiczowej w Janiskiej parafji Ziemi wileńskiej gdzie po śmierci Babuni zamieszkał zimą spędzając zwykle lato u nas w Sylgudyszkach
Należał do ostatnich wychowańców Uniwersytetu Wileńskiego, był uczniem prof. Sniadeckiego, znał wielu z promienistych , Tomasza Zana , Czeczot choć z Adamem Mickiewiczem nie zetknął się osobiście.
Zamieszany w powstaniu 63 roku i więziony przez Murawjowa ocalenie swe zawdzięcza dawnym swym poddanym Kazimierzowi i Janowi Trynkunom Kozackie nahajki nie mogły zmusić tych zacnych ludzi do wydania ich kochanego dziedzica.
Był deputatem święciańskim i ostatnim honorowym sędzią granicznym wiłkomierskim , był też jednym z typowych przedstawicieli pokolenia Uniwersytetu Wileńskiego . Człowiek pogodny , prosty i uprzejmy w obejściu, wielkiej głębokiej wiary i umiłowania ziemi rodzinnej

myśliwy i znakomity znawca kniei litewskiej.
Śmierć Dziadka był to dla mnie pierwszy boleśny cios. jak by pierwsze ogniwo długiego łańcucha trosk, nieszczęść i zawodów któremi Bóg doświadcza człowieka w okresie tej tak trudnej a tak odpowiedzialnej próby jaką jest życie , ale w tym życiu naszym po nad niedole ludzkie po nad jego łzy i radości , po nad szare ugory i złote łany zbóż gdzieś wysoko z błękitów przyświeca nam zawsze wierna , zawsze niezmienna łaska Opatrznośći Boskiej nie zapominajmy o Niej.

I stają mi żywo w pamięci słowa Dziadunia któremi zwykł mnie pocieszać w chwilach moich tragedji dziecinnych.

-/Nie poddawaj się mój chłopcze ... Sursum Corda.

Tak Dziaduniu .... Sursum Corda.

G Ł U S Z C E

Pociąg wieczorny opuszczający dworzec Rygski w kierunku Witebska miał ruszyć za chwilę.

Było gwarno i wesoło. Młodzież rozjeżdżała się do domów na wakacje wielkanocne.

Zajęliśmy z Mikiem Wereszczaką miejsca w natłoczonym przedziale drugiej klasy. Jechaliśmy kupą , przeważali ludzie z kresów , gdyż koledzy z Królestwa ze względu na różnicę kalendarza , ograniczony czas wakacji wreszcie zbliżające się egzamina pozostali w Rydze. Zapomnieliśmy o śnie. Kompanja była zgrana. Dowcipom i opowiadaniom nie było końca. Raz wraz słychać było wybuchy śmiechu.

Czas upływał szybko ani obejrzeliśmy kiedy pociąg nasz stanął na dłuższym przystanku w Römershofie.

Wysypaliśmy się gromadnie do bufetu na kieliszek,, Kumelu " i sławne na całą Nadbałtykę ,, spekuchy" . Nikomu z nas nie przyszła by ~~mmmm~~ do głowy zdrożna myśl przejechania stacji Römershof na sucho.

Po północy dotarliśmy do Dźwińska , przesiedlismy do pociągu idącego w stronę Wilna i rano stanęliśmy na stacji w Nowoświęcianach gdzie czekały na nas konie.

Namówiłem mego przyjaciela aby po drodze do Gutowszczyzny zajechał do mnie na toki głuszców w które obfitowała Puszcza Łabonarska.

Jechaliśmy powoli. Na drogach była topiel a po lasach konie zapadały po brzuchy w śniegu. Było około drugiej po południu gdyśmy nakoniec dotarli do Syłgudyszek.

- No wreszcie- zawołała Matka moja na nasz widok- Czeka na was dobra zupa grzybowa z uszkami , marynata ze szczupaka i liny w śmietanie a w końcu wasza ulubiona szarlotka. Wypijcie teraz na rozgrzewkę po kieliszku starki. Pamiętajcie że dziś post-

Moja droga Matka w przewidywaniu naszego przyjazdu zawczasu dała zn znać gajowym aby nazajutrz po naszym przyjeździe stawili się do dworu z raportem.

Dnia następnego po dobrym wypoczynku zajęliśmy się przygotowaniem do polowania, przetarliśmy strzelby, sprawdzili naboje i czekaliśmy na pomyślną wiadomość. Jakoż pod wieczór służący oznajmił o przybyciu mego przyjaciela starego Dewejkisa , leśnika z Pogołonia - najlepszego rewiru łowieckiego.

- Tegul bus pagarbintas rzekł / niech będzie pochwalony/
- Ant amżu , amżus / na wieki wieków / odpowiedziałem
- Kas girdis ? / co słychać /
- Panajtis - rzekł - głuszce grajo akuratnie , musić bendzie ich pieć
- ci sześć sztuk, trudno zmiarkować bo jeden drugiemu pod pieśń podchodz
- Dwuch gra w suchym lesie na wierzchowinach drzew a trzech ci czterech
- w rojscie w strona Mintowciszek. Miarkuje co lepiej dziś na wieczór
- pojechać do mnie , moja gospodyni przynarowiła sielawy dziś prosto z
- Jesiaty . Mieldżau łabej / proszę bardzo

Na wieczor byliśmy już w leśniczówce i nie tracąc czasu wyszliśmy na podsłuchy , ja w towarzystwie Wincuka syna Dewejkisa a Mik pod opieką starego.

Wieczór był cichy na tle wiosennego bladego zachodu misterną koronką odcinały się gałęzie brzeziny. Daleko odezwał się puszczyk Gdzieś z pobliskiego rojstu dolatywało bulgotanie cietrzewi.
Raptem nad borem przeciągnęły dwa głuszce , załopotały skrzydłami i usiadły na gałęziach świerków na nocleg.
Mrok zapadał. Głuszce nie dawały jednak głosu.
Wróciliśmy do leśniczówki aby za kilka godzin być znowu w kniei.
Była jeszcze na dworze ciemna noc gdyśmy się rozstali z Mikiem udając się każdy w swoją stronę.
Szedłem w milczeniu za Wincukiem , który z latarką w ręku prowadził przez jakieś ścieżki leśne znane tylko straży , przez zawały i wyręby po kładkach ułożonych nad topielą po których noga się ześlizgiwała Wreszcie stanęliśmy na miejscu.
Rejkie łaukti / trzeba czekać szepnął gajowy.
Latarnia zgasła, ogarnęła nas ciemność, tylko gdzieś w górze pomiędzy konarami widać skrawek nieba i świeci kilka gwiazd.
Do świtu daleko. Cisza. Stoimy tak w miejscu, zamarli w oczekiwaniu Słychać bicie własnego serca. Jak długo stoimy nie wiem , człowiek w takich chwilach traci poczucie czasu.
Gdzieś daleko odezwało się kwakanie kaczora, przeciągnęła nad nami pierwsza słonka . Nastaje znowu martwa cisza . W powietrzu zabeczał bekas. Raptem gajowy przyłożył rękę do ucha.
- Dejnoja ne toli / gra niedaleko/szepnął
Nadstawiam ucho nie mogę nic dosłyszeć . Tak przechodzi kilka minut Zamieniam się cały w słuch ... teraz słyszę już .. tak to.... On... zdaje mi się że gra gdzieś bardzo daleko. Coraz wyraźniej dolatują do uszu pierwsze tony pieśni
-Te... te...te...te..
Znowu cisza . Kogut się jeszcze nie rozegrał, podskakiwać zawcześnie.
Mijają długie chwile oczekiwania, serce bije jak młotem.
Znowu słychać pieśń głuszca , gra na dobre zaczyna ,, szlifować "
Panajtis - po dešme / Paniczu na prawo / szepce gajowy.
Zaczynamy podskakiwać . Jak to długo trwa nie pamiętam. Czasem pieśń się raptownie urywa , stajemy w takich chwilach jak skamienieli na jednej nodze z drugą podjętą do skoku.
Niebo zaczyna blednąć ale w borze panuje ciemność.
Raptownie gajowy chwyta mnie za rękaw a drugą ręką wskazuje na wierzchołek świerku.
Nie widzę nic oprócz konarów . Wincuk zaczyna się niecierpliwić.
Coś się poruszyło w górze ...... widzę.
Siedzi na wysokiej gałęzi i gra. Na tle świtu widzę jak rozpostarł swój wachlarz. Siedzi o jakieś trzydzieścia kroków.
Chybić niepodobna , ale trzeba opanować nerwy. Ręce latają jak w febrze Całą siłą woli staram się przezwyciężyć wzruszenie. Powoli , ostróżnie zaczynam naprowadzać na muszkę
Ciągnę za cyngiel.
Na chwilę tracę przytomność. Słyszę jak coś ciężkiego wali się z gałęzi na gałąź.
Wincuk doskakuje .
Didielis głuszokas / wielki głuszec / woła.
Podchodzę bliżej. Leży na mchu , czarny, olbrzymi. Podnoszę stary głuszec ciężkiej wagi.

Wracamy do leśniczówki. Nie mam więcej ochoty do dalszego polowania
Nie chcę psuć pierwszego wrażenia , zresztą oszczędzam głuszce.
[illegible]
Już świta. Czerwienieją w pierwszych blaskach wschodzącego słońca wierzchołki sosen. Dolatuje do nas daleka pieśń głuszca , gra ich zapewne kilka sztuk.
Wchodzimy na drogę prowadzącą przez rojsty. Z prawa , z lewa powietrze aż drga od bulgotania cietrzewi , tych nadwornych błaznów naszych lasów. Tuż przy drodze tokuje ich naraz kilka sztuk
Mika jeszcze nie widać. Wreszcie wraca rozpromieniony. Stary Dewejkis niesie za nim dwa piękne głuszce.
Wyjmuję z puzderka butlę Montwiłłówki . Przepijamy do leśników.
- Ant swejkata -na zdrowie mówię
- Aciu - dziękuję - odpowiadają.
Konie zaprzężone siadamy do bryczki . Układamy ostrożnie głuszce na przodzie.
- Su Diewu Dewejkis , su Diewu Winca - z Bogiem Dewejkis i Bogiem - Wincenty mówię na pożegnanie.
- Likiet swejki ponej Bądźcie zdrowi , panowie - odpowiadają
Konie ruszyły ..
Bądź zdrowa i ty kniejo .....

S E R Y

Umówiliśmy się z Mikiem Wereszczaką że po skończonych wakacjach wielkanocnych spotkam go w dniu oznaczonym na stacji w Nowoświęcianach i że wrócimy razem do naszej Alma Mater.

Mik po za swoją pensją studencką dostawał pewien dodatek w postaci transportu sławnych serów litewskich wyrabianych w Gutowszczyźnie , majątku jego Rodziców.

Praktyczny Mik wyrobił zbyt na te produkta w Rydze. i teraz właśnie miał z sobą w wagonie większy ich ładunek. Na umówioną godzinę siadłem do pociągu i dzięki owym serom nie miałem trudności z odnalezieniem mego towarzysza podróży.

Byliśmy obydwaj zmęczeni i mimo wspomnień ze spędzonych wakacji które cisnęły się nam do ust , wyciągnęliśmy się na ławce wagonu drugiej klasy i zasnęliśmy snem sprawiedliwych. Niestety nieprzewidziane okoliczności wkrótce przerwały nam odpoczynek.

Na jednej z następnych stacji zwanej Dukszty rozbudził nas znajomy głos kolegi X.

Wniesiono za nim żółtę skórzane walizki, nesesery, sporo różnych innych pakunków i wrzystko to razem z właścicielem ulokowano na podjętym do snu siedzeniu w pobliżu serów.

Zanim pociąg ruszył usłyszeliśmy zgóry gniewny głos.

- Doprawdy nie można już wytrzymać, co za powietrze , nie mogliście - tego świństwa oddać na bagaż i nie zatruwać atmosfery w wagonie! po tej przemowie usłyszeliśmy pod naszym adresem wypowiedzianych kilka wcale niepochlebnych uwag i porównań.

Tego nam było zawiele.
Właśnie w owej chwili wszedł konduktor. W milczeniu wcisnęliśmy mu do ręki dwa ruble .

- O co chodzi ? - spytał konduktor.
- Panie konduktorze , niech pan zwróci uwagę - rzekliśmy - - tu w wagonie było czyste powietrze ten pasażer wlazł w Duksztach - no ... i niech pan sam powącha i osądzi.
Konduktor pociągnął nosem
- Gospodin - rzekł targając naszego przyjaciela za nogę. Tut tak - w drugiej klasie nie można, tu czysta publika , a pan wot, wprost - wstyd gadać, niech pan przejdzie do trzeciej klasy.
- Co to jest krzyknął zaperzony nasz przyjaciel- co to nie wiecie - do kogo mówicie. Dość tego. Ja wam zaraz zrobię porządek dodał czerwony z gniewu , zapomniawszy całkiem o właściwej przyczynie całego zajścia - o serach.
- Panie konduktorze - rzekł Mik niech pan nie zwraca uwagi na tego - gospodina, znamy jego to zwykły przekupień śledzi w miasteczku - Dukszty.
W tym samym wagonie o parę ławek od nas chrapał jakiś dymisjonowany generał. Zapewne cierpiał na ból zębów , bo miał głowę podwiązaną czerwoną chustką a na policzku sporo waty skropionej obficie olejkiem kamforowym.
- Co to za wrzawa ? spytał przecierając oczy.
- Wasze prewoschoditielstwo- rzekł salutując konduktor- tak tu był - czysty wozduch a wot wszedł ten pasażer i zepsuł powietrze a

w dodatku jeszcze mnie wyrugał

Generał powąchał i chwycił ręką za nos.

-Czort znajet co takiego - konduktor proszę natychmiast przeprowa-
- wadzić tego pasażera do trzeciej klasy - co za publika jezdzi
- teraz w drugiej klasie, ot przyszły czasy , tak wprost nie chce
- się własnym oczom wierzyć. dodał.

Mimo protestów zabrano naszego przyjaciela do trzeciej klasy a na stacji w Kałkunach doszło do poważnej różnicy zdań pomiędzy poszkodowanym a personelem kolejowym.

Zatrzymano pociąg , pozostawiono naszego kolegę na stacji w celu sporządzenia protokułu .... my zaś z serami i generałem w spokoju pojechaliśmy dalej.

Dopiero dnia następnego w porze obiadowej zjawił się na kwaterę stowarzyszenia . Rzecz oczywista że wrzyscy wiedzieli już o całej przygodzie.

Na widok wchodzącego X sala wybuchła śmiechem

Wyczerpało to do reszty jego cierpliwość. Nastąpiło wyzwanie a ponieważ pojedynki między arkonami były statutowo wzbronione , sąd honorowy po zważeniu wrzystkich ,, pro i contra " wydał wyrok pozbawiający nas na dni dziesięć prawa noszenia barw stowarzyszenia Była to zresztą surowa ale zasłużona kara.

C Z A R N A   D A M A

Nadeszła wiosna. Trzeba było wziąść się do pracy aby odrobić różne zaległości karnawałowe. Mieliśmy przed sobą poważne egzamina z chemji nieorganicznej, wykreślnej geometrji wreszcie geologji i mineralgji . Wyższą matematyką udało się nam zlikwidować w nadspodziewanie dobrym rezultatem już przed świętami wielkanocnemi.

Profesor Bischof znakomiy chemik swiatowej sławy był szczegulnie zawzięty na ,, agronomów " i nie uznawał stopni pośrednich były w jego pojęciu tylko dwie drogi albo znajomosć przemiotu i wtedy stawiał piątkę albo uważał że student nie ma pojęcia o chemji i z całym spokojem stawiał jedynkę .

Największym postrachem był jednak profesor Kisritzki wykładający wykreślną geometrję. Jak wrzyscy zresztą wykładowcy tego przedmiotu odznaczał się nietylko bujną wyobraźnią której wymagał od swych pupili lecz i nieposkromionym temperamentem.

Dziś gdy po czterdziestu latach przypomnę sobie różne przecięcia stożka z kulą lub dwuch cylindrów o różnej średnicy , zimny pot występuje na moje czoło a sen odbiega z powiek.

Siedzieliśmy więc od rana do późnego wieczora za książką . Ojcowie nasi naogół pełni wyrozumiałości dla różnych drobnych grzeszków studenckich byli natomiast bardzo wymagający gdy chodziło o nauki. Dreszcz nam przechodził po skórze na myśl jakie spotkało by przyjęcie w domu gdybyśmy pozostali na rok następny na pierwszym kursie.

Wieczorami z głową pełną formułek chemicznych , gnejsów , kwarców wreszcie przeklętej geomerji wykreślnej wychodziliśmy na miasto aby odetchnąć świeżym powietrzem i dać odpoczynek głowie.

Wałęsaliśmy się nad brzegiem Dźwiny lub po wąskich uliczkach starego miasta zabawiając się polowaniem na koty. Mik wyspecjalizował się w wabieniu tych szlachetnych zwierząt , ja zaś celowałem w strzelaniu z procy.

Któregoś wieczora zapuściliśmy się niebacznie w labirynt uliczek śródmieścia.

Wieczór był cichy , księżyc napoły ukryty w chmurach wyłaniał się chwilami rzucając srebrne blaski na uśpione miasto. Zegar na wieży tumu rygskiego wybił północ.

Ogarnęło nas jakieś nieprzyjemne uczucie , szliśmy w milczeniu zapomniawszy o kotach chcąc jak najprędzej wydostać się na jakąś zaludnioną ulicę.

Skręciliśmy wreszcie w uliczkę prowadzącą do placu na którym mieścił się ,, Schwarzhaupter Haus " - gmach czarnogłowych odwiecznej korporacji rygskiego bogatego patrycjatu sięgającej czasów dawnej Hanzy.

Niespodziewanie poczuliśmy za sobą prąd zimnego powietrza a jakaś niewidoczna siła zmusiła nas do obejrzenia się za sobą.

To cośmy zobaczyli zmroziło nam krew w żyłach , stanęliśmy jak wryci.

Stanęła przed nami wysoka postać jakiejś niewiasty , w blasku latarni ujrzeliśmy dziwną bladą twarz napoły zakrytą wielką czarną chustą spływającą na ramiona.

Spojrzała na nas wzrokiem tak przenikliwym, tak strasznym patrząc nam prosto w oczy że poczuliśmy że odbiega nas przytomność.
Chcieliśmy się spytać o co jej chodzi i czego od nas chce nie byliśmy jednak w stanie wymówić słowa. Jak długo staliśmy nie pamiętam chwile zmieniły się nam w godziny.
Wreszcie nadludzkim wysiłkiem woli zbliżyliśmy się do niej. Jakaś niewidoczna ręka odepchnąła nas z taką siłą, że zachwialiśmy się na nogach. W naszych oczach postać rozwiała się a tylko z ciemnej głębi uliczki wciąż patrzyły na nas te straszne złowieszcze oczy.
To już było po nad nasze siły. zawróciliśmy z miejsca i na oślep biegliśmy przed siebie błądząc w labiryncie wąskich pustych ulic stare miasta a za sobą czuliśmy wciąż obecność prześladującej nas zjawy.
Wreszcie znaleźliśmy się na szczęście na oświetlonej i gwarnej ,, Kalkstrasse".
Zaniechaliśmy od tej chwili naszych nocnych wycieczek na stare miasto i polowań na koty ale obraz ,, czarnej damy " prześladował naszą wyobraźnię przez dłuższy czas.

KOMERSZ W KOKENHUSEN

Cichą mowy, skłońcie głowy
Niech umilknie wszelki spór
Bo w tej chwili uroczystej
Pieśń przyjaźni wiekuistej
Wzleci wgórę aż do chmur

Zamilkły ostatnie strofy starej pieśni akademickiej
Zakończono oficjalną część komerszu
Wstaliśmy od stołów i wysypaliśmy się z sali na werandę pawilonu myśliwskiego w Kokenhusen położonego na urwistym brzegu Dźwiny. Przed nami pod drugiej stronie jaru na tle bladego wieczoru wiosennego czerniały zwaliska zamku zdobywanego ongiś przez Hetmana Karola Chodkiewicza.

Gdzieś w dole szerokim srebrnym korytem płynęła Dźwina. Z przezroczystej dali jak wzrok sięgał płynęły z prądem rzeki ku nam tratwy. Ciszę wieczorną przerywał plusk wioseł i nawoływania flisaków.

Płonęły ognie , gotowano zapewne wieczerzę , kładły się na wodę czerwone smugi. Ten jarzący setkami ognisk korowód sunął szybko w dół rzeki ku morzu i ginął raptownie za zakrętem

Z pobliskich gajów i zarośli dolatywał bez przerwy do uszu naszych głos tysiącznych treli słowiczych. W powietrzu czuć było kwitnącym bzem , czeremchą i młodą brzeziną.

Staliśmy w milczeniu nie mogąc oderwać oczu i nacieszyć się doli woli czarem tej ,, zaklętej " nocy majowej

Wsród kresowej młodzieży arkońskiej było wielu , których przodkowie pod dowództwem hetmana Chodkiewicza zdobywali warowne mury Kokenhusen.

Ozwały się nam w duszy jakieś echa zamierzchłych lat, jakieś ukryte głęboko atawizmy , bo oto niepodziewanie bez żadnej komendy zerwała się ze wrzystkich naraz ust i buchnęła ku niebu potężna melodja pieśni

Wiwat , wiwat, nasz pancerny
Wiwat nasz hetmański znak
Zawsze mężny, zawsze wierny
Tak bywało zawsze tak.
Za ojczyznę i za króla
Pędzę w ogień niby ptak
Wiwat wiwat hejże hola
Wiwat nasz pancerny znak

Jak by w odpowiedzi , zapłonęły mury zamkowe czerwienią ogni bengalskich, wystrzeliły w dal rakiety oświecając całą okolicę krwawą łuną.
To koledzy chemicy, przygotowali nam taką miłą niespodziankę.
O śnie nikt z nas nie myślał
Nadszedł poranek trzeba było myśleć o powrocie do Rygi , do kreślarni , laboratprjów, podręczników do pracy dnia powszedniego.

Wracaliśmy na stację kolejową szerokim piaszczystym gościńcem wysadzanym z obydwuch stron wiekowemi lipami.
Szliśmy czwórkami w milczeniu , tylko wiosenny wietrzyk poranny łopotał barwnym sztandarem Arkonji niesionym na przedzie pochodu przez olbrzymiego Ignacego Bronikowskiego , chorążego korporacji.
Byliśmy tak zmęczenic bezsenną nocą i upojeni powietrzem wiosennym że skoro tylko pociąg ruszył usnęliśmy snem kamiennym. Rozbudził nas donośny głos konduktora.
- Panowie już Ryga -.

Ps. Jeden z moich przodków Zachar kniaź na Perejasławlu Bożeniec Jałowiecki chorąży pancerny poległ pod murami Kokenhusen.
Zródła.
I Rodowód familji ,, Z kniaziów Perejasławskich Bożeńców Jałowieckich herbu własnego brama obozowa w polu czerwonym nad nią krzyż w herbie mitra.
Szósta księga rodowodów szlachty dziedzicznej Imperjum Departament Heroldji Senatu Rządzącego

2. Rurykowicze w Rzeczypospolitej Polskiej. Artykuł w numerze marcowym miesięcznika wydawanego przez Akademję nauk w Petersburgu . Rok 1894.

3. Dokumenta rodzinne będące w moim posiadaniu

PRZY BUDOWIE KOLEI

Pod koniec Maja otrzymałem od mego Ojca list oznajmiający, że po skończonych egzaminach mam się stawić na praktykę wakacyjną przy budowie kolei na odcinku Poniewież- Nowoświęciany i niezwłocznie po przybyciu na miejsce zameldować się służbowo do inżeniera Abramowa naczelnika drugiego dystansu budowy.

W ten sposób pewnego pięknego dnia znalazłem się w jarze oniksztyńskim z niwelatorem i partją robotników.

Wyznaczono mi zadanie zniwelowania profilu świeżo wytyczonej linji na przestrzeni dziesięciu wiorst aż do Jeziora Rubiki , gdzie miałem się spotkać z idącym mi na spotkanie niejakimś Plechanowym studentem Instytutu Inżenierów Dróg i Komunikacji i powiązać rezultaty naszych prac.

Uprzedzono nas zawczasu że nie powinniśmy , w najlepszym wypadku dopuścić się omyłki przekraczającej jedną dziesiątą sążnia

Miałem dość wprawy w obchodzeniu się z instrumentem, gdyż nauczony przez Ojca, nie raz zastępowałem go przy niwelacji łąk w Syłgudyszkach, a po niedawnym egzaminie z geodezji i dwutygodniowej praktyce pod kierownictwem znanego pedanta a bardzo wymagającego profesora niemca byłem całkowicie pewien siebie.

Nie miałem natomiast żadnego pojęcia o kwalifikacjach fachowych mego vis a vis.

Za każdem przestawieniem niwelatora sprawdzałem instrument i przepisowo co kilkaset sążni pozostawiałem za sobą ,, repery" stałe punkta niwelacyjne.

Doszedłszy do wyznaczonego miejsca , siadłem na wyniosłym pagórku wyczekując niecierpliwie pojawienia się na horyzoncie mego partnera.

Tak przeszła godzina jedna , druga , nadchodził wieczór a Plechanowa ani śladu.

Zrezygnowałem z dalszego czekania i udałem się na nocleg do sąsiedniej wsi.

Zasiadłem właśnie za misę kwaśnego mleka z kartoflami obficie okraszonemi skwarkami gdy na progu izby stanął ,, dziesiętnik " mojej partji , rodowity litwin z okolic Owanty , stary , doświadczony robotnik , który spędził całe życie przy budowach kolei i oznajmił mi, że na własną rękę wyszedł na spotkanie partji , że widział się z Plechanowym który mu zapowiedział że ze względu na trudny teren nie przypuszcza aby ukończył swój odcinek przed upływem paru dni.

Zaprosiłem dziesiętnika do wspólnej miski . Po skończeniu kolacji siedliśmy na przyzbie a skręciwszy w ręku i zapaliwszy t zw na Litwie ,, bankrutki " papierosy z machorki medytowaliśmy nad tem co dalej począć.

- Jak że idzie robota w tamtej partji ? spytałem.
- Prawda powiedzieć, to słyszałam jakoby obojętnie. Pytałam sie tam-
- tejszego dziesiętnika Kuryłę ci pozostawili repery tak gada, że ża-
- dnych reperów nie byli zostawiwszy. Po mojemu to u nich gdzie wy-
- jemka to wyszedł nasyp , a gdzie nasyp tak wyjemka. Sam Kuryło jak
- spytałam to tylko plunął , machnął ręka i zamilczał.
- Jak ten mówił wychodzi ,, ni pipka , ni rybka ".

- Będzie nasz Abramow łajać sie aż w niebie musić bendzie słychać.
- To i nam się dostanie ? spytałem.
- Wiadomo że i nam wleci. Za jednego durnia wrzystkim trzeba cierpieć
- a do tego musić przyjdzie sie na nowo niwelirowka robić.
Dnia następnego wczesnym rankiem wynajęliśmy we wsi furmankę i udaliśmy się do odległego o kilkanaście wiorst miasteczka Onikszty gdzie się mieściła kancelarja naczelnika drugiego dystansu.
IżynierAbramow , sybirak , olbrzym o jasnych oczach obfitej brodzie i złotym sercu znany był jednak ze swego rubasznego obejścia a gdy wpadł w gniew nie przebirał w doborze słów.
Zdziwił się na mój widok i spytał o Plechanowa.
Odpowiedziałem że podobno Plechanow ma ukończyć swój odcinek dopiero za parę dni.
Posłano mnie tymczasem na dozorowanie przy zabijaniu pali pod budowę mostu na rzece Świętej , a po paru dniach w towarzystwie naczelnika wyjechałem na spotkanie Plechanowa.
Jakoż zastaliśmy go w oznaczonym miejsce . Po wzajemnych przewitaniach wyjęliśmy nasze notatniki niwelacyjne ,aby sprawdzić rezultaty pracy.
Spojrzałem i sprawdziłem poziomy . Włosy stanęły mi na głowie.
Omyłka nie tylko przekroczyła jedną dziesiątą sążnia ,ale wybiegła znacznie po nad półtora sążnia.
- No dajcie mnie wasze notatniki , rzekł inżynier Abramow.
- Zapanowała grobowa cisza. Twarz naszego naczelnika poczerwieniała.
- Jałowiecki rzekł hamując gniew , czy pan pozostawił repery?
Skinąłem potakująco głową
- No a wy Plechanow ? nastąpiło milczenie.
Tfu- splunął.-Po prawdzie ja w życiu takiej niwelirowki nie widział
-różnica na dwudziestu wiorstach półtora sażenia , Czort znajet ....
Tu nastąpiło kilka soczystych epitetów.
- Zupełnie jak z baśni Kryłowa - Łabędź , Rak i Szczuka jeden lezie do
- dołu,drugi lęci do obłoków. Trzeba na nowo wrzystko sprawdzać a po
- potem „uwidim", kto praw kto winowat . Tylko strata czasu z temi pra-
- ktykantami.
- Jałowiecki jutro rano do Traszkun na obliczanie robót ziemnych a wy
- Plechanow pod Ucianę do wsi Grybele na ,, wytyczanie krzywej ".
Staliśmy w milczeniu spoglądając jeden na drugiegi z nieukrywaną niechęcią.
Mój dziesiątnik przysłuchujący się z uwagą całej rozmowie podszedł potem do mnie i szepnął.
- U nas wrzystko w porządku , niech pan nie bieduje . Repery mamy tak
- niech sprawdzają , nawet nam przy drugiej niwelirowce stołka nie mogą
- podstawić.
Rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę.
Po upływie paru tygodni wyzwano nas do kancelarji naczelnika dystansu.
- Nu tak u was Jałowiecki toczka w toczku a wy Plechanow choć wy i
- putiejec a nie agronom, tak wstyd gadać ,-gospodin inżynier ot wam
- by lepiej z babami kapuste w ogrodzie sadzić - rzekł Abramow.
Biedny Plechanow zbladł, pocieszałem go jak mogłem , biedak ze zgryzoty upił się tego wieczora .
Na dobitek wkrótce wynikła nowa komplikacja związana z wytyczeniem zakrętu kolejowego pod wsią Grybele.
Co tam było nie mogłem dokładnie się dowiedzieć, ale legenda o ,, krzywej grybelskiej" rozeszła się głośnym echem po całej okolicy.
Wiedział o tem i miejscowy asesor i proboszcz w Ucianie i sąsiedzi.

Grybele dostały się na języki całej parafji Ucianskiej i sąsiedniej Wiżuńskiej.

Za każdym razem gdym kierując się w stronę Poniewieża przejżdżał koleją te sławne miejsce konduktorzy uważali za swój obowiązek przypomnieć

- Tak znaczysia w tym miejscu Plechanow ,, rozbijał krzywę.

C I E T R Z E W I E

Zbliżał się koniec Sierpnia , moja praktyka miała się ku końcowi. Wysłałem telegram do Mika Wereszczaki aby przyjechał do Syłgudyszek zapolować na młode pardwy i cietrzewie

Lasy nasze graniczyły z niezmierzonemi mszarami Mintowciszek i Łapowarcia był to istny raj dla myśliwego i miłośnika przyrody.

Jeżeli nasz znakomity znawca przyrody i kniei litewskiej a mój kuzyn Józef Weyssenhof tak ślicznie opisał w ,, Sobolu i Pannie " Szepetę to chyba dlatego że nie znał Mintowciszek , przewyższających Szepetę jak obszarem tak i ilością ptactwa.

Wyruszyliśmy z Mikiem zawczasu aby przenocować w leśniczówce i wczesnym rankiem być już w kniei.

Był cichy wieczór sierpniowy , w powietrzu pachniało lewkonją i rezedą. Przed gankiem czekała ,, liniejka " zaprzężona w parę bułanych żmudzkich mierzynków.

Po kolacji usadowiliśmy się z naszą wyżlicą ,, Almą i bez stangreta wyruszyliśmy samopas w drogę.

Jechaliśmy małemi dróżkami na nasze Powieżyńcie, Ażuprudzie , Stasiuny.

Księżyc wysunął się z po za lasu i oświecił całą okolicę swym srebrnym tajemniczym blaskiem, kładąc długie cienie. Nad łąkami zawisła już mgła wieczorna, gdzieś daleko słychać było ujadanie psów.

Jechaliśmy tak w milczeniu nie chcąc przerywać rozmową czaru tej cudownej nocy sierpniowej.

Zaledwie minęliśmy most na rzece Wieżyńcie gdy wyżlica leżąca spokojnie u naszych nóg zaczęła raptownie skomleć.
Konie parsknęły i stanęły w miejscu
Przed nami na polance leśnej w pobliżu cmentarza ukazała się postać jak by utkana z mgły. Widzieliśmy wyraźnie w świetle księżyca jak stanęła na drodze jak by czegoś szukając.

Nie była to żadne złudzenie, nie był to ognik błąkający / zjawisko często widywane na Litwie / gdyż płynął od niej jakiś blask promienny.
Widzenie trwało dość długo wreszcie postać wzniosła ręce wgórę jak by w błaganiu i rozwiała się w srebrzystej dali.
Nie byliśmy ani przesądni ani przeczuleni a jednak ciarki przeszły nam po skórze.
Było około północy gdyśmy dobrnęli do leśniczówki. Znaleźlismy przygotowany nocleg i lamkę ciepłego zaprawionego sutd korzeniami krupniku na rozgrzewkę, bo noc była chłodna.

Rozciągnęliśmy się z rozkoszą na czystej pachnącej sianem pościeli i wkrótce sen zmrużył nam powieki.

Było jeszcze szaro kiedy stary Mintowt zapukał do szyb.
Zanim zakończyliśmy nasze śniadanie i napoili mlekiem wyżlicę , słońce już weszło.
Wstał cichy , pogodny ranek wczesnej jesieni , niebo było czyste bez chmurki

O kilkadziesiąt kroków od leśniczówki zaczynały się rojsty.

Mgła wisiała jeszcze nad mszarem. Z wysokiego brzegu ciągnęły się one ukryte we mgle , ciche tajemnicze , bezbrzeżne jak morze.
Należało przeczekać zanim słońce nie rozwiało tumanu i nie wypiło rosy.
Ptactwo nie ruszyło jeszcze na żer , nie otrząsło z wilgoci nocnej swych piór , nie dało ścieku / śladu / było by więc bez celu męczyć na razie siebie i psa.
Zeszliśmy wreszcie z pagórka i zanurzyliśmy się w obszarach rojstu. Kto nigdy nie widział zbliska rojstu litewskiego , nie może mieć pojęcia o tym terenie myśliwskim.
Są to olbrzymie niskie równiny pokryte miękim mchem , w którym noga myśliwego zanurza się prawie po kolana , a porosłe rzadką, karłowatą sośniną.
Im dalej od brzegu tem grunt staje się miększy , czasem cała powierzchnia bagniska ugina się pod stopą . Trzeba się wystrzegać bo często zdarzają się topiele porośnięte zdradliwie zieloną powłoką które niespodzianie mogą pochłonąć w swych czeluściach niebacznego
Pardwy zazwyczaj trzymają się głębi rojstu , nocują tam wychodząc na żer na pobliskie jagodniki natomiast cietrzewie gnieżdża się na twardszym gruncie w zaroślach olszyny bliżej brzegów.
Jest cóś upajającego w rojstach. Myśliwy zanurza się całą swą istotą w ten dziwny oderwany od rzeczywistości świat, a w upalne południa dostaje zawrotu głowy od upajającego zapachu ,, bahunu " / bagna
Po paru godzinych chodzenia ogarnia człowieka znużenie, oczy się kleją do snu , szuka się suchszego miejsca lub obalonej napoły zgniłej sośniny aby choć na chwilę módz spocząć. Wyżeł po godzinie pracy kładzie się z wywieszonym ozorem nie mogąc złapać tchu.
Słońce już było wysoko. Brzeg rojstu pozostał daleko za nami gdy naraz wyżlica zwolniła kroku i z pyskiem i ogonem wyciągniętym w jedną prostą linję ~~zaczęła~~ zaczęła powoli ostróżnie dochodzić. Byliśmy na tropie. Wyżlica stanęła jak wryta z głową przechyloną w jedną stronę, drżąc cała.
,, Alma pójdń dalej" szepnąłem zcicha. Pies zrobił parę susów. Zrobiła się naraz gwarno ozwał się djabelski rechot koguta, załopotało w powietrzu i żółte stadko pardw migając białym podskrzydlem pociągnęło nisko na rojstem.
Padły strzały . Trzy ptaki bijąc skrzydłami leżały na mchu. Poczciwa Alma zaaportowała lojalnie i przepisowo . Ruszyliśmy dalej za stadkiem które zapadło w odległości kilkuset kroków.
Było około południa . Mieliśmy już w torbie tuzin młodych pardw. Nadeszliśmy jeszcze na dwa stadka.
Zrobił się upał. Wynaleźliśmy wreszcie jakić piaszczysty porośnięty wrzosem pagórek i jak nieprzytomni padliśmy na ziemię.
Należało odpocząć , bo ptactwo w południe zaszywa się w krzaki lub głąb trawy nie dając śladu a dopiero pod wieczór wychodzi znowu na żer.
Pies odmówił nam również posłuszeństwa i wyciągnął się obok nas na ziemi , łowiąc powietrze otwartym pyskiem.
Słońce zniżało się już ku zachodowi gdyśmy się rozbudzili i ruszyli powrotem ku brzegom w celu odnalezienia cietrzewi.
W niespełna godzinę wytropiliśmy trzy stadka i nastrzelawszy się do syta wcale niezły rezultatem usiedliśmy aby nieco odpocząć.

Oczywiscie nie strzelaliśmy do matek . Zabicie matki i pozostawienie stadka bez opieki należy do śmiertelnych grzechów kodeksu łowieckiego Stary Mintowt dźwigający naszą zwierzynę zaczął zcicha wabic naśladując młode cietrzewie.
Siedzieliśmy bez ruchu. trzymajc psa za obrożę.
Niespodziianie o kilka kroków ozwało się ciche nawoływanie kury. Ko-ko-ko-ko-... nie przeszło kilka minut gdy ze wrzystkich stron usłyszeliśmy pogwizdywanie , zaroiło się koło kury która gdacząc odprowadziła swoje stadko w kierunku zarośli.
Nie mieliśmy już ochoty do dalszego strzelania . Byliśmy przedewrzystkiem myśliwemi a nie rzeźnikami.
Podziękowawszy Mintowtowi usadowiliśmy się w liniejce i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu.
Był już wieczór gdyśmy dotarli do Syłgudyszek z sercem przepełnionym czarem rojstów i całego tego cudownego dnia.

JAN NIECZUJA WITKIEWICZ

Rodzina Witkiewiczów z przydomkiem Nieczuja z Poszawsza na Żmudzi brała czynny udział we wrzystkich trzech powstaniach : Kościuszkowskim, Listopadowym wreszcie pamiętnym grudniowym roku 1863.
Z ust babki mojej marszałkowej Ignacowej Witkiewiczowej słyszałem wiele opowiadań dotyczących dziejów tej rodziny , a opowieść o bracie mego dziada Janie Witkiewiczu i jego pełnym przygód a otoczonym mgłą tajemnicy żciu w szczegulności podniecało moją ciekawość.
Niestety babunia Witkiewiczowa nie znała ani bliższych szczegułów życia tego niepospolitego człowieka ani okoliczności które spowodowały jego zagadkową śmierć.
Zaszedł wreszcie wypadek który uchylił nam zasłony i oświecił całą prawdę.
W roku 1899 w jednym z numerów najpoważniejszego miesięcznika historycznego ,, Ruskaja Starina wydawanego w Petersburgu przy udziale Akademji Nauk ukazał się sensacyjny artykuł pod tytułem:
,, Jan Nieczuja Witkiewicz i jego uczastje w afganskom woprosie " / Jan Nieczuja Witkiewicz i jego udział w sprawie afgańskiej.
Podaję w paru słowach streszczenie tego artykułu.
Jan Nieczuja- Witkiewicz urodzony w Poszawszu powiatu Szawelskiego był w liczbie owychkilkudziesięciu młodych chłopaków / wspomina o tem również Adam Mickiewicz w trzeciej części Dzadów / zesłanych prosto ze szkół wileńskich na daleki wschód.przez cara Mikołaja I
Witkiewicz dostaje się na Kaukaz gdzie go wcielają jako żołnierza do któregoś z pułków piechoty. Dzięki swej postawie , wychowaniu i niepospolitym zdolnościom lingwistycznym w prędkim czasie zyskuje zaufanie i szacunek swoich przełożonych. Dowódca pułku otacza go swoją szczegulną opieką i używa go jako tłumacza , gdyż oprócz języków europejskich któremi władał biegle nauczył się również języków wschodnich a w szczegulności perskiego.
W tym czasie zjawia się na Kaukaz sławny podróżnik niemiecki Humboldt . Witkiewicza przydzielają w roli dragomana do misji tego uczonego który ze zdumieniu odkrywa w zwykłym szeregowcu niepospolite zdolnosci.
Przez parę lat w towarzystwie Humboldta zwiedza Persję, Taszkent , Afganistan.
Na skutek interwencji Humboldta w czasie jego pobytu w Petersburgu zwrócono wreszcie uwagę na młodego żołnierza. Zostaje awansowany na oficera i wcielony do jednego z lepszych pułków gwardji . Wkrótce dostaje się do grona młodzieży przyjmowanej u dworu. Wysoki przystojny o dziwnie ujmującym obejściu Jan Witkiewicz zwraca na sibie uwagę Carowej, zyskuje popularności wśród najwyższych sfer towarzyskich stolicy jako świetny tancerz ma zaszczyt tańczenia kilkakrotnie z Carową na balach dworskich.
Jest u szczytu powodzenia.
Po pewnym czasie wysyłają go jako agenta dyplomatycznego w misji specjalnej do Afganistanu. Tkwi w jego duszy jednak głęboka nienawiść do Rosji - pisze ,, Ruskaja Starina " pod wpływem tej nienawiści daje on ucho namowom agentów brytyjskich i rozpoczyna intrygę przeciw Rosji za cenę niektórych gwarancji brytyjskich względem niepodległości Polski

Niespodzianie zostaje wezwany do Petersburga , gdzie ma się stawić przed Carem.

Witkiewicz spieszy do stolicy i zatrzymuje się jak zwykle w Hotelu Angielskim na placu Izaaka .

Treść rozmowy Cara z Witkiewiczem pozostanie na zawsze tajemnicą.

Nazajutrz po tej rozmowie znajdują w pokoju hotelowym zasztyletowane ciało Witkiewicza.

Nie ulega wątpliwości pisze miesięcznik historyczny że śmierć / etogo polskago Walenroda / tego polskiego Walenroda jest w scisłym związku z jego działalnością w Afganistanie i skutkiem rozmowy z monarchą, nie ma też wątpliwosci twierdzi dalej miesięcznik że dzięki szybkiemu usunięciu Witkiewicza , Rosja uniknęła poważnych a niebezpiecznych konsekwencji.

Parę lat przed wojną ostatnią dostałem [illegible] od czcigodnego Ignacego Witkiewicza , mego wuja łaskawie użyczoną mi minjaturę Jana w mundurze oficera gwardji pułku Izmajłowskiego

Powiększyłem tę minjaturę a powiększenie zawiesiłem w Kamieniu wśród fotografji rodzinnych

Gdy myślę o Janie Witkiewiczu to mi jednocześnie przychodzi na myśl urywek dumy o hetmanie Rzewuskim pióra Juljusza Słowackiego.

A w Moskwie z dział bito na górze Pokłonnej
I trzęsło się miasto od pieśni studzwonnej
I cieszył się car ruski , że emir Rzewuski
W stepowym legł cicho kurhanie.

WYKURZANIE FRUMKINA

Początek roku akadamickiego 1898 rozpoczął się dla mnie i mego kolegu Szymońa Meysztowicza pod niepomyślną gwiazdą.

W laboratorjum chemicznym zły los wyznaczył na za sąsiada niejakiegoś Pana Frumkina , syna bogatego kupca drzewnego ze sławnego miasty Dryssy. Mówiąc dokładnie Frumkin usadowił się pomiędzy mną a Szymonem.

Od pierwszego dnia gadatliwosc tego pana i brak ceremonji z jaką wypożyczał sobie nasz sprzęt laboratoryjny dał się nam dobrze we znaki.

Nim mieliśmy zaszczyt poznać go bliżej, już wiedzieliśmy całe jego curriculum vitea a więc, że ojciec jego jest osobą najbadziej wybitną wsród starozakonnych miasta Dryssy , że on Frumkin jest uważany jako wyrocznia mody i dobrego tonu i że ma opinję największego Don Juana w tym miescie.

Po za swą nieposkromioną gadatliwością nasz sąsiad miał brzydki zwyczaj odparowywania różnych gryzących kwasów na sali a nie w specjalnie przeznaczonym na to miejscu. Na stole jego panował trudny do opisania chaos i nieporządek.

Raz po raz dochodził do uszu naszych brzęk tłuczonego szkła a bryzgające z rozbitych kolb i flaszek kwasy groziły nam stale nietylko popaleniem ubrania ale ale naszych twarzy i oczu.

Nad miejscem Frumkina unosiła gęsta mgła różnych jadowitych oparów i sadzy , sam zaś właściciel prażył coś w wypożyczonym od nas tyglu platynowym który wreszcie przepalił narażając nasze studenckie kieszenie na poważny wydatek.

Probowaliśmy przemówić do jego rozumu i sumienia , obiecywał nam poprawę po to aby nazajutrz popalić kwasem spodnie Szymona Meysztowicza.

To wyczerpało do reszty naszą cierpliwość.

W czasie przerwy obiadowej zdecydowaliśmy z Szymonem że a tout prix musimy się pozbyć nieprzyjemnego sąsiada. Ułożyliśmy więc sobie dokładny plan strategiczny.

Mieliśmy w ręku dwa poważne atuty . Dystyngowany pan Frumkin nie znosił zapachu siarkowodoru i bał się jak ognia cyanku potasu.

Postanowiliśmy wykorzystać te słabe strony naszego przeciwnika.

Kupiliśmy po drodze flaszeczkę olejku migdałowego oraz długą kiszkę gumową.

Wykonanie planu wymagało jednak dłuższego czasu i przygotowania

Gdyśmy zajęli w laboratorjum nasze miejsca Szymon spytał mnie od niechcenia czy nie zauważyłem wzmianki w pismach o tragicznym wypadku smierci pewnego studenta na uniwersytecie w Dorpacie spowodowanym zatruciem parami cyanku potasu.

Pan Frumkin nadstawił ucha.

- Przepraszam czy ja dobrze słyszę? zatruł się cynkiem potasu tak na
- dobre , na smierć? A czy pan niepamięta kiedy to było ? spytał
- Niepamiętam dobrze zapewne przed paru tygodniami - odrzekł Szymon.

- Zamieczatelnyj wypadek , czy pan myśli że w naszym instytucie Poli-
- technicznym może zdarzyć się takie „proiszestwje."
-Wzruszyłme ramionami .
- To tylko dowód gospodin Frumkin że pan nie zna historji naszej Alma
- Mater . Mówili mnie inżynierowie chemicy że za ich czasów kilku z
- nimi kolegów straciło życie z powodu nieostróżnego obchodzenia się z
- tą piorunującą trucizną.
Nasz towarzysz zbladł i niezwłocznie wyszedł z laboratorjum.
Szczęscie nam sprzyjało.
Dnia następnego Frumkin dostał do analizy jakiś tajemniczy przezroczysty płyn . Przekonaliśmy się że była to zwykła woda dystylowana używana przez asystentów jako pułapka na stuprocentowych bałwanów.
Nasz sąsiad zabrał się z werwą do pracy. Gotował, odparowywał, przepuszczał siarkowodór , naprróżnoym - wrzystko napróżno.
Poradziliśmy mu aby odłożył dalsze swe badanie do dnia następnego.
Nazajutrz mielismy wrzystkow pogotowiu
Frumkin ze zdwojoną energją zabrał się do analizy. Na stole jego nie było wreszcie miejsca, wrzystko zastawił flaszkami z odczynnikami sam zaś gotował zawzięcie ów płyn.
Meysztowicz dał mnie znak głową . Nadszedł moment do energicznego działania.
Wylеliśmy sporo olejku migdałowego na bibułę i z całą ostrożnoscią umiescilismy to niewidocznie w pobliżu Frumkina.
Po niejakimś czasie Meysztowicz powąchał . Zdumienie i przestrach odmalowały się na jego twarzy.
- Gospodin Frumkin coto tak pachnie cyankiem potasu , czy to czasem
- nie z pańskiej analizy.
- Tak wtrąciłem - tu najwyrazniej czuć cyankiem potasu.
/ Cyanek potasu wydziela charakterystyczny zapach gorzkich migdałów. /
Frumkin porwał się ze swego miejwca i popędził do gabinetu asystenta.
Oboje poszlismy za nim aby się przekonać jak stoi sprawa.
- Panie asystencie, właśnie ukończyłem i przychodzę zdać analizę.
Asystent spojrzał do notatnika - no i co tam pan znalazł ? spytał
- Znalazłem cyanek potasu odrzekł.
- Jakto sam cyanek potasu i więcej nic, spytał asystent mrugając na
- nas oczami.
- Niech pan jeszcze przerobi po raz drugi i wróci do mnie z rezultatem
- Dziękuję rzekł Frumkin , ja więcej nie będę kontynuował tej analizy
- No to pańska sprawa osobista , za tę niezrobioną analizę policzę
- panu jedynkę.
- Wolę dostać jedinicu jak pokonczyć sam z sobą mruknął pod nosem
- Jak pan sobie życzy odrzekł asystent.
Nasz sąsiad wrócił na swoje miejsce .-Ja sam czuje teraz zapach gorzkich migdałów. Nie ma co tu siedzieć i panom radzę wyjść a jestem szczerze panom wdzięczny że panowie zwrócili moją uwagę na grożące niebezpieczeństwo.-
- Ja wam duszewno obiazan - / Jestem panom szczerze zobowiązany /
- To jakieś niescząstne dla mnie miejsce - rzekł.
Spójrzeliśmy z Meysztowiczem po sobie.
- Na pańskim miejscu gospodin Frumkin przenieślibyśmy się do innej
- sali. Nie dalej jak przed tygodniem opowiadał mi pedel że ostatni
- wypadek zatrucia zdarzył się właśnie przy stoliku który pan zajmuje.
Frumkin bez odpowiedzi złożył swoje manatki i opuścił laboratorjum
- No , rzekł Meysztowicz - pierwszy atak wygrany.
Dnia następnego przed nadejsciem Frumkina zawczasu przeciągnęliśmy

od jednego najmniej używanego kranu w szafce z siarkowodorem gumową rurkę gumową drugi zaś wylot ulokowaliśmy dskretnie pod stołem Frumkina.

Umówilismy się że co pół godziny na zmianę będziemy na parę minut otwierać kran i wypuszczać ten nieprzyjemnie pachnący gaz.

Nasz przyjaciel zjawił się dość późno , był jednak w świetnym humorze i jakoś nie wspominał o przenosinach.

Sprawa się widocznie pogorszyła dla nas.

- Jak się pan czuje gospodin Frumkin spytałem.
- Tak zupełnie dobrze tymczasem, przepraszam a dlaczego pan mnie o to
- pyta ? odrzekł z widocznym zaniepokojeniem.
- No tak , bo wygląda pan blado , a przepraszam jak tam u pana z żołądkiem spytałem.
- Tymczasem dobrze odrzekł.
- Widzi pan pierwsze oznaki zatrucia to zaczynają się od rozstroju organów trawienia.

Zamilkliśmy wrzyscy , każdy pogrążył się w swoją pracę.

Meysztowicz kiwnął na mnie .

Oddaliłem się nieznacznie i zgodnie z ułożonym planem otworzyłem na parę minut kran. wróciwszy jak gdyby nic na swoje miejsce.

W powietrzu czuć było zgniłemi jajkami.

- Panie Frumkin - spytał Meysztowicz co panu jest?
- No co ma być , ja we srodku nic nie czustwuju.
- No ale my to czustwujem gospodin Frumkin.

Frumkin zrobił się czerwony na twarzy

- Przepraszam panów ja teraz sam poczułem - winowat - rzekłł Frumkin
- No widzi Pan niech pan usłucha naszej rady i uda się niezwłocznie do lekarza -

Frumkin zwlekał jednak z wyjściem.

Upłynęło pół godziny , przyszła kolej na Meysztowicza

Zatknąłem nos chustką

- Panie Frumkin - rzekliśmy poważnie , współczujemy w nieszczęsciu
- Pańskim ale nie widzę powodu dla którego my mamy znosić to wrzystko
- bez żartu radzimy Panu aby się udał do lekarza.
- Przepraszam bardzo panów - rzekł Frumkin i uporządkowawszy na prędce
- naczynia chemiczne na swoim stole zniknął we drzwiach.

Nie wiemy co było w międzyczasie. Nadeszła Niedziela a w Poniedziałek miejsce Frumkina swieciło pustkami, przeniósł się do sąsiedniej sali.

- No , rzeklismy do siebie z ulga , mamy spokój.

Przy obiedzie koledzy byli zdziwieni podwójną liczbą kieliszków któreśmy z Meysztowiczem wychylili

Spytano nas o przyczynę tej uroczystosci.

Obchodzimy ,, wykurzenie Frumkina " odrzekliśmy.

L O S N A L O T E R J I

Katolickie Towarzystwo Dobroczynności w Rydze każdego roku jesienią urządzało dla zasilenia swych funduszów wielki bazar trwają- zwykle kilka dni.

Gospodynie Bazaru miały swoje kjoski w których sprzedawano różne ,, bric a brac " przekąski , między innemi był kjosk z chłodnym bufetem i szampanem.

Ten ostatni cieszył się zwykle największym powodzeniem a gospodynie kjosku dokładały wrzystkich starań o dobór przystojnej ,, szampańskiej asysty niewieściej i kilku obrotnych a dowcipnych arkonów do pomocy.

Było to miejsce nad wyraz zdradliwe . Nie jeden z naiwnych przyjezdnych szlagonów brał się na miły uśmiech i parę słodkich słów niczem szczupak na przynętę i opłacał grubo swą łatwowierność

Nie można się dziwić że pod koniec dnia piętrzyły się na srebrnym półmisku stosy banknotów wsród których często , gęsto przezierały tęczowe sturublówki.

Znaczna część kolegów arkonów przyjmowała czynny udział w urządzeniu bazaru z chęcią stając do pracy nie tylko ze względu na miłe towarzystwo ale też i dla zaskarbienia sobie łask gospodyń na przyszły bal Arkonji.

Główną atrakcją bazaru dla szerszych mas ludności była loterja fantowa urządzana zwykle dnia następnego po zakończeniu bazaru.

W roku 1898 wśród wielu cennych fantów figurowała krowa ofiarowana wspaniałomyślnie przez jednego z pobliskich bałtyckich ziemian.

W dniu losowania w wielkiej sali bazarowej zgromadzili się tłumnie posiadacze biletów wyglądając z zaciekowaniem szczęsliwca któremu w udziale przypadnie krowa.

Usadowiliśmy się rzędem w pobliżu stołu prezydjalnego.

Moim najbliższym sąsiadem był kolega X , podolak z pod Kamieńca który dla swej powagi , okrągłej nieco figury , zamiłowania do wincika i jowialnosci nosił korporacyjne miano ,, kanonika.

Kanonik nie lubił wysuwać się na pierwszy plan i jak ognia unikał wszelkich sytuacji w których los wyznaczył mu jakąś czołową rolę.

Nadeszła wreszcie oczekiwana chwila i Prezes Towarzystwa ogłosił wynik losowania.

Numer ..... , krowa , eine Kuh , proszę o przedłożenie biletu.

Z sali nikt się jednak nie odezwał

- Numer ......, krowa , eine Kuh powtórzył po raz drugi.

W tej chwili zauważyłem że kanonik poczerwieniał jak burak i chciał opuścić na podłogę swój bilet.

Chwyciłem go za rękę.

Kanoniku zawołałem - wygrałeś krowę.

- Nie , nie , to nie ja bronił się kanonik.

- Jest - zawołałem podnosząc w górę rękę kanonika z biletem zaciśniętym w dłoni

Na sali ozwały się huczne oklaski.
- Wiwat kanonik , wiwat krowa , - krzyczeli koledzy.
- Ja dziękuję , rzekł zażenowany kanonik , ja się zrzekam fantu i ofia-
- rowuję krowę na przytułek dla podrzutków.
- O , co to to nie zaprotestowaliśmy chórem,- powinieneś odebrać oso-
- biście fant i uroczyście wręczyć tej instytucji.
Nie było rady , biedny kanonik ,, nolens volens zmuszony był udać się w naszym towarzystwie daleko za miasto .

Odstawiono nam krowę na pobliską rogatkę skąd się rozwinął uroczysty pochód, przez całe stare miasto.

Na przodzie pochodu dwuch fuksów prowadziło ubraną zielenią i porykującą krowę , za nią dreptał biedny kanonik prowadzony uroczyscie przez dwuch silnych kolegów pochód zamykała liczna nasza grupa z laskami wzniesionemi do góry w ręku.

Wreszcie na rogu Theater boulevard i Kalkstrasse udało się kanonikowi wyrwać z rąk oprawców i co prędzej ukryć się w zacisznym kąciku kawiarni ,, Troya " na starym miescie i uspokoić swoje nerwy kufelkiem pienistega ,, Waldschlöschen'a

Przerwaliśmy pochód odesławszy krowę pod opieką dwuch posłańców do miejsca przeznaczenia.

Niestety utrapienia kanonika trwały jeszcze kilka dni spotykały go wszędzie gratulacje a na dobitek miejscowe pismo opisało całą przygodę i ogłosiło list dziękczynny prezesa przytułku wychwalające hojność i dobre serce kanonika.

Urządzano mu owacje i na kwaterze stowarzyszenia, i w audytorjum i w kreślarniach największe zaś poruszenie wywołał postępek kanonika wsród chemików członków ,, krużka " a elegancki pan Frumkin , prezes tej szanownej instytucji wystąpił z oracją.
- Kolega - rzekł uroczyscie pan Frumkin wrzystkie członkowie naszego
- krużka ,, głuboko tronuty waszim wielikodusznim postupkom.
/ są głęboko wzruszenie pańskim wspaniałomyślnym postępkiem/

W roku następnym z trudem namówliśmy kanonika aby nabył bilet na loterji i o dziwo wygrał i tym razem coprawda nie krowę ale skrzynkę z mydłem.

U G O D O W C Y

Wstępując do Arkonji każdy składał na ręce prezesa zobowiązanie że w czasie pbytu na Politechnice nie będzie należał do żadnych stowarzyszeń politycznych, że nie będzie tworzył koterji wewnątrz stowarzyszenia wreszcie nie będzie poruszał spraw politycznych i religijnych w scianach kwatery korporacyjnej.

Nie przeszkadzało to bynajmniej że każdy z nas w czasie wakacji o ile miał możność musiał prowadzić pracę oświatową i narodową czy to wsród ludnosci okolicznej na wsi czy też wsród sfer robotniczych .

Dzięki tym rygorom wprowadzonym przez naszych założycieli nie było w środowisku arkońskim rozdzwięków , nie było grup politycznych wzajemnie się zwalczających , nie tracono czasu na jałowe rozprawy lub spory ,, principjalne " tak swoiste dla mentalności rosyjskiej a tak nie odpowiednie i nie pasujące do naszej kultury łacińskiej.

Natomiast uczono nas historji polskiej, literatury, ekonomji politycznej i zaprawiano do przyszłej działalności obytelskiej i do pracy organicznej.

Ani konspiracja ani partyjnictwo nie leżało w charakterze Arkonji nie wychodzili z niej ani politycy , ani przywódcy partyjni a tem mniej agitatorowie , natomiast wychodzili dobrzy fachowcy, inżenierowie dyrektorowie fabryk , rolnicy , architekci , profesorowie wyższych uczelni .

Była ona szkołą zwyczajnych uczciwych polaków, ludzi pracy i dnia powszedniego.

Dla genjuszów w Arkonji nie było miejsca.

Natomiast wpojono w nas że przysięga jest przysięgą a dane słowo jest słowem a nie wiatrem a pojęcie słowa honoru było cenione tak wysoko że pod karą wydalenia ze stowarzyszenia nie wolno było używać tego słowa w sprawach pieniężnych tak często niezależnych od dobrej woli człowieka. Z tych względów gry hazardowe były surowo zakazane członkom naszego stowarzyszenia.

Niechlujstwo moralne i zewnętrzne nie było tolerowane w środowisku arkońskim,

W kołach skrajnej młodzieży akademickiej nie byliśmy popularni. Stanowiliśmy zwartą silną moralnie grupą , która była solą w oku tych którzy w obalaniu porządku i ładu i negacji wszelkich zasad widzieli zbawienie świata.

Walono w nas jak taranem , nie szczędzono , insynuacji uciekano się nawet do innych mniej etycznych środków aby nas zniszczyć ; te zakusy rozbijały się jednak jak o mur o naszą spokojną zbudowaną na trwałych fundamentach godną postawę.

Nie zabiegaliśmy ani śmy umizgali o łaski ani lewicy ani prawicy szliśmy prostą wytkniętą przez naszych założycieli drogą pod naszym pięknym hasłem prawdy i pracy ,, veritate ac labore ".

W naszej czytelni leżały obok siebie i Gazeta Warszawska i Kraj i Prawda bo wymagaliśmy od członków naszych dokładnej znajomości nurtujących w społeczeństwie polskim prądów a ocenę tych prądów staraliśmy się sformułować w sposób parlamentarny na wieczornych herbatkach u kolegów w ich prywatnym mieszkaniu

Ale sam fakt prenumerowania przez Arkonję ,, Kraju stawiał nas pod pręgież opnji kół lewicowych. A przecież jedynie Kraj interesował się życiem polskim na kresach.Było to pismo objektywne stojące na wysokim poziomie literackim pisywali w nim najwybitniejsi uczeni i literaci jak prof. Włodzimierz Spasowicz jak Czesław Jankowski jak Bogdan Kutyłowski i szereg osób głęboko i uczciwie czujących a głęboko przywiązanych do Ojczyzny.

,, Kraj " był poniekąd naszym organem najbardziej bliskim zasadom i ideologji arkońskiej, może dla tego zyskaliśmy opinję,, ugodowców.

Nie byliśmy ,, ugodowcami " ani za czasów caratu , ani za czasów naszej niepodległośći.

Prezes Arkonji ś.p. Malinowski padł ugodzony kulą bratobójczą w czasie przewrotu majowego właśnie w imię tych ideałów które nakazywały nam wierność przysięgi i poczucie praworządnośći.

Jak za czasów rosyjskich nie chodziliśmy pod pomniki Katarzyny tak i za czasów Polskich nie poszliśmy na lep dominujęcych prądów oportunistycznych.

Nie podporządkowaliśmy siebie ani beżidejowej ideologji BBWR ani zakusom OZON'u.

Jedynie Arkonja i Konvent Polonji te dwie najstarsze a oparte na tradycji korporacje nie miały w swych statutach kategorji ,, filistrów honorowych któremi inne korporacje powstałe jak grzyby pod deszczu tak obficie szafowały w okresie rozpętania oportunizmu w naszym kraju obdarzając tą godnością różnych Ministrów , Wojewodów i wpływowych osobistości ówczesnego świata.

Aby być filistrem Arkonji i Polonji trzeba było przejść przez okres ciężkiej próby zanim się dostąpiło zaszczytu otrzymania barw Stowarzyszenia.

Arkonja i Konvent Polonji to nie były jedynie korporacje tkwiło w naszych organizacjach coś głębszego , coś co pozostawiało widoczny ślad na całym życiu człowieka, ten pewien pion który nie można żadną siłą zmusić do zajęcie pozycji sprzecznej podstawowym prawom równowagi moralnej.

[redacted]

Moja wielka przyjaciółka czcigodna autorka Dewajtisa przyznała się kiedyś jak niesłusznie skrzywdziła Arkonję w jednej ze swych powieści i jak żałowała tego kroku spowodowanego fałszywemi zarzutami i oświetleniem naszej korporacji przez pewne skrajne elemnta.

Pamiętam tę sprawę i pamiętam jak głęboko byliśmy dotknięci niesłusznością zarzutów. Prezydjum nasze ze ś.p. Ks. Sewerynem Czetwertyńskim na czele udało się do znakomitej autorki aby wyjaśnić sprawą i zdemaskować kłamstwo.

Koledzy nasi wrócili pod urokiem tej zacnej a głęboko uczciwej Kobiety która na pożegnanie rzekła im

- Aby takich jak wy ugodowców było w Polsce jak najwięcej.

P I E R W S Z E   Z W I A S T U N Y

Było to w Poniedziałek w pierwszej połowie Lutego 1898 roku. Udałem się jak zwykle do laboratorjum gdzie pracowałem nad wykończeniem ostatniej analizy ilościowej . Ku memu zdziewieniu ujrzałem przed gmachem politechniki tłum studentów wilderów a nad ich głowami górował jakiś rozczochrany pan z niechlujnie narzuconym na ramiona palcie. Zamiast krawatu i kołnierzyka wyzierała czerwona rubacha z wyszytym stojącym kołnierzem.

Nie mogłem dosłyszeć mówcy , widziałem że gestykulował zawzięcie. Spotkałem jednego znajomego mi z laboratorjum żydka chemika i spytałem o przyczynę tego skupowiska.

- Jakto pan nic nie słyszał ? odpowiedział ze zdziwieniem .- Komitet
- wykonawczy ,, ruskoj progresiwnoj mołodieży / ruskiej progresywnej
- młodzieży/ objawił wsieobszczuju zabastowku w institutie - ogłosił
- ogólny strejk na politechnice .-
- Jakie są powody tego strejku ? - spytałem.
- Mi chcemy wprowadzenia tych samych prawił / praw/ co i we wrzystkich
- instytutach politechnicznych , formy / uniformu / i ruskago jazyka i
- rosyjskiego języka .
- Kto są ci mi co sobie uzurpują prawa gospodarzy czy i pan także do
- należy ?

Chemik poczerwieniał

- Ja właściwie nie przyjmuję ,, aktiwnago uczastja - czynnego udziału w
- zabastowkie ja tylko jestem simpatik i nabliudatiel - sympatyk i
- obserwator.

Wzruszyłem ramionami i skierowałem się ku drzwiom wejściowym z trudem torując łokciami sobie drogę.

Usłyszałem z tłumu kilka niepochlebnych uwag wypowiedzianych pod moim adresem na które nie zwróciłem uwagi.

W pobliżu drzwi znalazłem się wśród grupy korporantów chcących również dostać się do wnętrza. Niestety znaleźliśmy drzwi wejściowe zamknięte a na nich przybity wielki arkusz papieru z nadpisem

- Wsieobszczaja studenczeskaja zabastowka
Ispołnitelnyj komitiet .

co znaczyło Ogólny strejk studencki . Komitet wykonawczy.

Ujrzałem przedzierającego się przez tłum w naszą stronę mego przyjaciela Huenigen Huene z korporacji Bałtyki.

% Was will diese Kanalie - czego ta kanalja chce-spytał głośno i nie czekając zdarł ogłoszenie z drzwi rzucił na ziemię i zdeptał nogami

Był to w pełnym znaczeniu krok i nie dyplomatyczny i ryzykowny. Znaleźliśmy się w kilkunastu wśród rozagitowanego tlumu składającego wyłącznie z rosjan i żydów.

Zaczęły odzywać się pojedyncze głosy - dołoj korporantow - precz z korporantami % tu i uwdzie pokazały się wzniesione w górę pięście.

Tłum wilderów coraz silniej naciskał na naszą nieliczną grupę.

Raptownie tłum się uspokoił nastała cisza. Ku naszemu zdziwieniu ujrzeliśmy wśród morza głów wyniosłą postać Szymona Meysztowicza . Stał na ławce ogrodowej dając znak ręką że chce przemówić.

- Eto polskij korporant wysłuszajem czego on choczet- To polski korporant wysłuchamy czego chcee ozwały się głosy.

- Panowie - rzekł donośnym spokojnym głosem Meysztowicz. - Znaleźliśmy Politechnikę zamkniętą i wywieszone na drzwiach ogłoszenie i powszechnym strejku podpisane przez jakiś anonimowy komitet wykonawczy.
- Te postanowienie sprzeciwia się wolności studenckiej jest narzucone
- przez jakies organizacje nielegalne, bez porozumienia z nami, bez
- aprobaty wrzystkich studentów.
- Panowie nie jesteście tu gospodarzami a tylko gośćmi zachowanie
- wasze przeczy elementarnym podstawom dobrego wychowania i zachodniego
- parlamentaryzmu.
- Nie jestem wcale ciekaw o co panom chodzi , ale oświadczam że my przy
- jechaliśmy to dla nauki a nie dla agitacji politycznych i plu-
- gawienia przez was uczelni która was tak goscinnie przyjęła w któ-
- rej korzystacie ze wszelkich swobód osobistych.
- Oświadczamy że nie przyjmiemy udziału w waszym nielegalnym akcie
- że będziemy nadal kontynuować nasze studja a wy możecie robić co
- się wam podoba pod warunkiem że nie będziecie włazić nam w drogę .
- Ale od naszej uczelni handsoff - ruki dołoj - panowie.

Wśród wilderów zawrzało.
Miejsce Meysztowicza zajął jakiś krzykliwy jegomość wygrażają pięścią w naszą stronę.
- Dołoj baronow , dołoj panow krzyczał tłum .
W atmosferze czuć było zbliżającą się bójkę , trzymaliśmy nasze laski w pogotowiu.
Na szczęscie ujrzaliśmy zdaleka kilkadziesiąt barwnych czapeczek zbliżających się w naszą stronę.
- Burschen heraus zawołał jeden z Bałtyków.
Na te studenckie SOS w myśl obowiązujących każdego korporanta zwyczai znajdujący się w pobliżu jego koledzy powinni dążyć z pomocą.
Głos nas doszedł grupy korporantów bo zawrócili z miejsca i skierowali ku nam swoje kroki.
Na czele odsieczy ujrzeliśmy krępą postać Totka Radziwiłła w towarzystwie znanego również ze swej siły von Bahrlöwen'a studenta z Bałtyki.
Na widok dwuch znanych wśród studenterju siłaczy tłum się rozstąpił .
- Towariszczi zawołał jakiś piskliwy głos- eto izwiestnyje siłaczi pro
- fesjonały , to znani siłacze atleci zawodowi, my protestujemy ale
- wobec niekulturalnej przemocy , rozejdźmi się do domów. Po tej przemowie wilderzy pośpiesznie opuścili plac boju.
Pozostaliśmy sami, otworzono nam drzwi ., rozeszliśmy się każdy w swoją stronę do laboratorjów, kreślarni i sal wykładowych.
Tegoż dnia nasz konvent senjorów odbył naradę z Senatem Politechni Zdecydowaliśmy rzecz oczywista że będziemy jak gdyby nic nie było kontynuować nasze zajęcia. Zdecydowano że studenci przeciwni strejkowi podpiszą deklaracje , otrzymają specjane przepustki do gmachu politechniki, dla innych uczelnia będzie zamknięta.
Przez kilka dni następnych zapanował względny spokój , mogliśmy bez przeszkody pracować i uczęszczać na wykłady.
Trwało to jednak nie długo.
Na politechnice zaczęły dziać się jakieś dziwne rzeczy.
Znajdywaliśmy zrana laboratorjum zapowietrzone wyziewami siarkowodoru jakaś tajemnicza ręka musiała zapewne otrworzyć kurki , w kreślarni zalano tuszem kilka wykończonych rysunków, na wykładach wybuchały petardy napełnione łzawiącym gazem.

Nie było możliwości pracować w tych warunkach. Senat uniwersytecki zdecydował zawiesić wykłady i zamknąć politechnikę na czas nieograniczony robiąc jedynie wyjątek dla dyplomandów kończących swoje prace.

Stosunki między nami a grupą wilderów stawały się coraz gorsze. Nie atakowano nas otwarcie ale wypadki napadów na pojedyńczych korporantów były częste a nie jeden z wilderów gorzko przepłacił za to własną skórą.

Nie było celu pozostawać nadal w Rydze. Otrzymałem od Ojca list w którym radził mi abym pojechał na karnawał do Wilna a następnie udał się do Petersburga aby się wspólnie naradzić nad sytuacją.

Tymczasem do Rygi nadjechali delegaci Polonji Dorpackiej i Bratniej pomocy Akademji rolniczej w Puławach. Na obu tych zakładach doszło do poważnych starć pomiędzy większością studencką a napływowym elementem rosyjskim.

Zredagowano wspólną odezwę w której my polacy bez ogródek napiętnowaliśmy zachowanie studenterji rosyjskiej na tych zakładach wytykając achłanność nacjonalistyczną , brak poszanowania cudzego zdania i chamstwo.

Delegatem z Puław był Włodzimierz Dowiatt z Dowiattowa ze Żmudzi który w roku następnym przeniósł się do naszej politechniki i wstąpił do Arkonji.

Włodzimierza Dowiatta zamordowano w czasie przewrotu bolszewickiego w roku 1918.

Wyjechałem do Wilna w gronie kilku kolegów. Trafiliśmy na okres największego ożywienia towarzyskiego poprzedzającego zwykle koniec karnawału.

Było już przedwiośnie. Ranki były mroźne ale za dnia Wilno pławiło się w słońcu , śniegi topniały. Na tle błękitu nieba czerwieniały dachy kościołów , odcinały się wyraźnie kontury góry zamkowej i barokowe wieżyce świątyń.

Zjazd ziemiaństwa tego roku był liczny. Zjeżdżano całym dworem z liczną służbą , końmi i karetami.

Nie tracąc czasu poskładaliśmy wizyty i tegoż wieczora mieliśmy już pełno zaproszeń , mimo nie przespanej nocy udaliśmy się na bal do pp Kończów z Szeszolek ; dnia następnego był bal u Pani Mineykowej matki naszego kolegi Józefa z racji zaręczyn jej starszego syna Władysława z panną Marylą Oskierczanką

Kolejno nastąpiły zabawy u Pana Wincentego Montwiłła, pp Bortkiewiczów, Hr Antoniego Tyszkiewicza, Marszałka Adama Platera pp Wereszczaków rodziców mego kolegi, Ordynatowej Tyszkiewiczowej w jej pałacu przy ulicy Nadbrzeżnej u mego wuja Hipolita Gieczewicza nie licząc herbatek tańcujących u mego krewnego Dr Witolda Węsławskiego, pp Kognowickich , he Józefa O'Rourka , pp Hartingów , pp Dolińskic itd itd.

Wracaliśmy nad ranem do Georges'a aby się przespać. trafić na obiad poskładać liczne wizyty i w międzyczasie zajrzeć na ślizgawkę i poholendrować z naszą tancerką przemiła Panną Janiną Falewiczówną.

W owym karnawale było wiele prawdziwie przystojnych panien a wśród nich urodą wyróżniały się panna Wanda Dernałłowiczówna i Nina Wereszczakówna siostra mego przyjaciela Michała.

Po paru tygodniach takiego życia byłem tak zmęczony że wpadłem na kilka dni do Sylgudyszek aby się przespać , uspokoić i posiedzieć z książką w ręku w dobrze nagrzanym pokoju.

Pogoda się popsuła nastały śnieżyce ociągałem się z wyjazdem z domu

w którym było mi tak cicho dobrze i przytulnie.
Trafiłem na zaspy śnieżne i ledwom zdążył do Nowo Święcian na kurjer wieczorny do Petersburga.
Takie było zakończenie naszego roku akademickiego 1898

P R Z E R W A

Był mroźny słoneczny poranek marcowy.
Drugi szwadron pułku Konnych Grenadjerów Gwardji wyjechał stępem na plac ćwiczeń przed koszarami w Peterhofie.
Rozległy się słowa komendy , zastukały kopyta końskie o twardą zmarzniętą ziemię i kara linja końska rozwineła się długim frontem.
W płaszczu żołnierskim z oznaką jednoroczniaka na naramiennikach i ciężką kawaleryjską szablą przy boku siedziałem na siodle mając pod sobą olbrzymią nieco narowistą karą szkapę i rozmyślając nad zmiennościami losu które mnie przeniosły nieoczekiwanie z życia studenckiego i atmosfery karnawałowej w ten całkiem inny a nieznany mi swiat.
Ojciec mój miał jednak swoje zdecydowane zapatrywania na wychowanie i twierdził że młody człowiek który nie przeszedł przez dyscyplinę wojskową nie nadrobi już tego w późniejszym życiu i nie potrafi utrzymać sibie i innych w karbach dyscypliny życiowej.
Będąc jedynym synem nie byłem obowiązany do służby wojskowej , uległem jednak woli Ojca i wstąpiłem do wojska na prawach jednoroczniaka.
Jak że często w późniejszych latach byłem Ojcu wdzięczny za jego dobrą radę , która wówczas przez niektórych była uważana za dziwactwo.
Dzięki rekomendacji przyjaciela mego Ojca barona Pilara z pod Parnawy przyjęto mnie do Pułku Konnych Grenadjerów Gwardji.
Był to nasjkromniejszy ale najbardziej zdyscyplinowany i bojowy pułk z drugiej dywizji kawalerji gwardyjskiej.
Korpus oficerski składał się wyłącznie z ziemiaństwa bałtyckiego. Towarzystwo było dobrze wychowane , spokojne , zgrane nie było ani hulatyki ani kart , ani pijaństwa które nie jednego z młodych ludzi służących w gwardji doprowadziły do ruiny.
Pułkiem dowodził Baron Pilar von Pilchau brat wyżejwspomnianego był to oficer surowy , wymagający od siebie i swych podwładnych ale jednoczesnie człowiek dobry i uczynny i gentleman w każdym calu.
Od oficerów i jednoroczniaków wymagał sumienności, dobrego wychowania , nie tolerował poufałości w stosunkach a za najmniejsze objawy chamstwa bez miłosierdzia wyrzucał z pułku.
Znałem ten pułk z tradycji i opowieści mego krewnego Józefa Jagmina właściciela majątku Rauby pod Radziwiliszkami na Żmudzi. Wuj Józef w młodości służył w tym pułku i wyszedł do dymisji w randze rotmistrza.
Ucieszyłem się bardzo gdym wśród jednoroczniaków ujrzał znajome twarze Mohrenschilda, Heiningen- Huene i Korffa moich kolegów z Politechniki członków korporacji Bałtyka zaprzyjaźnionej z Arkonją.
Wśród grenadjerów było zaledwie kilku rosjan przeważali łotysze, litwini , było kilku polaków i małorusów / ukraińców/... wrzystko chłopy jak dęby wymusztrowani, czerwoni na twarzy, w dobrze po gwardyjsk skrojonych mundurach i płaszczach a gdy w swych czarnych lakierowanych hełmach i białych rzemieniach dosiedli koni był to obraz godzien pendzla najlepszego batalisty.
Po dwuch tygodniach pobytu w koszarach otrzymałem wraz z innemi pozwolenie mieszkania na mieście i stołowania się w kasynie oficerskim.
Moim najbliższym zwierzchnikiem i niańką był wąsaty szpakowaty wachmistrz z licznemi szewronami na rękawach. Nazywał się Semen Gajduk

rodem z Podola gdzieś z okolic Starokonstantynowa. Był to typowy wachmistrz starej daty , przesłużył w pułku kilkanaście lat kochał pułk jak najbliższą rodzinę a regulamin znał jak Ojcze nasz.

Szwadronem dowodził kurlandczyk baron von der Recke ziemianin z pod Mitawy.

W owych czasach każdy z nas jednoroczniaków miał przydzielonego ordynansa na moją prośbę wyszukano mi litwina . Jak się okazało był to syn gospodarski ze wsi Szarki sąsiedniej parafji Tawrogińskiej.

W czasach późniejszych mój Józuk stał się najbliższym współpracownikiem w naszym miejscowym kółku rolniczym a w czasie pierwszej wojny światowej nieoszacowanym przyjacielem i opiekunem moich dzieci i rodziny.

Czas przechodził szybko anim się obejrzał gdy pułk nasz wystąpił na letni kwaterunek w Krasnym Siole i Duderhofie. Widziałem wspaniałe obrazy ruchów kwalerji, asystowałem na owej sławnej ,, Zorzy " w Krasnym siole a któż z nas kawalerzystów nie pamięta galopu w Duderhofie ,, naprawlenje na łaboratorju " kierunek na laboratorjum-na jakiś dom stojący na widnokręgu gdzie się podobno mieściło [illegible] laboratorjum.

Nadeszła jesień , egzamina na chorążego wreszcie powrót na studja do Rygi.

Zacząłem nowy semestr z wielkim opóźnieniem a w przewidywaniu wypadków postanowiłem w jednym semestrze odrobić stracony czas i dostać się na rok ostatni studjów do naszej fermy Politechnicznej w Peterhofie pod Rygą.

Koledzy mówili mnie żem się bardzo zmienił.... być może bo pobyt w wojsku zmienia każdego.

Te kilka miesięcy służby wojskowej pozostały mi jako jedno z najmilszych wspomnień w życiu a przez długie tygodnie wciąż brzmiała mi w uszach pobudka poranna , brzęk ostróg i tupot kopyt końskich.

Pozostała mi wreszcie na całe życie wreszcie jedno ,, dziwactwo ". Nie znoszę ludzi niechlujnych ,niepodciągniętych życiowo, nie umiejących ,, trzymać fasonu " a widok niedbale ubranego i nieogolonego oficera lub żołnierza o pozorach cywila ubranego w mundur wojskowy do dziś dnia wyprowadza mnie starego z równowagi.

B R I D G E   W   S T A J N I

Po zakończeniu trzech kursów i zdaniu wrzystkich egzaminów oraz robót w laboratorjach i kreślarniach studenci czwartego kursu spędzali ten ostatni rok na fermie rolniczej Peterhof pod Rygą.

Oprócz praktyki rolnej , słuchali tam wykładów z zakresu praktycznego rolnictwa i korzystali z laboratorjów dla wykonczenia swych prac dyplomowych.

Postawiłem na swojem i w ciągu semestru odrobiłem wrzystkie zaległości spowodowane strejkiem i służbą wojskową i dostałem się do kategorji dyplomandów - studentów dopuszczonych do dyplomu.

Wyjechałem do Peterhofu w drugiej połowie Lutego po balu Arkonji. Dyrektorem fermy i stacji doświadczalnej był prof. dr. von Knierim znany autorytet w dziedzinie hodowli do pomocy miał prof Stahl - Schroedera filistra korporacji Bałtyki i dra Bursiana łotysza z pochodzenia.

Mieszkaliśmy w oficynie w której na parterze mieściły się laboratorja i sale wykładowe na piętrze zaś pokoje studenckie.

Z mego okna widać było płaski krajobraz zamknięty wkoło ciemną linją lasów.

Olbrzymie bory rządowe ciągnęły się setkami wiorst aż hen ku Bausku i Iłłukszcie .

Pełno w nich było wszelkiego zwierza i ptactwa , łosi , głuszców a chyba na świecie nie było lepszych wiosennych ciągów słonek jak w olszynach i brzezowych zagajach tuż przy stacji Ołaj pomiędzy Rygą a Mitawą.

Stosunki z domem profesora były serdeczne czuliśmy się jak w rodzinie stołowaliśmy się wrzyscy u pani profesorowej a piękna Marychen córka profesora była naszą stałą partnerką tenisową.

Nasze nieliczne grono dyplomandów składało się w lwiej części z ziemian bałtyckich,nas trzech polaków :mnie, Józefa Bibrstejn - Charmańskiego z Wesołowa z pod Onikszt i Kazimierza Rakowskiego członka Welecji z Ukrainy. Wkrótce nasza kompanja powiększyła się przybyciem na praktykę naszego kolegi Arkona Józefa hr O'Rourke'a późniejszego biskupa.

Mieliśmy też dwuch wyjątkowo przyzwoitych rosjan Szyszkowa syna marszałka szlachty gubernji Tambowskiej i Glinki z gub Smoleńskiej syna znanego liberała i działacza na terenie ziemstwa.

Oprócz zwykłych zajęć musieliśmy po kolei dyżurować w różnych departamentach gospodarczych. Do najmniej przyjemnych należały dyżury w oborze , bo już o piątej rano trzeba było być przy udoju a nie daj Boże było się spóźnić. Wyrozumiały i ludzki prof. Knierim w tych wypadkach bywał bardzo nieprzyjemny a trzykrotne spóźnienie się na dyżur groziło wydaleniem z fermy.

Wyznaczono nam prace dyplomowe z zakresu chemji rolnej i fizjologji zwierzęcej a kilku z nas miało przeprowadzic doswiadczenia z żywieniem koni roboczych.

Na szczęście dostałem pracę z dziedziny uprawy i nawożenia łąk nie potrzebowałem więc spędzać długich godzin w stajni przy końskim ogonie i zbierać materjał niezbędny przy określaniu za pomocą analizy chemicznej strawności danej paszy

Ponieważ była to czynność wymagająca w ciągu całej doby stałej czujnności zgłosiliśmy się na ochotnika do pomocy i po kolei czuwaliśmy aby czasem część tych drogocennych materjałów nie dostała się na ziemię zamiast do wiaderka.

Było około dzieiątej wieczór . Pogrążony w myślach i zapatrzony w w ogon koński nie zauważyłem że za mną na środku stajni na przejsciu pojawił się niewidocznie stolik na którym jarzyło się parę świec a przy stoliku siedziało czterech panów przy bridgu.

W pobliżu ujrzałem dobrze zaopatrzony koszyk i kilkanaście butelek piwa.

Graliśmy w pięcioro a wychodzący dyżurował przy koniu.

W stajni panowała cisza przerywana głośniejszym szmerem pochądzącym z końskiego żołądka lub krótkim szeptem : pas , bez atu, cztery piki

Nastała północ . Zegar podwórzowy wybił dwunastą, raptem ku naszemu przerażeniu w drzwiach stanęła krępa postać profesora Knierima.

Karty wypadły nam z rąk na myśl co nas czeka.

Stało się inaczej . Profesor sprawdziwszy że wrzystko jest w porządku zasiadł z nami do gry , jako że sam był zawziętym brydżystą.

Rzecz oczywista że nie zastępywał nas przy szlachetnym zajęciu związanym z procesem końskiego trawienia.

Bridge zaciągnął się aż do rana.

Aniśmy się spostrzegli gdy w stajni zjawili się fornale do rannego oprzętu. Na widok swego zwierzchnika stanęli z otwartemi ze zdumienia ustami.

Nie było rady musieliśmy przerwać niedokończonego robra chociaż profesor miał szlema.

Ks. Biskup O'Rourke przyznał mi się kiedyś, że nigdy w życiu nie miał tak świetnych kart jak w czasie tego pamiętnego brydża w stajni.

POKASANY PRZEZ PSA WSCIEKŁEGO

Bądąc w Peterhofie dostałem wiadomość o zbliżających się urodzinach naszego dawniejszego oldermana Władka Mazarakiego.
Władek ukończył swój dyplom i wybierał się na stałe do siebie na daleką Ukrainę.
Umówiliśmy się że pojedziemy na tę uroczystość do Mitawy miasta rządzonego przez naszego przyjaciela policmejstra znanego nam z dawnych czasów w Rydze przyzwoitego i wyrozumiałego niemca bałtyckiego.
Do Rygi na jego miejsce nadesłano jakiegoś ponurego moskala z którym mieliśmy tysiące przykrosci był to typowy cham bez cienia poczucia humoru. Po krótkim pobycie gubernator Zwieginicew wyrzucił wreszcie tego pana ku zadowoleniu całego miasta.
Bawiliśmy się doskonale ale w drodze powrotnej do stacji kolejowej zły los chciał abyśmy nos w nos spotkali z naszym przyjacielem policmajstrem.
Zatrzymał konia i pozdrowiwszy nas spytał co robimy w mieście.
Dowiedziawszy się o urodzinach Władka wyskoczył z powozu rozstawił ramiona i zawołał.
- No panowie co za okazja i ja muszę ufetować solenizanta proszę do
- mnie na kieliszek wina.
Tłumaczyliśmy że musimy wracać do Politechniki.
- Nu takich rzeczy mnie staremu nie gadajcie - aresztuję was wrzystkich
- i proszę ze mną do mieszkania.
Nie było rady musieliśmy ustąpić przed siłą.
Nie będą opisywał szczegułów przyjęcia przez całą dobę korzystalismy z jego gościnnosci , świetnej kuchni i znakomitych trunków któremi nas częstował i dopiero dnia następnegp na pół przytomni odprowadzeni przez naszego gospodarza znaleźliśmy się na stacji kolejowej.
Jeden z na kolega x mniej wytrzymały na trunki i noce bezsenne zasnął natychmiast nie doczekawszy nadejscia pociągu.
Nie mogąc go dobudzić zdecydowaliśmy oddać X -a pod opiekę bagażowego.
Wsunęliśmy mu kilka rubli poleciwszy nakleić na tym żywym bagażu kilka nalepek w rodzaju

- Szkło ostrożne nie przewracać -
- Ostrożnie towar łatwo psujący-

umiescieliśmy naszego przyjaciela wsród kufrów , walizek w wagonie bagażowym.
Usadowiliśmy się w zarezerwowanym przez policmajstra przedziale i zasnęliśmy niebawem.
Wejscie bagażowego przerwało nam sen.
- Tak panowie , nie wiem co robić , wasz towarzysz tam mocno szumi i
- hałasuje -
% Hałasuje co doprawdy ? proszę trzymać go w zamknięciu on jest po-
- kąsany przez psa wściekłego zapewne dostał ataku i może pokąsać
- Wot tak sztuka-rzekł bagażowy, chwyciwszy się za głowę- trzeba
- zawiadomić naczelnika następnej stacji.
Pociąg zatrzymał się na stacji Ołaj za chwile w wagonie ukazała się czerwona czapka zawiadowcy.
- Co słyszę panowie , tam w wagonie bagażowym wściekły człowiek.
- Tak jest-zawołaliśmy chórem nie tylko wściekły ale i niebezpieczny.

- Nu trzeba zatrzymać pociąg i zawiadomić Rygę , z takim chorym - nie ma smutek / żartów/.
Nie przeczuwaliśmy niestety że cała sprawa przyjmie dla nas bardzo nie przyjemny obrót.
Gdy pociąg nasz wtoczył się na stację końcową t zw . Dworzec Mitawski w Rydze ujrzelismy na peronie zawiadowcę stacji w otoczeniu żandarmów kolejowych , doktora i kilku tragarzy.
Zobaczywszy co się święci wyskoczyliśmy pośpiesznie z pociągu aby zdążyć z pomocą nieszczęsnej ofiarze naszego głupiego żartu.
Tymczasem zawiadowca uszykował tragarzy . Do drzwi bagażowych przywiązano linkę i na komendę żandarma odsunięto drzwi.
Gdy się jednak w szczelinie ukazała niegolona czerwona z oburzenia głowa naszego przyjaciela , żandarm kolejowy co najprędzej rozkazał zasunąć drzwi na nowo.
Podeszliśmy do naczelnika tłumacząc że to był tylko żart i że kolega nasz jest zdrów.
- Panowie nie mówcie ,, Wzdora - głupstwa ja sam jego widziałem
- widno czto bieszennyj widać że wściekły - rzekł naczelnik -
- Wprost widać-powtórzył , chce rzucić się na ludzi i pokąsać .
Nie pomogły żadne interwencje z naszej strony przeciwnie wpadliśmy w podejrzenie że chcemy ukrywać chorobę.
Po krótkiej naradzie zdecydowano otworzyć drzwi od wagonu [redacted] wypuscić wściekłego na peron i skrępować sznurami.
Ustawiono tragarzy półkolem .
- Nu rebiata - chłopcy-raz, dwa, trzy, otwierajcie! zawołał zawiadowca.
W otwartych drzwiach okazała się wściekła naprawdę fizjonomja naszego kolegi , wyskoczył na peron , ale nim zdążył otworzyć usta skrępowano go linkami i [redacted] mimo protestów i szamotania odniesiono go do ambulatorjum kolejowego.
Co potem było , co było.
Sprawa znalazła się przed trybunałem Senatu Uniwersyteckiego.
Przewodniczący i sędziowie utknęli nosy w papierach [redacted] z trudem utrzymując powagę.
Sala [redacted] trzęsła się od śmiechu. Smieli się świadkowie , śmieli oskarżyciele , smieli się sami podsądni a największa wesołość ogarnęła publicznosc, która tłumnie napłynęła na te jedyne w swoim rodzaju widowisko.
Wyrokiem Senatu skazano nas nie wyjmując poszkodowanego na [redacted] odsiedzenie doby w karcerze politechnicznym.
Odsiedzieliśmy w towarzystwie wściekłego całą dobę w tej szanownej instytucji. Czas nam schodził na graniu w brydża i korzystaniu z obfitych zapasów i napoi nadesłanych„biednym niesłusznie skrzywdzonym ofiarom" przez znajome panie.z filisterji.
Gdym w dwadzieścia lat po tej przygodzie odwiedził za bytnością w Rydze naszą dawną uczelnię nasz stary pedel ucieszył się serdecznie na mój widok.
- Jakie to były te nasze dawne czasy , jakie dobre czasy.
Przecież pan był jednym z ostatnich prawdziwych burszów którzy odsiadywali karcer - pamięta pan ?
- Obecna młodzież to do niczego - dodał machnąwszy ręką.

K R O Ż E

Muszę się cofnąć o kilka lat wstecz do roku 1892 do czasów kiedy gubernatorem kowieńskim był rzeczywisty radca stanu Klingenberg a trzema guberniami litewskiemi rządził generał gubernator Orżewski polak z pochodzenia a żandarm z zawodu.
W dziejach Litwy rok ten upamiętnił się wypadkami które zaszły w miasteczku Kroże powiatu Telszewskiego na Żmudzi.
Były tam dwa kościoły nowszy parafjalny i dawny pobernardyński sięgający bodaj drugiej połowy wieku XVI. Ludność okoliczna otaczala ten kościół szczegulną czcią z powodu znajdującego się w Ołtarzu a słynącego cudami obrazu Matki Boskiej Krożańskiej.
Po skasowaniu przez Murawjowa zakonu O.O. Bernardynów pozostawiono ten kosciół pod opieką altarysty księdza,byłego zakonnika.
Po śmierci staruszka Biskup kowieński wyznaczył nowego księdza na miejsce zmarłego. W myśl obowiązujących zarządzeń należało uzyskać zgodę gubernatora na zatwierdzenie nominata.
Wówczas nieoczekiwanie władze przypomniały sobie że po skasowaniu zakonu i śmierci ostatniego z zakonników kościół w gruncie rzeczy egzystuje wbrew prawu , że jest niedopuszczalnem aby w jednej parafji były równocześnie dwa kościoły i nietylko odmówiły zatwierdzenia kandydata ale postanowiły kosciół zamknąć.
W tym celu zjechał do Kroż gubernator Klingenberg w otoczeniu żandarmerji i sotni kozaków a znalazłszy świątynię napełnioną tłumem wiernych śpiewających litanje wszedł do kościoła i nie zdejmując czapki wezwał lud aby natychmiast opuścili kościół.
Lud odmówił posłuszeństwa.
Wówczas na rozkaz gubernatora wywalono główne drzwi , do swiątyni wtargnęli na koniach kozacy i jęli rozpędzać wiernych nahajami.
Powstało zamieszani , kilkadziesiąt osób stratowano końmi i poraniono. W kościele rozległy się jęki lud jednak nie śpieszył z wyjsciem.
Przed kosciół wystąpił organista z krzyżem w ręku i donośnym głosem zaśpiewał ,, Kto się w obronę " w końcu zaintonował rosyjski hymn Boże chroń cara w celu opamiętania napastników.
Nie zwrócono jednak na to uwagi. Kozacy wywlekli za włosy kobiety z kościoła do pół śmierci skatowali mężczyzn wreszcie oddzielili najbardziej opornych i pod konwojem popędzili pieszo do leżącego o kilkadziesiąt wiorst powiatowego miasta Szawle a z tamtąd jak stali koleją na Syberję. Kościół zamknięto , zabito drzwi i okna i opieczętowano.
Wśród zesłanych znalazła się jedna żmudzinka niepospolitej urody nazywała się Urszula Bielunas.
W kilka tygodni jej fotografję odbito w tysiącach egzemplarzy i rozesłano na cztery strony świata wraz z ulotką opisującą zdarzenie.
Tymczasem sprawy zaczęła nabierać rozgłosu , pisano o niej nietylko w prasie zagranicznej ale nawet w podlegającej cenzurze prasie wewnętrznej a prorządowe pismo codzienne Nowoje Wremia zamieściło sensacyjny artykuł w którym bez ogródek napiętnowała barbarzyński postępek władz.

W salonach petersburgskich mówiono głośno á z oburzeniem o zajściach w Krożach nie szczędząc komentarzy pod adresem ,, byłego żandarma i donosiciela " Orżewskiego głównego sprawcy.

Wreszcie sprawa doszła do uszu cara Aleksandra III i wywołała zromiałą reakcję.

Z rozkazu carskiego wyznaczono jednego z poważniejszych senatorów w celu zbadania sprawy na miejscu i przedstawienia bezpośrednio raportu cesarzowi.

Wybór padł na senatora hr. Kantakuzena.

W owmy to czasie zaszedł na Litwie inny wypadek związany pośrednio ze sprawą krożańską.

W powiecie Święciańskim ziemi Wileńskiej była ongiś można rodzina hr Mostowskich posiadająca tam znaczne dobra a między innemi majątek Łuczaj.

Ostatni z hr. Mostowskich zmarł zagranicą bezdzietnie nie mając bliższych krewnych którzy by według praw obowiązujących na Litwie mogli dziedziczyć ziemię. Według tegoż prawa w takich wypadkach nabywcą mógł być jedynie rosjanin prawosławny.

Aby ocalić tę polską spuściznę zebrało się grono ziemian z naszym sąsiadem panem Edmundem Bortkiewiczem na czele . Zawiązano nieoficjaln spółkę do której dopuszczono jednego przyzwoitego prawosławnego i na jego imię nabyto Łuczaj. Rzeczywistemi właścicielami byli jednak polacy.

Zapewne sprawa ta uszła by uwagi generał gubernatora Orżewskiego gdyby w tym samym czasie nie przybył do Wilna wysłany dla przeprowadzenia śledctwa w sprawie krożańskiej senator hr Kantakuzen.

Niespodzianie pan Bortkiewicz zostaje wezwany do generał gubernatora Odbyła się w czèery oczy rozmowa której zacny pan Edmund nie mógł zapomnieć do końca życia a która o włos nie doprowadziła go wówczas do przedwczesnej śmierci.

Pod grozą zesłania w trybie administracyjnym wrzystkich uczestników spółki w ciągu 24 godzin na Syberję rozkazano natchmiast sprzedaś Łuczaj.

Dochodzenie zakończono z konkluzją uniewinniającą generał gubernatora Orżewskiego i gubernatora Klingenberga. O wyniku śledztwa hr Kantakuzen osobiście złożył raport cesarzowi.

Łuczaj tymczasem sprzedano jak się okazało nabywcą był senator hr Kantakuzen.

Przeszło kilka miesięcy.

Po Petersburgu zaczęły krążyć pogłoski o nabyciu przez hr Kantakuzena jakiegoś wspaniałego majątku na Litwie wywołując różne uwagi i komentarze pogłoski ze zataczyły coraz szersze kręgi wreszcie dostały się na języki sfer zbliżonych do dworu.

I tu zachodzi rzecz nieoczekiwana.

Któregoś ranka hr Kantakuzen dostaje rozkaz stawienia się niezwłocznie do Cesarza.

Rozmowa Władcy z hr Kantakuzenem odbyła się w cztery oczy. Co tam zaszło niewiadomo. Car Alekasnder III miał silną pięść a żartować nie lubił.

Tegoż wieczora w jego mieszkaniu przy ulicy Kirocznoj znajdują martwe ciało hr Kantakuzena . W rękach trzymał rewolwer.

Orżewski wypadł z łaski przetrwał jeszcze rok na swoim posterunku w sferach stolicy otoczono go pogardą , śmierć zaskoczyła go w drodze do Petersburga gdzie go podobno czekała surowa odprawa.
Klingenberga przeniesiono z Kowna i wkrótce słuch o nim zaginął.
W ostatnim roku swego generał gubernatorstwa Orżewski chcąc widocznie zrehabilitować swój postępek węszył wszędzie ,, polską intrygę " i alarmował Petersburg ostrzegając przed nowym powstaniem i dając do zrozumienia że jedynie dzięki jego silnej ręce i zdecydowanej polityce na obszarze generał gubernatorstwa panuje spokój.
W tym właśnie czasie Ojciec mój otrzymuje oficjalne pismo podpisane przez Orżewskiego w którym w ostrej formie generał gubernator zwraca uwagę i oskarża Ojca o ukrywanie niedopuszczalnej liczby polaków zajętych na naszych fabrykach i kolejach.
Z listem Orżewskiego w kieszeni Ojciec udaje się do Wielkiego Księcia Michała Aleksandrowicza .
Wielki Książe po katastrofie pod Borkami był usposobiony dla niego bardzo przychylnie.
Po wysłuchaniu sprawy W Książę radził Ojcu rozmówić się osobiście z Orżewskim a podając na pożegnanie rękę rzekł.
,, Wy nie obraszczajtie wnimanje na etogo podleca "- niech pan nie zwraca uwagę na tego podłego człowieka , a w ostatecznosci powoła się na mnie.

Po wybuchu bolszewizmu mieszkałem w Carskim Siole pod Peterburgiem w pobliżu willi Wielkiego Ks Michała . Rad byłem że temu zacnemu staremu przyjacielowi mego Ojca mogłam w czasie jego choroby odnieść osobiście kilka ostatnich butelek dobrego wina.

Nie będę opowiadał treści rozmowy Orżewskiego z moim Ojcem chociaż znam ją z ust Ojca na pamięć.
Powiem krótko ,, trafiła kosa na kamień.
W każdym razie od czasu tej rozmowy ustała oficjalna koresponednoja z Generał gubernatorem a polacy nadal stanowili około 85% całego personelu.
W ostatnim roku moich studjów na Politechnice Rygskiej sprawa Krożańska tym razem w drodze sądowej wypłynęła znowu na forum publiczne. Głównym obrońcą był nasz znakomity adwokat wileński ś.p. Tadeusz Wróblewski.
Sprawę wygrano , uniewinniono skazańców i po kilku latach wygnania poprzedzających rozprawę sądową pozwolono im wrócić z powrotem na Żmudź Sw.
Piękna bohaterka Kroż po powrocie wyszła zamąż za bogatego gospodarz w tej że parafji.
Po śmierci Kantakuzena Łuczaj był znowu na sprzedaż.
Przez długie lata nie było amatora na kupno tego majątku , wreszcie w latach 1903-4 Łuczaj nabył z licytacji Generał Klejgels były generał gubernator Petersburga.

KĄPIEL Z PRZYGODĄ

Obchodzono urodziny profesora.
Był cichy pogodny dzień letni , kończono żniwa.
Grupa arkonów odbywających praktykę rolniczą w Peterhofie pod Rygą była tej soboty zaproszona do domu profesora na podwieczorek i wieczorną zabawę.

Swoim zwyczajem młodzież udała się popołudniu do kąpieli w pobliskiej rzece.
Zabraliśmy z sobą wierzchowca naszego kolegi Dowiatta aby przy sposobnośći popławić konia w bieżącej wodzie.

Pozostawiwszy konia na łące w oczekiwaniu kolejki wypłynęliśmy w kierunku młyna. Gdyśmy byli na srodku rzeki usłyszeliśmy z brzegu wołanie i tentent kopyt końskich.

To nasz kolega chcąc nam zrobić niespodziankę wskoczył na oklep na konia i kłusował po łące kierując szenklami. Na sobie nie miał dosłownie nic,nie licząc własnej skóry.

Koń musiał się widocznie wystraszyć naszego wołania lub leżących na trawie ręczników bo zawróciwszy na miejscu z kopyta pognał wyciągniętym galopem w stronę stajni unosząc na sobie bezradnego jeźdźca w śtroju adamowym.

Ogarnęło nas przerażenie . Wychyliwszy głowy z szuwarów wlepiliśmy oczy nasze w drogę gdzie wsród tumanów kurzu gnał na złamanie karku nasz kolega.

Raptownie usłyszeliśmy pisk głosów niewieścich i tubalne wołanie panów.

Nieszczęsliwym zbiegiem okoliczności droga do stajni wiodła tuż koło werandy domu profesorskiego gdzie właśnie zebrali się już goście panowie w długich czarnych surdutach z miejscowym pastorem na czele i barwne grono podlotków w letnich kolorowych sukienkach.

Łatwo wyobrazić zdziwienie i przestrach towarzystwa na widok nagiego jeźdźca.

Raptem coś różowego oderwało się od konia zatoczyło krąg w powietrzu i zrulowało na ziemię.

Na werandzie powstało zamieszanie.
W chwilę potem jakaś utarzana w pyle,niewiadomego koloru,postać biegła co tchu w naszą stronę.

Zjawiliśmy się na podwieczorek nadrabiając miną i udając że nie słyszymy dyskretnych chichotów towarzyszących naszemu ukazaniu się.

Dyskretnie też nie poruszano tego tematu tylko profesor wziąwszy na stronę naszego kolegę zapytał o jego samopoczucie.

Minęło dwadzieścia lat. Wraz z liczną grupą dawnych arkonów byłem w Katedrze Wileńskiej w czasie uroczystości kościelnej związanej z osobą naszego dawnego kolegi .

Przed wyjsciem dostojnego kapłana ze świątyni uszykowaliśmy się szpalerem aby mu złożyć życzenia. Stojący obok Bogdan Żagiell trącił mnie łokciem i szeptem przypomiał scenę z koniem , której głównym aktorem był obecny nominat.

Na to wspomnienie i skojarzenie w umyśle tego obrazka z lat studenckich z dzisiejszą uroczystością przyznaję że musiałem użyć całej siły woli aby zachować należytą powagę w solennym momencie ucałowania pierścienia naszego drogiego czcigodnego a dziś już nie żyjącego kolegi.

POŻEGNANIE

Przed oficyną fermy doświadczalnej w Peterhofie stała bryczka gotowa do drogi.

Pożegnaliśmy już naszego profesora Knierima i jego rodzinę, pożegnaliśmy asystentów i służbę folwarczną, obeszliśmy wrzystkie kąty.

Po raz ostatni rzuciłem okiem na znajomy płaski krajobraz i ciemnym pasmem lasu na horyzoncie i czerwieniejącą w dali wśród drzew wieżyczkę kościołka.

Trzeba było śpieszyć na kolej.

Przed tygodniem ukończyliśmy nasze egzamina dyplomowe, zdaliśmy prace i teraz rozjeżdżaliśmy się na zawsze..... w świat.

Przesunęły mi się w pamięci barwne beztroskie lata młodości zadźwięczała w uszach nuta pieśni akademickiej. nadeszła oczekiwana chwila pożegnania, nie myślałem jednak że ta chwila zaskoczy mnie tak niespodziewanie jak coś, czego już ani odłożyć ani przeciągnąć nie można.

Po raz ostatni po przez łzy które mi napływały do oczu, jak przez mgłę zobaczyłem życzliwą twarz profesora i tych wrzystkich przyjaciół którzy przybyli bez uprzedzenia na kolej aby nam uścisnąć rękę.

Pociąg ruszył zostaliśmy sami pogrążeni w myślach i wspomnieniach. milczeliśmy czując że każde słowo było by czemś nad wyraz banalnem.

Koła wagonów wtoczyły się na most kolejowy.

W mgle wieczornej zamajaczyły nam w dole szare fale Dzwiny [redacted] kontury wieżyc kościelnych i murów starej rygskiej hansy.

Żegnaj Rygo.

P O Ż E G N A N I E

Przed oficyną fermy doświadczalnej w Peterhofie stała bryczka gotowa do drogi.

Pożegnaliśmy już naszego profesora Knierima i jego rodzinę, pożegnaliśmy asystentów i służbę folwarczną , obeszliśmy wrzystkie kąty .

Po raz ostatni rzuciłem okiem na znajomy płaski krajobraz i ciemnym pasmem lasu na horyzoncie i czerwieniejącą w dali wśród drzew wieżyczkę kościołka.

Trzeba było śpieszyć na kolej.

Przed tygodniem ukończyliśmy nasze egzamina dyplomowe , zdaliśmy prace i teraz rozjeżdżaliśmy się na zawsze..... w świat.

Przesunęły mi się w pamięci barwne beztroskie lata młodości zadźwięczała w uszach nuta pieśni akademickiej, nadeszła oczekiwana chwila pożegnania, nie myślałem jednak że ta chwila zaskoczy mnie tak niespodziewanie jak coś, czego już ani odłożyć ani przeciągnąć nie można.

Po raz ostatni po przez łzy które mi napływały do oczu , jak przez mgłę zobaczyłem życzliwą twarz profesora i tych wrzystkich przyjaciół którzy przybyli bez uprzedzenia na kolej aby nam uścisnąć rękę.

Pociąg ruszył zostaliśmy sami pogrążeni w myślach i wspomnieniach. milczeliśmy czując że każde słowo było by czemś nad wyraz banalnem.

Koła wagonów wtoczyły się na most kolejowy.

W mgle wieczornej zamajczyły nam w dole szare fale Dzwiny [illegible] kontury wieżyc kościelnych i murów starej rygskiej hansy.

Żegnaj Rygo.

Z LAT MINIONYCH

szkice

część III

Na szerokim świecie

M. Mcd. Jałowiecki

Spis rzeczy

NIEOCZEKIWANA NOMINACJA

Po obronie pracy dyplomowej i odbyciu praktyki rolniczej u barona Wangenheima w jego dobrach Klein Spiegel na Pomorzu Szczecińskim udałem się jwiosną do Rygi na uroczystość wydawania nam dyplomów.
Spędziłem około IO dni w miłej dobrze znajomej atmosferze arkońskiej i z dyplomem w kieszeni wróciłem do domu aby się rozpatrzyć w sytuacji.
Mimo ukończenia wyższego zakładu i odbycia praktyki czułem potrzebę uzupełnienia mego fachowego wykształcenia tembardziej że w głębi serca ciągnęło mnie do rolniczej pracy naukowej i profesury.
Za zgodą Ojca udałem się na dalsze studja do Niemiec na Uniwersytety w Bonn i Halli.
Przez te kilkanaście miesięcy mego pobytu zagranicą pracowałem usilnie i wykończyłem pracę doktorską na Uniwersytecie w Bonn. Przedmiotem mojej pracy była uprawa i meljoracja torfów. Poznałem wielu ludzi ze świata naukowego zwiedziłem kilkadzisiąt gospodarstw w Niemczech i Danji i spędziłem kilka tygodni na stacji doświadczalnej / Moorversuchstation/w okolicach Bremy.
Miałem sposobność zapoznania się z życiem studenckim na uniwersytetach niemieckich. Bywałem częstym gościem w Korporacji Boner Borusia będącej w kartelu z dwoma korporacjami Rygskiemi z Arkonją i Byłtyką.
Jako filister Arkonji korzystałem ze wrzystkich przywilejów Alter-Herr,a / filistra / Borusji. a nawet brałm udział w uroczystym komerszu gdzie wsród starszych Panów tej korporacji był obecny Kronprinz Niemiecki.
Muszę przyznać że nasłuchawszy się opowiadań o życiu w niemieckich korporacjach byłem mile zaskoczony stosunkami panującemi w Borusji i wysokim poziomem towarzyskim jej członków.
Stowarzyszenia studenckie na uniwersytetach niemieckich składały się z trzech różniących się od siebie wyraźnie grup mianowicie : Stowarzyszeń naukowo zawodowych , korporacji i burszenszaftów.
Pod względem towarzyskim Korporacje t zw. Corps`y stanowiły elitę towarzyską młodzieży uniwersyteckiej i różniły się djametralnie od zwykłych stowarzyszeN burszowskich t zw. Burszenszaftów. z któremi nie łączyły się ani towarzysko ani oficjalnie.
W odróżnieniu od tych ostatnich nie było tam spijania się piwem i krojenia nawzajem twarzy na obowiązujących pojedynkach rapirowych.
Pojedynki należały do wyjątków jedynie w razie poważnej obrazy, ale w takich wypadkach pojedynkowano się na pistolety lub na pałasze.
Z tej zapewne racji przeciętni bursze niemieccy unikali jak mogli zaczepiania korporantów wiedząc zgóry że każda sprawa honorowa z kor

korporantem może pociągnąć za sobą zgoła nieprzyjemne konsekwencje.
W czasie mojej bytnosci w Bonn nie spotkałem tam studentów polaków
Na parę lat przedemną studjował w Bonn mój starszy kolega z Arkonji
Stanisław Janicki późniejszy Minister Rolnictwa za czasów polskich.
Większość młodzieży polskiej studjującej zagranicą grupowała się na uniwersytetach w Halli , Lipsku i Wrocławiu.
Będąc w Halli zetknąłem się tam z Władysławem Komarem z Bejsagoły Kazimierzem Bystramem, Witoldem Swięcickim i Chrapowickim.
Po ukończeniu moich prac w Bonn zamierzałem udać się na praktykę mleczarską do Instytutu Mleczarskiego w Hammeln pod Hanowerem gdy nieoczekiwania dostałem telegram podpisany przez mego szwagra Władysława Żukowskiego wzywający mnie niezwłocznie do Petersburga.
Pokrzyżowało to moje plany ale nie było rady, wyruszyłem w drogę i tegoż wieczora przejechałem w Berlinie z Frankfurter Bahnhoff n a Fierishstrasse i trafiłem na kurjer do Eydtkuhnen.
Rano stanąłem w Eydkuhnen i około południa znalazłem się na stacji granicznej w Wierzbołowie . Po załatwieniu formalności pasportowych i zjedzeniu sakramentalnego obiadu składającego się z barszczu małoruskiego ze śmietaną i jarząbków, zająłem miejsce w przedziale drugiej klasy kurjera Patarsburgskiego.
Minął już zgórą rok jakem wyjechał z kraju.
Przez okna wagonu patrzyłem na przesuwający się przedemną płaski monotonny krajobraz suwalszczyzny który po malowniczej a bogatej nadrenji wydawał mi się dziwnie pustynny niemal dziki.
Pogrążony w myślach anim się spostrzegłgdy koła pociągu zadudniły na moscie kolejowym na Niemnie i za chwilę pociąg stanął na dworcu [illegible] w Kownie.
Przejechałem Wilno i naszą stację Nowo Święciany , ciągnęło mnie aby choć na chwilę wpaść do domu niestety musiałem śpieszyć.
Nazajutrz rano byłem w Petersburgu. Na dworcu Warszawskim spotkał mnie Władysław Żukowski, wówczas dyrektor Wielkich Zakładów Metalurgicznych w Briansku późniejszy poseł do Dumy i stały referent budżetu
W paru słowach wyjaśnił mi że na skutek jego rozmowy z Exelencją Timiriaziewym Pełnomocnikiem Finansowym przy Ambasadzie rosyjskiej w Berlinie zostałem mianowany jako attaché rolniczy przy tejże ambasadzie i radził mi abym przyjął tę nominację, że wreszcie rozmawiał z moim Ojcem który zasadniczo wyraził swą zgodę.
- Musisz być dziś popołudniu w Hotelu Europejskim u Timiriaziewa
- który za parę dni wraca do Berlina i z nim omówić osobiście całą
- sprawę. Twoja Nominacja jest już podpisana przez Ministra Rolnictwa
- Jermołowa a pasport dyplomatyczny czeka na ciebie.
Wrzystko to spadło na mnie tak niespodziewanie że nie miałem czasu do zastanowienia się nad sytuacją.
Zajechałem do naszego mieszkania przy ulicy Nadieżdinskiej gdzie zastałem na szczęście mego Ojca.
Po omówieniu z Nim wrzystkich " pro i contra " zdecydowałem się na ten krok który mi otwierał możliwości zapoznania się ze światem a szczegulnie z rolnictwem, z tem że po paru latach wycofam się ze służby dyplomatycznej i przejdę do życia prywatnego.

Tegoż popołudnia udałem się do Hotelu Europejskiego przy ulicy Michajłowskiej.
Portjer hotelowy wskazał mi uprzejmie numer apartamentu zajmowanego przez Timiriaziewa.
Miałem właśnie zapukać do drzwi gdy z wewnątrz doszła do uszu moich gra na fortepjanie. Ktoś grał nocturne Shopin'a i grał mistrzowsko stanąłem nie chcąc przerywać tej pięknej muzyki wreszcie zdecydowałem oznajmić o swoim przyjściu.
" Entrez" zawołano z wewnątrz.
Przy fortepjanie stał wysoki pan o szlachetnej twarzy okolonej spiczastą siwiejącą bródką, był ubrany w świetnie skrojone szare angielskie ubranie i żółte półbuciki na nogach.
Przewitał mnie uprzejmie i usadowił vis a vis [redacted] w wygodnym fotelu. Spojrzał na mnie badawczo.
- Zdecydowałem się na wybór Pana choć nie miałem przyjemności poznać
- go osobiście. Jest pan jednak jak i ja wychowańcem Liceum jest to dla
- gwarancją że będą miał w panu prawdziwą pomoc.
- Jesteśmy - ciągnął dalej - w toku pertraktacji o zawarcie umowy cel-
- nej z Rzeszą.
- Nie wiem czy Panu jest wiadomem, że rząd rzeszy pod presją agrarjuszy
5 z ich prezesem Baronem Wangenhejmem na czele opiera się wszelkiemi
- sposobami zawarciu tej umowy i żąda wprowadzenia wysokich ceł ochro-
- nnych na nasze zboże oraz obrobione drzewo , natomiast chce od nas
- sprowadzać bez cła otręby , kuchy i inne pasze oraz ~~nieobrobione~~
- drzewo. okrągłe.
- Agrarjusze niemieccy twierdzą że Rzesza pod względem produkcji zboża
- jest samowystarczalna i że nie potrzebuje obcego. Zdaniem moim to nie
- odpowiada rzeczywistości.
- Chodzi mnie aby mieć przy sobie fachowego rolnika .
Będzie pan przydzielony oficjalnie do Ambasady ale pańskim zwierzchni-
- kiem bezpośrednim będę ja.
- Zadaniem Pańskim jest trzymanie ręki na pulsie. Będzie pan musiał
- zwiedzić jak największą liczbę gospodarstw, poznać jak najszersze koła
- rolników i utrzymywać z nimi przyjacielskie stosunki.
- Bardzo bym chciał aby pan się poznał osobiście z prezesem agrarjuszy
- baronem Wangenhejmem.
- Oświadczam Panu zgóry że nie jest to żaden wywiad ekonomiczny, zresztą
- znając Pana z opinji nigdy bym panu takiej funkcji nie polecił.
- Prowadzimy grę otwartą i nie potrzebuję nic ukrywać, natomiast chcę
- wiedzieć prawdę i to w drodze otwartej i legalnej.
- Wrzystko jest przygotowane do pańskiego wyjazdu za kilka dni powinien
- Pan być w Berlinie.
- Exelencjo - odrzekłem -oświadczenie pańskie rozwiało moje wątpliwo-
- ści gdyż w żadnym wypadku nie nadawałbym się do prowadzenia jakiejś
- podwójnej gry. Co do Wangenhejma to znam go osobiście i jestem zaprzy
- jaźniony z nim i jego całą rodziną spędziwszy przeszło rok na praktyce
5 w jego dobrach Klein Spiegel.
Timiriaziew klasnął w dłonie.
- Doskonale - rzekł - wrzystko układa się pomyślnie. Czy pan jest gotów
- do drogi?
Odpowiedziałem że półtora roku nie byłem w domu i że chcę się zobaczyć

ze swojemi i dlatego proszę o miesiąc zwłoki.
Timiriaziew się zasępił.
- Nie jest to wskazanem rzekł - zaczynać służbę od urlopu, ale mając
- na względzie, że pan nie był przygotowany na zajęcie tego stanowiska
- „contre couer" zgadzam się na ten miesiąc pod warunkiem że pan
- stawi się punktualnie na dzień oznaczony w Berlinie.
- Jutro o jednastej będzie pan przyjęty przez Ministra Rolnictwa
- Jermołowa a następnie zabierze Pan z kancelarji Ministerstwa Spraw
- Zagranicznych swoje papiery i pasport dyplomatyczny.
- Do zobaczenia w Berlinie - rzekł wyciągając na pożegnanie rękę.

Audjencja była skończona
Stary Jermołow Minister Rolnictwa zatrzymał mnie dłużej szeroko rozwodząc się nad niemiecką gospodarką rolną i nad systemem płodozmiennym był to zresztą jego " konik". gdyż między innemi napisał wielkie dzieło o płodozmianach i gospodarstwie rolnym w Królestwie Polskim.
Był to człowiek światły , wychowaniec liceum , typ prawdziwego pana dawniejszego pokroju i wielkiego liberała.

Znany też był ze swoich sympatji do zachodu i polaków co mu często brano za złe.
Otrzyałem tegoż dnia z Ministerstwa Spraw Zagranicznych list polecający do wrzystkich urzędów i instytucji rolniczych w Niemczech i pasport dyplomatyczny .

Była Sobota spakowałem na prędce manatki i wraz z Ojcem wyjechałem nocnym kurjerem do Syłgudyszek.
Matka moja zwykle przeciwna wrzystkiemu co miało jakiś stosunek z rządem rosyjskim dała się wreszcie przekonać pod warunkiem, że w drodze do Berlina zajadę do Zakopanego i choć kilka dni spędzę wśród ludzi myślących innemi kategorjami niż zwykli zjadacze chleba.
Aczkolwiek bez wielkiego entuzjazmu obiecałem spełnić sumiennie wolę Matczyną.

W KRAJU ATAMANÓW

Przed dworcem kolejowym w Wojtowcach stała czwórka odmastków zaprzęgrzonych w poręcz do wysokiej bryczki bałagulskiej. Na koźle siedział woźnica ubrany w biały letni kitel skrojony kozacka modą opasany czerwonym pasem jedwabnym spiętym srebrną herbową klamrą i szerokie jak spódnica granatowe szarawary z czerwonym lampasem.
Zrobiłem małą przerwę w mojej pielgrzymce do Zakopanego i zboczyłem do Bogdanówki należącej do mego szwagra Władysława Żukowskiego a położonej w sławnej parafji Bazalijskiej na dalekim graniczącym z Ukrainą Podolu.
Minęliśmy [redacted] murowany zakrawający na pałac dwór hr Ledochowskich położony wsród obszernego parku i zanurzylismy się w bezbrzeżną równinę stepową.
Żniwa były w pełnym toku. Ciągneły długim łańcuchem żniwiarki naliczyłem ich kilkanaście. Po polach chłopskich uwijali się kosiarze i czerwone namitki mołodyc. Kładły się złote łany pszenicy . Do uszu dochodził brzęk kos i płynęła ze stepów smętna melodja pieśni ukrainskiej.
Starałem się wczuć w tę bogatą słoneczną ziemię stepową tak różną od naszej Litwy i Zmudzi. Nie mogłem narazie nadążyć za wrażeniami które od paru tygodni zmieniały się z zawrotną szbkościa.
Los przerzucił mnie raptownie z nad brzegów Renu do Petersburga , na Litwę a teraz gdzieś daleko do kraju jak by żywcem wyciętego z opowieści sienkiewiczowskich , kraju gdzie we dnie słońce świeci pełnią swych promieni a nocyma wstaje nad stepem wielki czerwony miesiąc.
Dwór w Bogdanówce stał nad skrajem długiego głębokiego jaru gdzie ciągnęły się stawy porośnięte sitowiem a do uszu dochodził wciąż gwar wodnego ptactwa.
W czasie mego kilkudniowego pobytu objechałem z moim szwagrem całe sąsiedztwo a więc Minkiewiczów , Hr Ledochowskich, wreszcie licznych Knollów w których obfitowała parafja Bazalijska.
Nie mogłem się nadziwic wytrzymałosci koni które zdolne były jednym tchem przebiedz kilkadziesiąt wiorst bez kropli potu i sladów zmęczenia.
- Mój drogi rzekł szwagier mój u nas na Ukrainie konie są na to aby
- ciągnęły a wy tam na Litwie to chcielibyscie konie wsadzic do bry-
- czki a sami ciągnąć aby się broń Boże nie zmęczyły.
Była to aluzja do mnie, ąbo od młodosci wsławiłem się w oszczędzaniu koni i wrzyscy twierdzili że podróżowanie ze mną końmi to prawdziwa męka.
Było mi wesoło i przyjemnie w tym miłym kraju i chętnie bym zrezygnował z kąpieli " intelektualnej" która mnie oczekiwała w Zakopanem aby dłużej posiedzieć w Bogdanówce płynąć na stawy na zapady kaczek lub w towarzystwie czarnobrewych ukrainek objeżdżać konno sąsiednie dwory .
Władysław zatrzymywał mnie jak mógł wreszcie przyznał że powinienem dotrzymać przyrzeczenia i dojechać do Zakopanego.

Z żalem siadłem o świcie do bryczki aby w czas trafic do odległej o kilkadziesiąt wiorst stacji granicznej Podwołoczysk na posiąg pośpieszny do Lwowa i Krakowa.

Po raz pierwszy w życiu byłem w Krakowie i te pierwsze zetknięcie z majestatem naszej przeszłości pozostawiło mi na całe życie niezatarte wspomnienie.

Ja zakuty litwin znalazłem niespodziewanie to czego mi zwykle brakowało w Warszawie znalazłem wspólny język i zrozumiałem że potęga Rzeczypospolitej płynęła na dalekie wschodnie rubieże gdzieś aż pod Połock lub Wieliż nie z Warszawy ale z murów Wawelu.i [redacted] że nasze Wilno w gruncie rzeczy leży bliżej Krakowa niż Warszawy.

DZIWNI LUDZIE

Był cichy wieczór sierpniowy.
Słońce już zaszło.W głębiach nieba świeciły pojedyncze gwiazdy i i szerokim pasem odcinała się gdzieś w przestworzach droga mleczna.
Byłem zaproszony do Pani Dębowskiej.
W niskiej izbie góralskiej zawieszonej barwnemi kilimami żarzyła się w wielkim mosiężnym lichtarzu pojedyncza świeca. W półmroku jak we mgle zarysowywały się niewyraźnie twarze kilku osób siedzących w fotelach.
Panowała cisza przerywana szumem potoku i przyciszonym pojedyńczym słowem lub zdaniem.
Siedziałem nieruchomy w rogu izby wpatrzony w ostry profil Henryka Sienkiewicza.
Mistrz siedział milczący z pochyloną głową opodal stał Żóławski rozmawiając półgłosem z Tetmajerem. W blasku świecy ujrzałem szlachetną głowę Stanisława Witkiewicza a dalej postacie Matlakowskiego, Staffa, Chełmońskiego i jakiegoś tajemniczego zakonnika ubranego w biały habit
Zdawało mi się że jestym niemym świadkiem jakiegoś mistycznego obrządku i że każde moje odezwanie się było by czemś nad wyraz banalnem.
To też czując że nie potrafie dostroić mego intelektu do tak wysokiego djapajzonu pogrążyłem się w dyskretne milczenie.
W drzwiach ukazała się biała postać w serdaku z zawieszoną przez ramię cuhą góralską. Był to Wojtek Roj.Wuj Stanisław skinął na mnie Uściśnij Roja,- rzekł zcicha. - Obiecał że weźmie Cię w góry.
Rad nie rad uścisnąłem nieco szorstką niegoloną twarz mego opiekuna i wyszedłszy z izby umówiłem się że za dni parę zajdzie wczesnym rankiem do Hotelu Chramca gdzie mieszkałem i wyruszymy w drogę.
Wróciwszy na swoje miejsce pogrążyłem się znowu w milczenie bojąc się jak to mówią otworzyć gęby.
Wreszcie około jednastej pożegnałem Panię Dębowskę i dyskretnie skierowałem swoje kroki do restauracji Płonki gdzie przy pomocy butelki wina i paru kieliszków konjaku doprowadziłem wreszcie swoje wytrącone z codziennej równowagi " wilkomierskie ja " do właściwego pionu.
Dnia następnego udałem się z wujem Stanisławem do Kuznic aby być przedstawionym Pani Generałowej Zamoyskiej.
Panią Generałową znałem z opowiadań mojej starszej siostry Ady która przed kilku laty spędziła rok w zakładzie kurnickim i szczerze się przywiązała do Pani Generałowej.
Byłem oczarowany tą świetlaną postacią i jej trafnym sądem o sprawach ludziach jej głęboką wiarą i patrjotyzmem.
Pani Generałowa dała mi na pożegnanie swoją prześlicznie napisaną książkę " O miłości Ojczyzny" książkę tę zachowałem przez długie lata jako relikwię tej Wielkiej Polki.
Ale wówczas nie wiem czemu gdym spojrzał na tytuł stanęła mi w oczach twarz Księcia Adama Czartoryskiego i jego autograf.

Katolicyzm nie pochodzi z miłości Ojczyzny
ale patrjotyzm z miłosci Boga.

Do dziś dnia nie mogę sobie uświadomić kto z nich miał rację sądzę że i Pani Generałowa i Książe Adam.
Wój Stanisław odjechał z powrotem do Zakopanego pozostawiwszy mnie pod opieką hr Władysława Zamoyskiego.
Spędziłem dwa dni w towarzystwie tego dziwnego człowieka - ascety, pana [illegible] magnackiej fortuny sypiającego na twardym tapczanie w kancelarji służącej mu jednocześnie sypialnią, podróżójącego nie inaczej jak trzecią klasą, odmawiającego sobie najpotrzebniejszych wygód a jednocześnie sypiącego tysiącami na cele narodowe i społeczne.
Uderzyła mnie w nim surowa bezwzględność względem własnego, ja"przy jednoczesnej wielkiej wyrozumiałości i dobroci względem ludzi
A mimo to hr Władysław nie uzyskał należytej oceny we własnym społeczeństwie ani miłości górali dla których był prawdziwym ojcem i opiekunem
Po wielu latach spotkałem się z nim w Poznaniu.
Odjeżdżał z przed Bazaru do Kórnika starą trzęsącą bryczką bez resorów zaprzężoną w parę mierzynów fornalskich któremi sam powoził.
Przed śmiercią przekazał dobra kórnickie [illegible] wraz z pałacem i bezcennym księgozbiorem Rzeczypospolitej.
Czy okazano mu należną wdzięczność, czy ówczesny Rząd Rzeczypospolitej uczynił najmniejszy gest, dla uczczenia pamięci tego Wielkiego Polaka czy stworzono dookoła Kórnika atmosferę która by choć w części odpowiadała intencjom hr Władysława ..... wiele dało by się powiedzieć na ten temat.
Przeciwnie Kórnik stał się żerowiskiem dla różnego rodzaju protekcji i protekcyjek ...... Wiem z jakiemi trudnościami musieli walczyć ekzekutorowie zapisu i jak musieli się bronić od ingerencji najwyższych czynników Rzeczypospolitej którzy z Kórnika zrobili sobie folwark dla obsadzania swemi krewnemi każdego stanowiska.
Wróciwszy do Zakopanego zająłem się pod kierownictwem wuja Stanisława zaopatrzeniem w niezbędny sprzęt i prowizję na wycieczkę.
Było jeszcze szaro gdy zapukano do mego pokoju. W progu stanął Wojtek Roj i trzech górali przewodników mających nam towarzyszyć.
Nie przypominam dokładnie celu ani kierunku naszej wycieczki. Podobno wycieczka ta jak dla nowicjusza była dość trudna
Przyznam się szczerze, że byłem tak pochłonięty uwagą aby się gdzieś nie stoczyć w przepaść i postawic nogę na właściwym miejscu, że nie miałem ani czasu ani ochoty do nasycenia swych oczu wspaniałą panoramą Tatr.
Na dobitek wypadło nam przejść kilkadziesiąt metrów po wąziutkiej krawędzi skalnej czepiając się klamr. Spójrzawszy wdół musiałem użyć całej siły woli aby nie dać znać po sobie panicznego strachu który mnie ogarnął.
Wojtek Roj i przewodnicy opiekowali się mną jak pieczołowita niańka i to pierwsze zetknięcie z ludnością góralską, wówczas jeszcze nie zdemoralizowanej przez mieszczuchów, pozostawiło mnie jak najlepsze wrażenie.
Westchnąłem z ulgą gdy naszy wycieczka miała się ku końcowi i gdyśmy ruszyli łatwiejszą drogą z powrotem do Zakopanego.
Około północy napół przytomny ze zmęczenia w podartych nastrzępy spodniach i butach dobrnąłem wreszcie do Hotelu.
Nie jestem stworzony na alpinistę i nigdy już więcej w życiu nie ryzykowałem wycieczek w góry.

Pobyt mój w Zakopanem miał się ku końcowi.
Na pożegnanie udałem się do pracowni wuja Stanisława Witkiewicza gdzie kończył właśnie " Wiatr Halny " jeden z najpiękniejszych jego obrazów.
Wreszcie z uczuciem spełnionego obowiązku wyjechałem wczesnym rankiem do Chabówki aby zdążyć na pociąg wieczorny do Krakowa.

K O N T R A S T Y

Pociąg pośpieszny Wrocław Berlin pędził całą siłą pary. Po przez luki w zasłonie dymu ścielącej się za parowozem rzucałem okiem na na lesisty krajobraz Śląska, na migające czerwone dachy wsi ukrytych w zieleni sadów owocowych, na porządnie uprawne pola na których kończono właśnie żniwa, podorywano pośpiesznie ścierniska i siano poplony.

Ogarnęła mnie atmosfera ładu, pracy i dobrobytu.
Byłem jeszcze zbyt młody i moje porównania były zapewne zbyt impulsywne i bezkrytyczne. Przyznaję się, że wówczas niemcy imponowali mnie wyraźnie. Byli dla tym niedoścignionym ideałem do którego chciałem dążyć i w głębi duszy bolałem że kraj mój jest jeszcze tak daleko od tego ideału.
Jak żem się mylił.
W przedziale oprócz mnie siedziało dwuch panów. Z ich wyglądu i urywanych słów wywnioskowałem że są to zapewne ziemianie ze Śląska.
Siedziałem w milczeniu.
Nagle jeden z panów zwrócił się do mnie wyciągając skórzaną cygarnicę
-Niech Pan zapali z nami nie będzie się Pan czuł tak samotny.
- Sie werden sich nicht so einsam fühlen -
Od słowa do słowa rozgadaliśmy się na dobre.
Moja ocena okazała się słuszną obaj panowie byli właścicielami ziemskiemi ze Śląska i teraz właśnie jechali do Berlina na zjazd Bund der Landwirthe / Związku agrarjuszy/
Gdym w czasie rozmowy wymienił nazwisko Barona Wangenheima, lody zostały przełamane i rozmowa nasza weszła na tory polityki agrarnej.
- My agrarjusze niemieccy jesteśmy niedoceniani i nie rozumiani
- przez własne społeczeństwo a tembardziej przez zagranicę.
- Pomawiają nas jedynie o interesa klasowe, co nie odpowiada prawdzie
- Naszym celem-ciągnął mój rozmówca-jest zjednoczenie i zorganizowanie
- wrzystkich zdrowych elementów naszej wsi od drobnego właściciela
- i samodzielnego rzemieślnika do największych naszych potentatów
- rolnych. My chcemy zjednoczyć się na zasadach zdrowego demokratyzmu
- do walki z najgorszym wrogiem ludzkosci jakim jest doktryna socjali
- styczna, która wcześniej czy później doprowadzi nasz kraj i ludzkość
- do niechybnej katastrofy.
- Musimy walczyć tą samą bronią co i socjaliści. My uświadomieni rol-
- nicy całego świata musimy się połączyć we wspólnej walce o ideały
- chrześciańskie wjedną potężną organizację międzynarodową.
- Ale sztandar nasz będzie zielony, a hasłem naszym będzie nie walka
- klas, ale współpraca harmonijna wrzystkich czynników twórczych,
- nie proletaryzacja ale podniesienie dobrobytu jak najszerszych mas
- ludności rolniczej. Bo tylko wieś jest tą skarbnicą z której narody
- czerpią swoją potęgę swoje zwyczaje i tradycje.
Zamilkł jak by zasłuchany w własne słowa.
- Będziemy radzi - rzekł zwracając się do mnie, jeżeli Pan przyjmie
- udział w naszym zjeździe i przysłucha się naszym debatom i uchwałom.

- Oto jest mój bilet wizytowy , niech Pan przy wejściu do Cyrku Buscha
- pokaże ten bilet wydadzą Panu natychmiast kartę uczestnictwa zjazdu.
- Usłyszy Pan wiele rzeczy rewelacyjnych.
Po wzajemnym przedstawieniu okazało się że jeden z Panów był Hr Schönaich Carolath a drugi baronem von Falkenhausen , obaj ze Śląska

Anim nie zauważył gdy pociąg nasz wtoczył się pod szklany dach dworca Friedrichstrasse.

Zaledwie zdążyłem pożegnać moich towarzyszy podróży i wyrzucić do rąk tragarza moje walizki.

W przewidywaniu dłuższego pobytu w berlinie zamieszkałem na stale w niewielkim spokojnym hotelu " Lauter'a, uczęszczanym przez ziemiaństwo a położonym przy ulicy Schadow o parę kroków od Unter den Linden i ambasady rosyjskiej.

Mimo zmęczenia sen odbiegał mi powiek. Rozmyślałem długo nad dziwnym łańcuchem kontrastów które przeżyłem w ostatnich paru tygodniach a gdym wreszcie usnął ukazał mi się we śnie baron Wangenheim z zielonym sztandarem w ręku następujący nogą na powalone cielsko " czerwonego smoka"

W B E R L I N I E

Ambasador rosyjski baron Osten- Sacken siedział w wygodnym fotelu przy wielkim biurku mahoniowym na środku wielkiego wysłanego czerwonym suknem gabinetu.
Skinieniem ręki wskazał mi krzesło.
Z iście niemiecką pedanterją zaczął badać mnie o moich planach i zajęciach rzucając od czasu niby od niechcenia pytania dotyczące uprawy i hodowli jak by chcąc wybadać moje kwalifikacje fachowe.
Z rozmowy dowiedziałem się że ambasador jest sam zamiłowanym rolnikiem i że spędza wrzystkie urlopy w swoich dobrach liflandzkich w pobliżu Rygi.
Egzamin wypadł zapewne pomyślnie gdyż rozmowa przeszła na tory towarzyskie o wspólnych znajomych z nadbałtyki o wielkiej misji kulturalnej niemców bałtyckich w tym barbarzyńskim kraju jakim jest Rosja o niskim stanie rolnictwa w rdzennej Rosji i o nie wyzyskanych dotąd olbrzymich możliwosciach tego kraju. wreszcie pożegnał mnie życząc powodzenia i polecił abym co miesiąc stawił się do niego w celu poinformowania o przebiegu moich prac.
- Będzie Pan miał rozumnego ale wymagającego szefa . Exelencja Timriaziew cieszy się w Berlinie ogromnym autorytetem.
Gdym był blisko drzwi zatrzymał mnie na chwilę.
Dam Panu odręczne pismo do Ministra Rolnictwa Rzeszy von Podbielskiego i do mego przyjaciela Radcy ministerjalnego Groskurtha to się Panu przydać może -.
Skończywszy z ambasadorem udałem się do innych dygnitarzy ambasady a więc radcy Ambasady Barona v. Knoring , pierwszego sekreetarza barona van der Flit. Sądząc z nazwisk w całej ambasadzie za wyjątkiem Timiriaziewa nie było ani jednego rdzennego rosjanina.
Pomocnikiem Timiriaziewa był również polak Edward Meysztowicz z Meyszt , nasz daleki sąsiad i mój starszy kolega z liceum . Z jego braćmi Szymonem i Oskarem kolegowałem w Arkonji.
Wieczorem zaprosił mnie mój szef na obiad do swego domu . Po skończonym obiedzie siedliśmy w salonie i słuchając Shopin'a granego mistrzowsko przez naszego gospodarza.
Te kilka pierwszych dni byłem tak zajęty obowiązkami towarzyskiemi i składaniem wizyt że nie miałem czasu zajrzeć do cyrku Buscha gdzie się odbywał zjazd agrarjuszy.
Timiriaziew bardzo się interesował przebiegiem zjazdu i przypomniał mnie abym wysłuchał zakończenia zjazdu i uchwalonych rezolucji.
Trafiłem na zakończenie obrad.
Olbrzymi gmach cyrku był od góry do dołu zapełniony publicznoscią.
Przeważały zielone kapelusze i płaszcze rolników.
Korzystając z przerwy przedostałem się nie bez trudu do stołu prezydjalnego stołu.
Na mój widok Wangenheim przetarł oczy.
Aber lieber Jalowiecki was machen sie doch hier! zawołał zdumiony.
W paru słowach opowiedziałem mu o swojej misji.
Był widocznie rad że jego praktykant dostał się do korpusu dyplomatycz-

tycznego.

Zostałem przedstawiony wiceprezesowi Związku Agrarjuszy hr Schwerin i sekretarzowi generalnemu profesorowi Ruhland`owi znanemu ekonomiście i specjaliście od zagadnien agrarnych . Był on jednocześnie naczelnym redaktorem gazety " Deutsches Tageszeitung będącej oficjalnym organem Bund der Landwirthe.

- W przyszłym tygodniu - rzekł Wangenheim wracam do siebie i zabieram
- Pana na parę dni. Moja żona i Córki nigdy by Panu nie darowały gdyby
- Pan o nas zapomniał.
- Noce będą księżycowe . Jelenie zaczęły się odzywać , pojedziemy na
- rykowisko będzie Pan miał prawdziwą przyjemność.

W tej chwili zbliżył się do nas jakiś młody przystojny pan o dziwnie ujmującym wyrazie twarzy.

- Czy panowie się nie znają spytał , a jeżeli nie to was zapoznam
- jest to pański kolega z ambasady austryjackiej hr Ledebur , syn
- austryjackiego ministra rolnictwa.
- Widzę że obie ambasady zainteresowane są przebiegiem naszych obrad - dodał z uśmiechem.

Ledebur okazał się nad wyraz miłym i sympatycznym towarzyszem. Zaprzyjaźniłem się z nim na dobre a przyjaźń nasza trwała aż do pierwszej wojny światowej w której poległ.

Bywał w kilka lat potem u nas w Syłgudyszkach i ja rewizytowałem go w jego dobrach położonych w Czechach niedaleko Pragi.

Po tygodniu pobytu w Berlinie ruszałem się już swobodnie w tym mieście . Poznałem kilka domów polskich mianowicie p. Skórzewskich mieszkających we własnej pięknej willi w Halensee. P. Koscielskiego członka izby Panów. . wprowadzono mnie do Księstwa Ferdynandów Radziwiłłów mieszkających w pałacu na Pariser Platz.

Zwykle co niedziela bywalismy razem z Meysztowiczem na przyjęciach . Jednej niedzieli zastalismy tam Cesarza Wilhelma spokrewnionego z księżną Ferdynandową z którą rozmawiał nie inaczej jak po francusku a zwracają się do niej mówił " ma tante ".

Zostałem z urzędu przyjęty do klubu dyplomatycznego gdzie poznałem kilku wybitnych ziemian .

Miłym towarzyszem okazał się Pan Bolesław Morzycki mieszkający stale w Berlinie gdzie miał reprezentacje różnych wielkich interesów metalurgicznych w Rosji. Pan Bolesław mieszkał w moim sąsiedztwie na Schadow Str. był znawcą i niezastąpionym cyceronem nocnego życia Berlina.

Lubił jednak zachować we wrzystkim miarę i zwykle kończył pobyt w tym lub innym berlińskim nocnym lokalu sakramentalnym zdaniem

- A teraz kochany Panie Mieczysławie udajmy się do naszej cichej przy-
- stani na Schadow str.

Po paru tygodniach mimowlnie wsiąkłem w tę wygodną , miłą a mocno snobistyczną atmosferę młodzieży dyplomatycznej.

Szczęściem dla mnie częste wyjazdy i zetknięcie się z ludźmi pracy skierowały moje myśli w inną stronę.

dodatku otrzymałem odpowiedź mojej drogiej Matki na mój list opisuący entuzjastycznie życie dyplomatcji i moje sukcesy towarzyskie w erlinie.

Matka moja winszując mi " że sam sobie imponuję " dodała parę iroicznych uwag o moim snobizmie ostrzegając że jest to dolegliwość dość iebezpieczna dla siebie a zgoła nieprzyjemna dla otoczenia.

załączeniu nadesłała mi reprodukcję znanego obrazu Jacka Malczewskiego

noszącego tytuł " Zatruta studnia " z adnotacją " Avis au lecteurs
Oczywiscie przyjęłem te uwagi Matki mojej do wiadomości.

ODWIEDZINY U JUNKRA

Odleciały już bociany, gdzieś wysoko w chmurach ciągnęły ku południowi stada dzikich gęsi, pożółkły brzozy , poczerwieniały dęby i buki, w powietrzu pachło jesienią.

Był wieczór.
Na niebo wytoczył się wielki czerwony księżyc.
Siedliśmy do wysokiego żółtego breku zaprzężonego w parę rosłych hanowerów. Baron Wangenheim ujął lejce w swoje ręce , ruszyliśmy z kopyta.

Ja ze starszą córką, baronówną Cecylją wysoką , wysportowaną niebieskooką przystojną blondynką siedliśmy na tylnym siedzeniu odwróceni plecami do powożącego.

Z prawdziwą radością znalazłem się znowu w Klein Spiegel w znajomej , miłej, a naturalnej atmosferze, wsród osób których polubiłem jak najbliższą rodzinę.
Łączyła mnie po za tem z baronówną Cecylją prawdziwa przyjaźń a może i coś więcej , coś co napróżno starałem się w sobie zwalczyć.

Zapowmniawszy o wrzystkiem zamilkłem wpatrzony w główkę mojej towarzyszki na którą księżyc rzucał srebrne blaski.
Bolesne trzepnięcie w rękę przerwało moją zadumę.
- Przestań Pan patrzeć na mnie, bo wyskoczę z bryczki , lepiej
- niech pan otworzy oczy na piękno dzisiejszego wieczora.
- Cierpienia młodego Werthera wcale do pana nie pasują , jeszcze Pan
- gotów zacząć pisać poezje., na utrapienie ludzkości.
- Doprawdy wolałam pana jako ogorzałego , zapracowanego i zasypia-
- jącego w krześle praktykanta od dzisiejszego dyplomatycznego
- snoba na którego pan pozuje - dodała z uśmiechem
Dojeżdżaliśmy do barjery zagradzającej drogę do lasu.
Nim się zdecydował panna była już na ziemi i otwierała szeroko wrota.
- A to objechała pana co się zowie - zawołał Wangenheim wskazując ręką na córkę.- jak te życie w mieście zmienia ludzi, doprawdy przy-
- dało by się panu aby kilka dni pochodził za drylem lub postał przy
- młocarni .....
Wjechaliśmy w las i zwolnili tępa.
Na drodze stanął gajowy.
- Panie baronie - rzekł salutując - jelenie już się odezwały.
Podjechaliśmy stępem i stanęliśmy na brzegu oświeconej księżycem polany leśnej.

Z lasu wysunął się wielka ciemna sylwetka jelenia. Wyciągnął szyję . Ozwał się głęboki , groźny , wyzywający ryk.
Jak by w odpowiedzi na to wezwanie z przeciwległej strony wyszedł na polanę drugi jeleń.
Przeciwnicy zbliżali się do siebie zwolna z opuszczonym ku ziemi łbem wreszcie doskoczyli do siebie i zwarli się rogami.

W ciszy wieczornej rozległ się suchy chrzęst, jelenie doskakiwały do siebie , zaczepiały rogami , wreszcie jeden z nich czując własną słabość oddalił się z pola walki i zniknął w ciemnych czeluściach leśnych.

Był to widok którego nie zapomnę.

Czas mi upływał szybko. Zwiedziliśmy wrzystkie znajome miejsca. obejrzeliśmy nowozaczęte meljoracje torfowisk , graliśmy w tenisa robiliśmy dalekie spacery konne, anim zauważył że zbliżał się dzień mego wyjazdu.

Po kolącji siedzieliśmy w salonie panowie dopijali czarną kawę i palili cygara panie pogrążyły się w jakieś robótki ręczne.

Wieczór był ciepły , cichy. Gdz
Przez otwarte okna dochodziło do uszu naszych hukanie puszczyka i dalekie ujadanie psów.

Wszedł służący niosąc na tacy telegram.

Gospodarz rozdarł kopertę czoło mu się zasępiło ,

- Wzywają mnie do Berlina - rzekł po chwili milczenia . - Jutro mamy
- posiedzenie rejchstagu socjaliści przygotowują dla nas atak na
- całej linji i wiele przykrych niespodzianek-
- Czy Pan, Panie Baronie - spytałem - przewiduje zwycięstwo socjali-
- listów?spytałem.
- Jeżeli mam mówić szczerze to " tak" może nie dziś, ani jutro ale w
- przyszłości.
- Znamy się z panem dobrze , uważamy go poniekąd za członka naszej
- rodziny, nie mam potrzeby ukrywać przed panem smutnych myśli które
- mnie od dłuższego czasu prześladują.
- Mój młody panie - rzekł zwracając się do mnie - niebezpieczeństwo
- leży nie w sile naszego przeciwnika ale w nas samych , w naszym
- egoizmie, w naszej inercji, w naszym zakłamaniu wreszcie w braku
- poczucia obowiązku.
- Chyba tych wad nie można zarzucić ziemiaństwu niemieckiemu - zauważyłem.
- Pan się myli - rzekł Wangenheim. Są zapewne wyjątki , pochlebiam sobie że i ja i moja rodzina do nich należy. Chyba pan będąc u nas
- na praktyce zauważył wiele czasu i pracy poświęca moja żona i
- córki, tak zwanej pracy społecznej.
-Oglądał pan nasze szkoły , klub wiejski, kasę Rafeisena , ochronkę
- prowadzoną przez moją starszą córkę. Nie będą się nad tem rozwo-
- dził robimy wrzystko, aby spełnić nasz obowiązek względem naj-
- bliższego otoczenia.
- Czy wrzyscy to robią.... wiele na ten temat dało by się powiedzieć.

Mój gospodarz się zamyślił.

- Obawiam się - rzekł powoli jak by z trudem - że wypaczono moją
- myśl przewodnią. Założony przeze mnie związek rozrósł się , liczymy
- kilkadziesiąt tysięcy członków.
- Chciałem połączyć wrzystkie twórcze elementa naszej wsi , chciałem
- podciągnąć wgórę jednych , doprowadzić do współpracy drugich ,
- chciałem przełamać barjery kastowe czy mi się to udało... wątpię
- Dziś lejce wypadają mi z rąk i nie wiem czy uda mi się wstrzymać
- wóz na którym siedzę od stoczenia się w przepaść.
- Nie chłop niemiecki , nie drobny rzemieślnik, którzy tak ochoczo
- stanęli do współpracy a których liczymy w naszym związku na dzie-
- siątki tysięcy , ale właśnie ludzie z mojej sfery psują mi pracę
- i chcą przeistoczyć w swój własny folwark dla obrony jedynie
- interesów osobistych i kastowych.

Czy Pan wie jakie stosunki panują w sąsiednim Meklenburgu - niech pan kiedy tam pojedzie i sprawdzi na miejscu.
- Pan dopiero wstępuje w życie - rzekł do mnie . Czy Pan ~~sobie~~
- [illegible]
- kiedykolwiek w życiu pomyślał nad tem " co to jest arystokratyzm
- obowiązku?

Nie czekając mojej odpowiedzi ciągnął dalej.
- Zapamiętaj to sobie , mój młody przyjacielu .
- Każdy z nas którego los obdarzył posiadaniem , nazwiskiem , przy-
- wilejami zapomina, że ciąży nad nim poważna hipoteka względem oto-
- czenia. Każda hipoteka wymaga spłaty nietylko długu ale i pro-
- centów.
- Niepłacony dług wyrasta z roku na rok stacza się jak kula śnie-
- żna przeistaczając się w lawinę, aż wreszcie pewnego pięknego
- dnia niesumienny dłużnik wali się pod ciężarem narosłych zobo-
- wiązań których pokryć nie jest już w stanie.
- Dotyczy to nietylko hipoteki materjalnej ale i moralnej.
- Czy my klasy ziemiańskie wrzystkich krajów spłacamy ten dług
- moim zdaniem .... nie.
- Obawiam się że nadejdzie chwila w której nie potrafimy już opano-
- wać sytuacji i zapłacimy własną skórą bo oprócz niej nic nam
- więcej nie pozostanie.
- Prężą się tam u was w Rosji chłopskie karki, zaciskają się pięści
- robotników podżeganych socjalistyczną agitacją, a kosy zaczynają
- sypać iskry. I w naszym kraju nie jest lepiej.

Sensen hier , sensen her
Garben fallem gold geschwer
Aus der Klingen strahlen Blitze
In der Glüh der Mittagshitze

- To nie moje słowa to słowa mojej starszej córki -

Spojrzałem na nią zdumiony.
- Tak mój młody panie - podcinamy sami gałęź, na której jak dotąd
- siedzimy wygodnie.

Socjalizm, przedewrzystkiem pochłonie nas , mała z tego pociecha ale co gorzej pochłonie cały świat, zniszczy odwieczną kulturę a co wzamian da światu? Przypuszczam gorszą niewolę.
Opamiętajmy się póki czas .
My uznajemy tylko arystokratyzm praw, wymagamy aby nas szanowano i noszono na rękach a gdzież nasz arystokratyzm obowiązków?
Coś tu wyszło u nas z pionu mój przyjacielu.
- Arystokrata w dosłownym tłumaczeniu to " lepszy w narodzie ".
- Uderzmy się w piersi czy my rzeczywiscie jesteśmy lepsi.
- I jeżeli jako pański dawny zwierzchnik, mam pewne prawo mówić z
- panem szczerze , to niech pan usłucha mojej rady. niech pan nie siedzi zbyt długo w tej zatrutej atmosferze w która los pana rzucił
- Niech pan wraca tam do siebie na wieś, na rolę , niech pan choć
- w małej częsci spełni ten obowiązek i spłaci dług który na panu
- ciąży, a kiedyś, kiedy włosy pańskie okryje siwizna, niech pan
- wspomni starego Wangenheima i niech pan ma zadowolenie że pan nie
- napróżno żył na świecie a wykonał sumiennie " testament krwi ".

Spójrzałem na pannę skinęła potakująco głową, a ujrzałem łzy w jej oczach.
Panno Cecylio rzekłem zwracając się do niej. [illegible] wyjątkowo na pożegnanie do parku. Stanęliśmy w milczeniu. Wziąłem ją za rękę i przycisnąłem do ust. Co mam robić spytałem .. [illegible] gdzieś daleko

- Późno już rzekł gospodarz wstając z fotelu, jutro musimy wyjechać
- wczesnym rankiem , aby zdążyć na pociąg do Berlina.
Ze ściśniętym sercem pożegnałem tych zacnych ludzi, a nie wstydzę się łez które mnie napłynęły do garła .
- Niech Pan nas nie zapomina i zagląda do nas jak tylko czas mu na
- to pozwoli, mam wrażenie że jesteśmy mu blizsi niż pan przypuszcza.

Przez długie lata utrzymywałem korespondencję z tą drogą mi rodziną. a nie raz korzystałem ze światłej rady i przyjaźni mego dawnego szefa.

Mijały lata przeciągnęły na de mną burze i wypadki, nadeszła wojna światowa . Losy rozdzieliły nas straciłem ich na zawsze.

Starzy państwo zmarli. syn jedyny zginął na froncie zachodnim pod Verdun. Baronówna Cecylja nie wyszła zamąż , widziano ją w roku I9I7 wszarym stroju siostry miłosierdzia Kawalerów Maltańskich .... Mówiono mi że zginęła.

Przewidywania Wangenhejma były słuszne.
Mam przekonanie głębokie że gdyby idea jego zwyciężyła nie doszło by do wojny światowej ani do hitleryzmu , nie doszło by wreszcie do opanowania cywilizacji i kultury zachodniej przez " chama ".

Z G U B A

Którejś niedzieli około IO rano w chwili gdym kończył ubieranie aby udać się na nabożeństwo do kościoła Św Jadwigi / St Hedvigs Kirche/ usłyszałem pukanie do drzwi mego pokoju.
-Herein- zawołałem.
W progu stał portjer hotelowy z zakłopotaną twarzą.
,Co się stało - spytałem.
- Herr Baron" - rzekł portjer-tam na dole czeka na pana jakiś widać -„przyjezdny", nie rozumie po niemiecku,a tylko coś bardzo gestykuluje i dopytuje się o pana. Czy mam go przysłać.
- Dobrze rzekłem proszę poprosić tego pana do mnie na górę.
W chwilę potem w drzwiach stanęła jakaś postać.
Przetarłem oczy .
Przedemną ukazał się zażywny wąsaty szlagon w pudermantlu w jaki ubiera się szlachta jadąc na jarmark do Wiłkomierza. Na szyji miał czerwony włóczkowy szal , na nogach kalosze i maciejówka na głowie.
- Kumie - zawołał , ciosko-Mieczysławie - ratuj-zawołał otwierając szeroko ramiona, aby się uścisnąć ze mną.
Po chwili zorjentowałem się dopiero,że mam przed sobą nie jakąś zjawę, ale zacnego pana Kontowta dziedzica Szowkowa pod Wiłkomierzem, prezy-[...] córek.

Na widok Kuma stanęły mi w oczach nasze miłe Wiłkomierskie strony przypomniałem naszą ostatnią bytnosc w Szowkowie kiedy to całe sąsiedztwo z podziwem oglądało swieżo umocowane na balustradzie ganku cztery gipsowe figury przypominające kapłanki rzymskie a trzymające w ręku jakies emblematy.
Dopiero gospodarz domu wyjasnił nam przyczynę tego nowego upiększenia.
Coż Kumie corki podrosli tak trzeba było rozprowadzic Belweder. To Kumie cztery niby to pory roku. Ta co trzyma sierp i pszenica w garsci to lete, ta z gruszkami i japkami czyli fruktami to lotom ta co nic nie trzyma a stoi zamroziwszy sie to Liver a ostatnia czwarta co ma do ręku nabrawszy niezabudkow to nie pamiętam jak nazywa się , ale po naszemu wiosna.
Ale powracam do mojej opowiesci.

[...]n córki. [...]e dał pan [...]. [...]raj do Ber-[...]anowali my [...] różne [...] tej waszej [...]łem i ja [...], Pociąg [...]i. [...] tylko po [...]tawiłam im [...]iu widzieć

- Uspokój się sąsiedzie , wrzystko będzie dobrze, odnajdziemy córki.
Zatelefonowałem do Edwarda Meysztowicza aby mnie dopomógł w odnalezieniu naszych rodaczek i pozostawiwszy Kuma pod opieką portjera udałem się na stację Fridrichstrasse gdzie zmobilizowałem kogo się dało nie wyłączając naczelnika stacji i schutzman'ów.
Wróciwszy zastałem stroskanego ojca w hallu hotelowym za wielkim kuflem berlińskiego " Weissbier " ofiarowanego mu na uspokojenie przez poczciwego portjera.
- Pan jest bardzo niespokojny . nawet zapłakał . rzekł z sympatją portjer.

Na widok Kuma stanęły mi w oczach nasze miłe Wiłko-
mierskie strony przypomniałem naszą ostatnią bytnosc
w Szowkowie kiedy to całe sąsiedztwo z podziwem oglą
dało swieżo umocowane na balustradzie ganku cztery
gipsowe figury przypominające kapłanki rzymskie a
trzymające w ręku jakies emblematy.
Dopiero gospodarz domu wyjasnił nam przyczynę tego
nowego upiększenia.
Cożż Kumie corki podrosli tak trzeba było rozprowadzic
Belweder. To Kumie cztery niby to pory roku. Ta co
trzyma sierp i pszenica mmm w garsci to lete, ta z
gruszkami i mmmm japkami czyli fruktami to lotom
ta co nic nie trzyma a stoi zamroziwszy sie to Liver
a ostatnia czwarta co ma do ręku nabrawszy niezabudkow
to nie pamiętam jak nazywa się , ale po naszemu wiosna.
Ale powracam do mojej opowiesci.



Z G U B A

Którejś niedzieli około IO rano w chwili gdym kończył ubieranie aby udać się na nabożeństwo do kościoła Św Jadwigi / St Hedvigs Kirche/ usłyszałem pukanie do drzwi mego pokoju.

-Herein- zawołałem.

W progu stał portjer hotelowy z zakłopotaną twarzą.

Co się stało - spytałem.

- Herr Baron„ - rzekł portjer-tam na dole czeka na pana jakiś widać „przyjezdny", nie rozumie po niemiecku,a tylko coś bardzo gestykuluje i dopytuje się o pana. Czy mam go przysłać.

- Dobrze rzekłem proszę poprosić tego pana do mnie na górę.

W chwilę potem w drzwiach stanęła jakaś postać.

Przetarłem oczy .

Przedemną ukazał się zażywny wąsaty szlagon w pudermantlu w jaki ubiera się szlachta jadąc na jarmark do Wiłkomierza. Na szyji miał czerwony włóczkowy szal , na nogach kalosze i maciejówkę na głowie.

- Kumie - zawołał , ciosko-Mieczysławie - ratuj-zawołał otwierając szeroko ramiona, aby się uścisnąć ze mną.

Po chwili zorjentowałem się dopiero,że mam przed sobą nie jakąś zjawę, ale zacnego pana Kontowta dziedzica Szowkowa pod Wiłkomierzem, prezydenta tego grodu i szczęśliwego ojca czterech nadobnych córek.

- Panie prezydencie , sąsiedzie kochany , co się stało?

- Panie Mieczysławie - powtórzył - ratuj mnie - straciłem córki.

- Dobrze że odnalazłem w notatniku adres pański,który mnie dał pan Stanisław Montwiłł z Traszkun, bo by przyszło się zginąć.

- Ale co się stało? spytałem.

- Słuchaj kumie , przyjechałam , panie dobrodzieju zawczoraj do Berlina , wrzystko było dobrze ale dziś po rannej mszy uplanowali my z córkami pojechać do sadu zoologicznego , popatrzeć na różne zamorskie stworzenia . Poradzili nam siąśc na pociąg na tej waszej stacji frydrychowskiej.

- Ledwo panie córki zdążyli wskoczyć a tu gwizdek , chciałem i ja wskoczyć ale mnie za poły wstrzymali nosilszczyki , Pociąg poszedł i ja w ta meta zostałem się sam. Córki pojechali.

- Kumie ratuj,Co robić! Po niemiecku nie son edukowane,a tylko po francusku, chodów w Berlinie nie znaję dotego nie zostawiłam im pieniędzy.

- Straciłem córki , już ich musić nie przyjdzie się w życiu widzieć

Usiadł na fotelu ocierając kraciastą chustką czoło.

- Uspokój się sąsiedzie , wrzystko będzie dobrze, odnajdziemy córki.

Zatelefonowałem do Edwarda Meysztowicza aby mnie dopomógł w odnalezieniu naszych rodaczek i pozostawiwszy Kuma pod opieką portjera udałem się na stację Fridrichstrasse gdzie zmobilizowałem kogo się dało nie wyłączając naczelnika stacji i schutzman'ów.

Wróciwszy zastałem stroskanego ojca w hallu hotelowym za wielkim kuflem berlińskiego " Weissbier " ofiarowanego mu na uspokojenie przez poczciwego portjera.

- Pan jest bardzo niespokojny . nawet zapłakał . rzekł z sympatją portjer.

Przeszła godzina jedna druga , wiadomości nie było.
Wreszcie w drzwiach hotelowych ukazał się dziwny orszak.
Na czele kroczył poważnie Schutzman, dalej dwuch tragarzy za nimi aktorki główne tragedji , pochód zamykała przedstawicielka kolejowa " armji zbawienia ".
- No Panu Bogu niech będzie chwała - zawołał Ojciec .
- Wer sind sie - spytała surowo przedstawicielka armji zbawienia.
- Ja jestem Vater verstehen Vater.
- Znamy my takich różnych ojców - rzekła
- Kumie , powiedz im - ich Vater - ja im fizjonomję pobiję.
- Niech się pan wylegitymuje rzekł Schutzman.
Po sprawdzeniu paszportów , zbadaniu świadków i spisaniu protokułu że wrzystko jest w porządku, obie nadobne litwinki rzuciły się w objęcia ojca.
- Nu a teraz powiedzcie jak tam było i co robiliście? - spytał ojciec.
- Tak papo, my ciągle jechali i wracali w te same miejsce , ale
- wrzystkie stacje takie podobne, tak kręcili się i kręcili wkoło
- Berlina aż wreszcie nas zatrzymano i przyprowadzono tutaj.
- Ciosko Mieczysławie, rzekł Kum , ja już więcej ichniemi kolejami miej-
- skiemi jezdzić nie będą. Choć to ekspensy większe ale wezmę lepiej
- zwoszczyka.
- Nu ale , nie ma co gadać porządek u nich wielki
Wkrótce nadjechał zatroskany Meysztowicz i po wypłaceniu szczodrych napiwków odprowadziliśmy całe towarzystwo do hotelu.
Na odchodnem " Kum " pod takim bowiem imieniem znany był na Litwie, zatrzymał mnie.
- Panie Mieczysławie nie gniewaj sie ale poradź mnie co robić. Jesteś
- jak to mówią człowiek bywały, tak słuchaj-Ciosko.
Nie wiedziałem ku czemu prowadzi ta oracja.
-Wszak musić znasz naszego doktora Wirszyłłę z Wiłkomierza.
- W przeszłym roku Wirszyło jadąc z ciepłych wód przez Berlin zakazał
- sobie nowe ubranie u jakiegoś krawca niby to za rekomendacjo swego
- znajomego niemca. Na granicy w Wierzbołowie w tamożni stracił adres
- i terаz sam nie wie co robić.
A jak sie nazywał ów krawiec - spytałem.
- Nazywa się Miller ale ale ulicy i numeru domu tak nie pamięta.
- Wirszyło już kilkanaście listów posłał adresując „Krawiec Miller Berlin"
- ale żadnej odpowiedzi nie ma.Wirszyło mówi co jemu już nadojadło pisać tak prosił sie żeby ja jemu pomógł.
- Mówili my oba, cała ta sprawa Panu Stanisławowi Montwiłłowi który
- często w Berlinie przebywa . tak tylko zaśmiał sie i powiedział nawet
- nie bardzo politycznie- wprost powiedział do nas że my obydwa durnie
- i jeszcze Mówił do mnie weź z kopca jeden kartofel i powiedz
- z którego krzaka.
- Panie prezydencie odrzekłem i ja nie podejmuje się odszukać bez bliż-
- szego adresu Millera w Berlinie. Pan Stanisław ma rację.
- Kiepsko rzekł zatroskany " kum "szkoda ubrania, jakoby materjał tak
- był haniebnie, drogi prawdziwy angielski grodenaplowy szewiot; takiego
- to i w Wilnie nie znajdziesz.

S A M O T N I K Z N A S S E N H E I D E

Radca Grosskurth z Pruskiego Ministerstwa Ronictwa wręczył mi wykaz gospodarstw zasługujących na szczegulną uwagę i zwiedzenie.
W szeregu nazw znalazłem między innemi dobra Nassenheide na Pomorzu Szczecińskim należące do hr Arnima z adnotacją " wzorowa hodowla holendrów czystej krwi, koni hanowerów , gospodarstwo nasienne.
Przy nazwisku był nakreślony , zapewne przez zapomnienie , czerwonym ołówkiem znak zapytania.
Podnieciło to moją ciekawość , napisałem niezwlekając list do hr Arnima z prośbą o zezwolenie na zwiedzenie gospodarstwa.
Po paru dniach otrzymałem uprzejmą odpowiedź napisaną po francusku abym na dzień umówiony przyjechał na stację Nassenheide kolei wąskotorowej gdzie mają oczekiwać na mnie konie.
Przenocowawszy w Szczecinie wyjechałem rannym pociągiem a przesiadłszy na jednej z następnych stacji na kolejkę wąskotorową znalazłem się około południa na małej stacyjce Nassenheide.
Na peronie spotkał mnie wysoki szpakowaty pan o gładko ogolonej twarzy ubrany w szare sportowe angielskie ubranie.
Po wzajemnym przedstawieniu , siedliśmy do żółtego polowca zaprzężonego w parę złotych kasztanów.
Po chwili milczenia gospodarz zwrócił się do mnie z zapytaniem
- Czy pan włada językiem angielskim -
Skinąłem na potwierdzenie głową.
- Dobrze się składa - rzekł - ułatwi to nam rozmowę, wybaczy pan za
- moją niedyskrecję ale sądząc z powierzchowności pan chyba nie
- jest rosjaninem.
- Ma pan słuszność , nie jestem rosjaninem , jestem polakiem.
- A to w takim razie mam podwójnie miłą niespodziankę .
Zachodziłem w głowę do czego to wrzystko zdąża.
Przejechaliśmy obszerny park i stanęliśmy przed wielką ceglaną pokrytą plaśnia wieków budowlą, przypominającą swoją architekturą raczej klasztor średniowieczny niż wiejską rezydencję.
- Nie będziemy się przebierali rzekł , za chwilę będzie lunch a
- zaraz potem objedziemy gospodarstwo.
- Proszę odnieść rzeczy pana barona do jego pokoju rzekł do służącego po angielsku..
Zauważyłem że wewnętrzne urządzenie domu niczem nie przypominało ponurej średniowiecznej zewnętrznej architektury.
Ściany zawieszone były obrazami, sztychami sportowemi , pełno było kwiatów i fotografji. Meble były stylowe ale pomiędzy tem pełno było wygodnych miękich foteli. Wrzystko to było raczej podobne do angielskiej wiejskiej rezydencji niż do siedziby pomorskiego junkra.
-Napijemy się po kieliszku sherry lub whisky co pan woli , o ile pan nie hołduje niedawno wprowadzonej barbarzyńskiej modzie " coctaili " w takim wypadku mogą panu zaproponować coś co nazywają " Martini ".-
- Niestety nie mogę przedstawić pana mojej żonie rzekł wzkazując
- ręką na porteret przystojnej szczupłej blondynki , Moja żona
- [illegible]

z dziećmi bawi obecnie u swoich rodziców w Westmoreland w północnej Anglji.
- Po skończonym lunch'u usiedliśmy w miękich fotelach przy czarnej kawie i zapaliliśmy cygara.
- Wybaczy pan że spytam go kto właściwie skierował pana do mnie.
Odrzekłem że zawdzięczam przyjemność poznania mego gospodarza radỳ Grosskurth'owi.
Zdumienie odmalowało się na jego twarzy.
- Nic nie rozumiem - rzekł , chyba przez jakieś dziwne przeoczenie
- pruskie ministerstwo rolnictwa skierowało pana do mnie . Zresztą
- poznawszy pana bardzo się osobiście cieszę z tej pomyłki.
Nie mam co ukrywać że znalał się pan w domu " banity " einen gerückten", a żaden z junkrów pruskich nie splamił by się przekroczeniem progu mego domu.-
- Niech się pan nie przerazi , nie okradłem , nie zabiłem , ani
- zdradziłem, powiem panu krótko że jestem synowcem hr Arnima byłego
- ambasadora niemieckiego w Paryżu który padł ofiarą zemsty i po-
- rachunków osobistych Bismarka. Zapewne pan przypomina całą sprawę
- któóra głośnym echem obiegła świat cały.
- Nie nawidzę Bismarcka i całej tej zgrai aroganckich nadętych
- jego wielbicieli jakiá jest w stu procentach junkierja pruska.
- Niech pan będzie z niemi ostróżny!
- Czy pan zalicza do nich również i Wangenheima.
- O nie Wangenheim to wyjątek to jedyny przyzwoity człowiek i on i
- jego rodzina.
- Czy pan ich zna spytał badawczo
- Odrzekłem twierdzocą zaznaczając że jestem serdecznie zaprzyjaźniony
- z tą rodziną.
Musiałem poczerwienieć jak burak.
- Wcale się panu nie dziwię - rzekł z uśmiechem, niestety obawiam
- się że i tego zacnego człowieka wykończą moi przyjaciele. Junkrzy
- pomorscy.
- Bismarck pozostawił po sobie straszną spuściznę ideową , zmienił
- psycholoǵję niemców , ale pomówimy o tem wieczorem przy kominku
- teraz ruszajmy bo dzień jest krótki.
Wyjechaliśmy szeroką aleją w pole.
Był cichy szary dzień jesienny. Niskie chmury wisiały nad ziemią.
Kolejką przenośną zwożono z pól buraki so sąsiedniej cukrowni.
W powietrzu czuć było ostry charakterystyczny zapach kiszonych wytłoków
Zieleniały runie pięknie wyrzędowanej oziminy okolonej gdzieś na horyzoncie ciemną smugą lasu.
Objechaliśmy obory, stadninę , owczarnie , chlewnie . Zatrzymaliśmy się dłużje na stacji nasiennej i czyszczalni nasion zaopatrzonej w najnowsze narzędzia.
Notowałem skrzętnie wrzystkie uwagi gospodarza i odpowiedzi na moje zapytania.
- Widzę że pan robi całą ankietę ekonomiczną rzekł z uśmiechem go-
- spodarz.
Był już mrok gdyśmy wrócili do domu.
Siedzielśmy w półmroku przed palącym kominkiem przy filiżance herbaty. Mój gospodarz rozgadał się na dobre.
Słuchałem z zaciekawieniem jego wywodów na temat stosunków panujących

w Niemczech i w Anglji. o nowych metodach uprawy , chowu zwierząt a szczegulnie koni.
- Nie znoszę tego kraju i tych ludzi , ale nie mogę im nie przyznać
- że rolnictwo stoi tu znacznie wyżej niż w Anglji,którą uważam za
- moją prawdziwą ojczyznę.
- Zresztą żyję tu jak prawdziwy samotnik nie widując zgoła nikogo.
- Czy hrabia sądzi? spytałem,że niemcy pod względem produkcji są samowystarczalne?
-- Jeżeli mam mówić o konsumcji to po zwycięskiej wojnie 1873 roku
- Niemcy a szczegulnie berlińczycy oddali się takiemu obżarstwu o
- jakim ludzie innych krajów nie mają pojęcia.
- Berlińczyk nie je już chleba ani ziemniaków żeby mieć w swoim brzuchu
- miejsce na homary , ostrygi i młode kurczęta.
- Sie essen nicht aber fressen / oni nie jedzą a żrą / dodał z uśmiechem
Ale żart na stronę - ciągnął dalej mój rozmówca. sądze że niemcy są samowystarczalne pod względem mięsa / świniny / i poniekąd nabiału mają wreszcie nadprodukcję ziemniaków, natomiast wątpię czy można było by się obejsc w tym kraju bez dowozu zboża szczegulnie pszenicy i pasz treściwych.-
- Ankieta przeprowadzona przez Związek agrarjuszy i przez pańskiego
- przyjaciela Wangenheima mam wrażenie nie odpowiada rzeczywistości i jest mocno naciągnięta , jest wreszcie bardzo tendencyjna i ma na celu wywarcie presji na Rząd dla utrzymania ochronnych ceł na zboże i
- ~~[illegible]~~ wysokich cen wewnętrznych.
- Obawiam się że na tym tle dojdzie tu do poważniejszego starcia po-
- między agrarjuszami a lewicą parlamentarną. Agitacja wśród sfery ro-
- botniczej przybiera na sile
- Nie wiem jakie są tendecje kraju który pan reprezentuje. Sądżę że
- niemcy nie zdecydują się na wojnę celną z kolosem rosyjskim.
Udałem się do siebie aby przed obiadem włożyć zwyczajem angielskim smoking.

Byłem bardzo zmęczony i z radością przyjęłem około 10 propozycję gospodarza udania się na spoczynek.
Na odchodnem hrabia Arnim niby od niechcenia ostrzegł mnie.
- Mój drogi panie , mieszkamy w dawnym klasztorze . dzieją się tu
- czasem różne dziwne rzeczy. Myśmy się z tem otrzaskali i nie zwracamy
- uwagi , gdyby Pan jednak spotkał w nocy na korytarzu postać mnicha który ukazuje się dość często,to najlepiej niech pan ustąpi mu drogą
- i nie zaczepia go .
Szczęśliwie nie miałem ani potrzeby ani ochoty wychodzenia na korytarz i zamknąwszy drzwi na klucz zasnęłem snem kamiennym.

Dopiero wejscie służącego ze śniadaniem i gazetami porannemi obudziło mnie..
Po wczesnym lunchu pożegnałem mego gospodarza.
- Radzę panu niech pan nie wspomina junkrom o swojej bytnosci u mnie
- bo gotowi i pana zbojkotować rzekł ze śmiechem .... no naturalnie
- za wyjątkiem Wangenheima .... no i Fraulein Cecilie....
- Przyszlę panu zaproszenie na jesienne polowanie .
- Niech pan nie zapomina o samotniku z Nassenheide.
- Farewell my young friend , farewell.
Konie ruszyły.

NaA ZEBRANIU KÓŁKA ROLNICZEGO

Gdzieś w Marchji Brandeburgskiej leży nad jeziorem miasteczko Rheinstein , ongiś rezydencja Fryderyka Wielkiego.
Nie wiem jakiej okoliczności zawdzięcza ta niegdyś słowiańska osada położona wśród borów sosnowych i piasków brandeburgskich w niczem nie przypominająca malowniczych brzegów Renu swoją dzisiejszą nazwę.
Przypuszczam że była to fantazja starego Fryca.
Któregoś dnia na późnej jesieni znalazłem się tam na walnym zebraniu miejscowego kółka rolniczego.
Sala miejscowej kooperatywy rolniczej była szczelnie zapełniona gęsty dym cygar unosił się w powietrzu.
Wysłuchałem sprawozdanie zarządu, uchwalenie prèliminarza budżetowego, [redacted] odczytu o nawozach zielonych wygłoszonego przez instruktora rolniczego , wreszcie asystowałem przy dość burzliwych wyborach władz.
Muszę przyznać z całą bezstronnością że przebieg dyskusji był rzeczowy i świadczył o wysokim wyrobieniu członków kółka, składającego się w lwiej części z zamożnych chłopów brandeburgskich.
Z rozmów wywnioskowałem że przeciętna wielkość gospodarstw chłopskich waha się tu od 50 do 120 ha co odpowiadało mniej więcej własności folwarcznej.
Spytałem jednego z Bauerów o drobnych gospodarstwach.
Wzruszył pogardliwie ramionami.
- A tak niestety mamy ich aż zawiele. To nie są rolnicy to są proletarjusze.
- Na naszych glebach brandeburgskich drobne gospodarstwa nie wytrzymują krytyki.
- Sam pan będąc rolnikiem najlepiej osądzi czy może być mowa o racjonalnej hodowli lub płodozmianie na obszarze kilku hektarów.
- Jedynie ludzie nieumiejący odróżnić pszenicy od ziemniaka lub marzyciele socjalistyczni wreszcie różni agitatorowie mogą mówić poważnie o oparciu produkcji na parcelach.
- Wszelkie próby stworzenia jakichś drobnych wzorowych gospodarstw na terenie naszej prowincji zawiodły. Ani nasz klimat ani nasza gleba nie nadają się do tego rodzaju eksperymentów.
- To nie jest nadrenja ani holandja gdzie można hodować winorośle lub tulipany to są Prusy.
- My nie zamykamy naszych drzwi drobnym rolnikom , niech uczą się od nas , niech z nami współpracują ale niech nie uprawiają wrogiej nam polityki.
- Niestety w wielu wypadkach stajemy bezradni. Taki właściciel parceli zwraca się po radę jak ma podnieść gospodarstwo na swoich czterech hektarach, cóż można poradzić nieuleczalnie choremu , chyba mu życzyć rychłej śmierci. Żadna siła ani mądrość nie uzdrowi karłowatego gospodarstwa.
-Taki pan , gdy otrzyma i zabuduje parcelę przedewszystkim zapuści glebę mówiąc językiem rolniczym zagłodzi ją potem zagłodzi swoją krowę i konia a wreszcie zagłodzi siebie i rodzinę i zacznie kraść.
- Bo co ma robić.

Nie mój panie aby uzdrowić stosunki trzeba przedewrzystkiem zlikwi-
- dować chore gospodarstwa gdyż są one rozsadnikiem wszelkich elemen-
- tów rozkładowych.
- A czy nie można ich zatrudnić w większych gospodarstwach spytałem.
- Panie - rzekł mój rozmówca - taki małorolny będzie uważał za osobi-
- stą zniewagę gdybym np zaproponował bym mu pracę na mojej osadzie
- Zresztą my korzystamy z taniego a doskonałego robotnika sezonowego
- z Polski.
- No a gospodarstwo drobiowe - spytałem.
Mój rozmówca wybuchnął śmiechem
- Odpowiem panu starym przysłowiem
- Wer arm will werden und weiss nicht wie
- Der halte nur an Federvieh.
Niech pan sprobuje porozumieć się i znaleźć wspólny język np z tym młodym panem z opozycji , dowie się pan od niego ładnych rzeczy.
Skorzystałem z przerwy i podeszłem do młodego człowieka siedzącego w rogu sali. Zaczepiłem go pytając o jego gospodarstwo.
Muszę przyznać że zrobił na mnie sympatyczne wrażenie. Odpowiadał na moje pytania spokojnie i uprzejmie.
Dowiedziałem się że ma zaledwie 3 hektary ale rzecz oczywista że nie mógł by wyżyć z tego , pracuje jednocześnie jako robotnik na fabryce a żona ze starym ojcem dogląda gospodarstwa.
Ja lubię wieś i to jest moja największa przyjemność a ci panowie tu wskazał na salę i prezydjum chcieliby mnie pozbawić tego i wyrzucić na bruk miejski
- Mówią mi że nie umiem gospodarzyć. Niech by mnie dali tyle ziemi co
- oni posiadają to bym pokazał dopiero co umiem.
- Niech pan nie wierzy wrzystkiemu co oni mówią. Bogaty chłop niemiecki
- jest jeszcze gorszy od barona . on traktuje ludzi jak bydło.
- Ziemianin nawet często i poradzi i pomoże ale taki Grossbauer to
- nie ma odrobiny serca . Zresztą jeżeli z nich ktoś pracuje społecz-
- nie to tylko większy właściciel rolny on zakłada kółka rolnicze on
- często ofiaruje nawet ziemię na cele społeczne, ale chłop to obedrze
- Ja jestem socjalistą ale niech mnie pan wierzy że naszym głównym
- wrogiem nie jest ziemianin ale bogaty chłop niemiecki
To nie my ale to oni jak się podchmielą śpiewają
- Weg mit Herrn Baronen
- Sei sie Deutsche oder Polen
- Alle soll der Teufel holen.
Tak mój Panie - rzekł do mnie - niech pan im nie wierzy.
Podaliśmy sobie na pożegnanie serdecznie rękę.
Po zakończonych obradach znalazłem się w sali jadalnej hotelu " Pod Czarnym Orłem przy stoliku zarezerwowanym dla notablów miejscowych / Stammtisch /
Towarzystwo składało się z Förstera / leśnika / z parą nieodstępnych jamników , instruktora rolniczego , aptekarza , właściciela sklepu rzeźnickiego i miejscowego nauczyciela. wreszcie kilku osób których godność pozostała mi nieznaną.
Było gwarno , ciepło , duszno od dymu cygar.
Po spożyciu Gänsebraten mit Apfelmuss / Pieczystego z gęsi z musem jabłecznym/, zapaliliśmy cygara i usiedliśmy przy kuflu gęstego monachijskiego piwa
Przysłuchiwałem się z ciekawością rozmowom sam zachowując dyskretne

milczenie.
Wrzyscy moi współbiesiadnicy za wyjątkiem instruktora rolniczego okazali się weteranami wojny franko pruskiej, gorliwemi zwolennikami polityki " Drang nach osten " i wielbicielami Bismarcka.
Skorzystałem z pierwszej okazji aby opuścić te miłe towarzystwo i wyjść na świeże powietrze.
Instruktor rolniczy pośpieszył za mną.
- Mam wrażenie że pan nie czułsię bardzo dobrze w tym towarzystwie
- spytał.
Wzruszyłem ramionami.
- To jest typowa atmosfera naszych pruskich prowincjonalnych miaste-
- czek - rzekł. Jestem rodem z nadrenji i marzę aby coprędzej wydo-
- stać się z tego okropnego pruskiego środowiska.
- Niestety ten właśnie typ ludzi których pan spotkał przeważa w
- w tym kraju.
Wróciłem do hotelu gdzie długo nie mogłem zasnąć. Dochodziły do uszu moich hałasy z dołu i głośne śpiewy " Deutschland , Deutschland Uebrr alles i entuzjastyczne okrzyki " hoch .
Po bezsennej nocy wróciłem pierwszym pociągiem rannym do Berlina.

M A Z U R E K   D A B R O W S K I E G O

zaproszenie

Edward Meysztowicz i ja otrzymaliśmy od dowódcy pierwszego pułku piechoty gwardji imienia Cesarzowej Augusty na obiad wieczorny do kasyna oficerskiego tego pułku.

Ubrani we fraki stawiliśmy się na oznaczoną godzinę. Zastaliśmy już tam młodego hr Ledebura z ambasady austrjackiej.

Było nas trzech cywilów i czuliśmy się dość niewyraźnie wśród kilkunastu oficerów ubranych w galowe mundury.

Dowódca pułku z wyszukaną grzecznością zapoznał nas po kolei z korpusem oficerskim. Przydzielono do każdego z nas młodego oficera jako " cicerone ".

Miałem wyjątkowe szczęście bo znalazłem się pod opieką młodego v. Kempis , katolika i ziemianina z nadrenji gdzieś z okolic Bonn

Zaprzyjaźniłem się z nim następnie a w czasie pierwszej wojny światowej wróciwszy do siebie do Syłgudyszek pod okupacją niemiecką ku memu zdumieniu spotkałem się z nim w sąsiedniej Ucianie gdzie pełnił obowiązki Kreishauptmana mieszkając w Jassanach dawnym majątku mego stryja Stefana.

W owych to ciężkich chwilach mego życia okazał się dla mnie prawdziwym i lojalnym przyjacielem broniąc i pomagając mnie często z narażeniem własnego stanowiska.

Zasiedliśmy do stołu w obszernej wykładanej ciemnym dębem sali jadalnej

Na przekąskę podano nam do stołu kawior. Podziwialiśmy świetną kuchnię i wspaniałą zastawę stołu. O ile menu było urozmaicone o tyle dobór win był raczej jednostronny. .. Champagne parteux

Od początku do końca obiadu piliśmy szampana modnej w owym czasiea a protegowanej przez Wilhelma marki Heidsick monopol. Osobiście nie należę do amatorów szampana i wolałbym dobry kieliszek wina reńskiego od tej limonjady.

Pod koniec obiadu . Dowódca powstał a z nim wrzyscy .

" Zdrowie cesarza zawołał podnosząc kielich. Trzymając przepisowo kieliszki na wysokości piersi wypiliśmy zdrowie Wilhelma . Po trzykrotnym hoch wysłuchaliśmy hymn niemiecki.

Nastepnie przyszły toasty w cześć Cesarza rosyjskiego. Dowódca i oficerowie zwrócili twarze i kieliszki w naszą stronę jako członków rosyjskiego korpusu dyplomatycznego wreszcie w cześć Cesarza austro węgier Tym razem Ledebur był przedmiotem owacji. Hymnem autsrjackim " Gott erhalte , Gott geschütze unsern guten Kaiser Franz zakończono oficjalną część obiadu.

Jakież było nasze zdumienie gdy dowódca pułku powstał z miejsca z kieliszkiem w ręku i dał znak orkiestrze . Rozległa się dziarska melodja " Jeszcze Polska nie zginęła.

- Ihres speciel " zawołał dowódca podnosząc kieliszek i patrząc w naszą stronę. - Hoch . - Hoch odpowiedzieli zgodnym chórem oficerowie.

W owych czasach wsród niemców należących do pewnej sfery towarzyskiej zdarzały się jeszcze odruchy rycerskie.

Wątpię czy by to było do pomyślenia za rządów Hitlera .

Przesiedzieliśmy do północy przy czarnej kawie i likierach słuchając z zaciekawieniem różnych opowiadań i dykteryjek z życia berlińskiego.
Nie mogłem zauważyć wśród zebranych oficerów wielkiego entuzjazmu dla osoby Wilhelma.
Wpuściliśmy kasyno w towarzystwie v. Kempisa i kilku młodych oficerów.
- Zatrzymajcie się panowie na chwilę, zanim zdejmiemy nasze galowe
- mundury a potem pójdzmy gdzieś wrzyscy razem.
Wkrótce zjawili się z powrotem ubrani po cywilnemu
Zwyczajem niemieckim zakończyliśmy nad ranem nasze wycieczki po nocnych kabaretach Berlina w piwiarni Hofbrau na Leipziger str. kuflem ciemnego monachijskiego piwa i parówkami.

Przesiedzieliśmy do północy przy czarnej kawie i likierach słuchając z zaciekawieniem różnych opowiadań i dykteryjek z życia berlińskiego.
Nie mogłem zauważyć wśród zebranych oficerów wielkiego entuzjazmu dla osoby Wilhelma.
Opuściliśmy kasyno w towarzystwie v. Kempisa i kilku młodych oficerów.
- Zatrzymajcie się panowie na chwilę, zanim zdejmiemy nasze galowe - mundury a potem pójdzmy gdzieś wrzyscy razem .
Wkrótce zjawili się z powrotem ubrani po cywilnemu
Zwyczajem niemieckim zakończyliśmy nad ranem nasze wycieczki po nocnych kabaretach Berlina w piwiarni Hofbrau na Leipziger str. kuflem ciemnego monachijskiego piwa i parówkami.

N A Z J E Z D Z I E S O C J A L I S T O W

Mój szef Timirfaziew zakomunikował mnie że za parę dni ma się odbyć [illegible] we Frankfurcie zjazd niemieckiej partji socjalistycznej
- Na zjeździe rzekł będą prawdopodobnie podjęte uchwały dotyczące
- przyszłego traktatu handlowego. oraz podniesienia cen wewnętrznych
- na zboże. Dobrze było by wysłuchać obie strony. Czy Pan by się nie
- zgodził pojechać do Franfurtu i być obecnym na tym zjeździe.
- Dowiemy się zapewne różnych ciekawych rzeczy.

Nie bardzo mi się uśmiechała wycieczka i rola obserwatora ale z drugiej strony byłem zaciekawiony nieznanym mnie środowiskiem i przebiegiem obrad.

Przypomniałem słowa ś.p. Pana Józefa Montwiłła który zwykł był mówić że " kto do lat dwudziestu nie był za młodu choć trochę socjalistą ten nie miał serca, ale ten kto po 30 latach pozostał socjalistą ten nie miał głowy.

Osobiście nie przechodziłem za młodu " odry socjalizmu , a nie wstydzę się przyznać że po przewertowaniu " Kapitału " Marksa nabrałem nieprzezwyciężonego wstrętu do tej teorji .

Nie przeszkadzało to że w swoim życiu spotykałem wśród socjalistów wielu zacnych ludzi a niejednokrotnie współpracowałem z niemi bardzo owocnie na różnych odcinkach pracy społecznej.

Zastanawiała mnie zwykle ich mentalność której ani zrozumieć ani wyczuć nie potrafiłem. Czułem że między mną a temi ludźmi jest jakaś płyta szklana która nas rozdziela.

Wyjechałem z Berlina rannym pociągiem idącym na Halle i Erfurt do Franfurtu.

Zatrzymałem się w hotelu " Frankfurter Hof i dnia następnego bez żadnych trudności dostałem kartę wstępu na zjazd wraz z kokardą czerwoną , która przezornie wrzuciłem do pieca.

Byłem przygotowany na najgorsze i przypuszczałem że znajdę się wśród rozagitowanego tłumu robotników, że zobaczę wzniesione groźnie wgórę pięści , rozczochrane włosy i rozpalone namiętnością oczy.

Jak że byłem zdziwiony gdym się znalazł w sali zapełnionej spokojnym , przyzwoicie ubranym audytorjum przypominającym swym zewnętrznym wyglądem niemiecki middle class' , palącym cygara i popijającym z wielkich kufli piwo.

Na estradzie udekorowanej czerwienią siedziało paru jegomości [illegible] podobnych raczej do pastorów niż do przywódców proletarjatu

Trafiłem na początek przemówienia.

Z mównicy przemawiał jakiś pan o nieco semickim wyglądzie , jak się dowiedziałem był to towarzysz Vollmer. Mówił spokojnym miarowym głosem
- Ob die Bauern leicht oder schwer zu kriegen sind sie müssen gewonnen werden , den die Eroberung der Politischen Macht ist ohne die
- landliche Bevolkerung nicht möglich.
- Czy to nam przyjdzie łatwo czy trudno , musimy za wszelką cenę
- zyskać chłopów gdyż bez ich udziału ludności wiejskiej nie zdołamy
- osiągnąć potęgi politycznej.
- Nie jako bogatego pełnorolnego chłopa , ale jedynie jako [illegible]

proletArjuszA

pozbawionego roli będziemy zdolni przyciągnąć go do siebie, naszę zwycięstwo zależy od zupełnego zubożenia ludnosci wiejskiej.

-Nie wielki własciciel ziemski ale własnie ów bogaty konserwatywny
- chłop niemiecki jest naszym najgorszym wrogiem.
- Widzimy , ciągnął dalej mówca , dwa wyraznie zarysowane prądy i dwie zów
- grupy te nasze stronnictwo socjlno demokratyczne i stronnictwo agrarju.
- prowadzone przez Wangenheima. Nie bagatelizujmy sobie tego naszego
- wroga ani jego przywódcy.
- Szczęśliwym dla nas Zbiegiem okoliczności znaczna grupa arystokracji
- niemieckiej zaangażowana w przemyśle i zależna od kapitału międzynaro-
- dowego zwalcza potajemnie agrarjuszy. Tych naszych tymczasowych sprzy-
- mierzeńców potrafimy z łatwością zlikwidować po odniesionym zwycięstwie
- Nasi posłowie będą głosować przeciwko projektowanemu przez agrarjuszy
- projektowi umowy celnej z Rosją. będą głosować przeciwko wszystkiemu
- co może wpłynąć na podniesienie dobrobytu stanu chłopskiego.

Mowa ta wypowiedziana spokojnym tonem pozbawionym wszelkich momentów uczuciowych uderzyła mnie swojm zimnym wyrachowanym charakterem, swoją potworną bezlicowością.

Zapamiętałem ją dobrze na całe życie , była ona czemś, co ostatecznie przechyliła szalę moich przekonań na inną stronę.

Zrozumiałem że za tą czerwoną kurtyną mającą symbolizować " robotników krew " rozpościera się jakaś bezgraniczna jałowa pustynia ideowa , pustynia w której człowiek jako coś, co jest stworzone na obraz i podobieństwo Boga, ginie bezpowrotnie a z nim ginie wszelka wolna i nieprzymuszona wola ,wszelki samodzielny wyczynek pracy czy genjuszu ludzkiego.

Ludzie zmianiają się w bezduszne stado pędzone z całą bezwzględnoscią przez nieliczną grupę ambitnych przywódców.

Zrozumiałem też, że nasza klasa uprzywiljowana ma oczy i uszym zatknięte watą i dobrowolnie zmierza ku przepaści która wcześniej czy później ją poc[illegible]

Klasy uprzywiljowane zignorowały filozofję i etykę chrzescianską i poszły na pasku fałszywych proroków

M[illegible]

pra[illegible]

Czyśmy coś z siebie dali dobrowolnie . byliśmy ślepi i na nędzę i na niedolę ludzką. Uderzmy się w piersi. Każdy grosz , każdy najmniejszy dodatek trzeba było od nas sytych , ubranych a korzystających ze wszystkich błogosławieństw życia na ziemi wydzierać przemocą.

I przypomniały mi się teraz gdy to pisze, prorocze słowa naszego wielkiego pisarza.

" Wiry , wiry i to piaskowe, piasek zasypuje Polskę całą i zamienia ją w pustynię na której się rodzić będą chyba szakale.....

Jestem wrogiem socjalizmu ale przyznać muszę że nikt inny tylko my sami torowaliśmy dla niego drogę.....

Trafiłem na pociąg wieczorna do Berlina W wagonie restauracyjnym natknąłem się na wczorajszego mówcę. Obrońca uciemiężonych zasiadł po trudach dnia przy dobrze zasłużonym a sutym posiłku i kieliszku perlistego Rheingold. Po skończenej kolacji zapalił cygaro a przy czarnej kawie i kieliszku złocistego Benedyktynu pogrążył się w rozmyślaniach na temat proletaryzacji wsi niemieckiej.

Następnego wieczora siedziałem przy kominku w otoczeniu rodziny mego szefa słuchając nocturnów Shopin'a. Timiriaziew wstał od fortepjanu przysunął fotel wpatrzony w czerwone zarzewie i milczał.

Zwrócił się wreszcie do mnie prosząc bym go poinformował o mojej wycieczce.

Wysłuchawszy mojego sprawozdania spoważniał.
- Co Będzie jeżeli zaraza socjalna i komunizm ogarnie Rosję.
- Będzie to bardzo podatny grunt.
- Rosja - mój panie to głębokie ciemne morze , my inteligencja jesteśmy
- jeno cienką powłoką lodową na tymh [illegible] głębiach . Jakie rzeczy
- niespodziewane jakie potwory kryją się w tych otchłaniach wodnych.
- przewidzieć trudno.
- Jeden silniejszy podmuch skruszy, jak nic, tę warstwę i rozpęta burzę
- jakiej jeszcze świat nie widział. Będzie to drugi potop który zaleje
- swą mętną falą cały dorobek wieków i zamieni swiat w pustynię.
- Jak panu wiadomo jestem z przekonań " Zapadnik " / człowiek hołdujący
- kulturze zachodniej/ jestem liberałem ale przychodzę coraz częściej
- do smutnego przykonania, znając naród rosyjski, że ta nasza znienawi-
- dzona biurokracja , że „czinownik i żandarm"to bodaj jeszcze coś naj-
- lepszego na co zdobył się naród rosyjski. obawiam się że przwida/
czasy kiedy naród rosyjski odsłoni swe właściwe oblicze a wówczas rządy carskie będą się wydawać rządami aniołów.
- Niestety inteligencja resyjska trawi czas na jałowych rozprawach i
- " pryncypjalnych sporach " i chowa głowę w piasek myśląc że jakiś
- cud niebezpieczeństwo oddali.
-Nie łudźmy się że to niebezpieczeństwo nie przyjdzie. Wcześniej czy później
- ono przyjść musi.
- Miejmy jednak nadzieję że ani pan ani ja nie dożyjemy tych czasów.
- a tymczasem używajmy życia pod osłoną „czinownika i policjanta"......
dodał z ironją w głosie.

Przepowiednie Timiriaziewa spełniły się w całej grozie , niestety niec wcześniej niż przypuszczał.
Exelencja Timiriaziew był jedną z pierwszych ofiar zamordowanych po przewrocie bolszewickim w twierdzy Petropawłowskiej.

A R Y S T O K R A T Y C Z N E   P O D E S Z W Y

- Mój drogi , rzekł Meysztowicz , idziemy w jedną stronę zajdź
- ze mną do mego szewca.

Zauważyłem że mój przyjaciel był w nastroju ponurym, nie pytałem jednak dyskretnie o powody jego czarnego humoru.

Zaszliśmy na Unter den Linden do jednego z najbardziej wówczas modnych i kosztownych zakładów szewieckich.

- Proszę przyjrzeć się moim podeszwom rzekł do subjekta , podnosząc po kolei obie nogi.
- Widzę - odpowiedział subjekt - obie podeszwy są dziurawe.

Meysztowicz poczerwieniał z gniewu.

- Jak to, spytał - po dwuch tygodniach noszenia-dziury i pan nie widzi
- w tem nic nadzwyczajnego?
- Aber , Herr Graff, odrzekł z całym spokojem subjekt , pan zapewne
- przez pomyłkę obstalował obuwie w naszym zakładzie.
- Naszą klientelą są wyłącznie sfery arystokratyczne , które zwykły
- jezdzić powozem i własnemi końmi.
- Damy panu tym razem nowe podeszwy [redacted] , ale
- prosimy w celu uniknięcia dalszych nieporozumień by pan na przy-
- szłość był łaskaw udać do firm wyrabiających obuwie [redacted]
- dla osób nie posiadających innych środków lokomocji oprócz pary
- własnych nóg. Takich zakładów nie brak w Berlinie.
- Co za bezczelność! mruknął pod nosem mój przyjaciel opuszczając
- pośpiesznie sklep.
- Nie ma rady pocieszałem go . Powinieneś moim zdaniem w celu zaoszczę-
- dzenia tych arystokratycznych podeszew nabyć parę koni , karetę a na
- kozłach usadzić wyliberjowanego stangreta.

Rozstaliśmy się tym razem dość zimno.

T R E S O W A N E   F O K I

Na początku Grudnia przyjechała do Berlina delegacja złożona z kupców i przemysłowców moskiewskich w celu nawiązania kontaktu z przemysłem niemieckim.

Nasz szef Timiriaziew zwrócił się do Meysztowicza i do mnie z prośbą abyśmy wzięli na siebie odcinek życia towarzyskiego delegacji i dopomogli mu w bawieniu gości oraz zaopiekowali się [redacted] w czasie [redacted] wycieczek krajoznawczych po nocnych lokalach Berlina [redacted] postarali się utrzymać na wodzach szeroką słowiańską naturę i zapobiegli wszelkim publicznym ekscesom mogącym przynieść uszczerbek powadze delegacji.

Przewodniczącym delegacją był Konowałow, znany przemysłowiec moskiewski który później był posłem do ostatniej dumy i wybitnym członkiem klubu " pazdziernikowców" wreszcie Ministrem Przemysłu i Handlu za czasów rządu tymczasowego, było [redacted] po za tem kilku poważnych przemysłowców jak młody Morozow, jak Sawinkow, ludzi o kulturze zachodniej , wychowanych na uniwersytetach zagranicznych.

Ta część delegacji spędzała wieczory w hotelu przygotowując różne materjały do rozmów z kontrahentami niemieckiemi.

Natomiast reszta zespołu delegacji składała się przeważnie z ludzi domowego chowu. Kilku z nich po raz pierwszy w życiu wyjrzało po za granice matuszki- Rosji . Od pierwszej chwili postanowili oni wykorzystać w całej pełni swój pobyt w Berlinie , pozostawiwszy pracę swoim towarzyszom.

Przez pierwsze dwa wieczory wywiązaliśmy się pomyślnie z naszej misji , utrzymaliśmy w należytych cuglach naszych pupili i odstawiliśmy [redacted] o dość wczesnej porze, jakoś zaraz po północy, do hotelu.

Na nieszczęście uszło naszej uwagi że portjer hotelowy zapoznał [redacted] przybyszów z topografją nocnego Berlina a na dobitek wsunął im kilka adresów i programów kabaretowych.

W owym czasie sensacją berlina była " Venus im Pelz / Venus w futrze / w którymś z nocnych kabaretów na Französischer Strasse

Na scenie [redacted] się piękna dama otulona w futro sobolowe i po prześpiewaniu paru kupletów zręcznym ruchem zrzucała ze swych ramion płaszcz i ukazywała się w całej swej okazałości nie mając na sobie dosłownie nic nawet klasycznego listka figowego.

Zaszedłszy wieczorem do hotelu znaleźliśmy nasze towarzystwo ubrane w smokingi i wyczekujące niecierpliwie naszego przyjścia.

Byli już pod dobrą datą .

- Pan Jałowieckij - gołubczyk - zwrócili się do mnie - pojedziem
- zobaczyć tę ichnię venus. Nigdy my po prawdzie żywej venus nie
- widzieli a tut jeszcze w szubie - wot tak sztuka. - pojedziem!

zawołali zgodnym chórem.

Zamówiliśmy telefonicznie lożę niedaleko sceny w obawie że na sali mogło by czasem dojść do jakichś nieporozumień pomiędzy szeroką ruską naturą a publicznością.

Siedliśmy w loży popijając szampana w oczekiwaniu ukazania się Venus jako głównej atrakcji przedstawienia.
Na scenę wyszła przystojna blondynka otóllona w futro. i zaśpiewała dość dzwięcznym głosem kilka piosenek kabaretowych.
- Tak coż to za Venus, zauważył jeden z naszych towarzyszy , to
- zwyczajna piewica / śpiewaczka / u nas w Moskwie takim to i
- rachunku nie ma .
Wreszcie nadeszła chwila zrzucenia płaszcza .
Zgromadzona na sali publiczność przyjęła głośnemi oklaskami aktorkę
Na twarzach naszych gosci widać było wyraźne oznaki zgorszenia.
- Tfu , rzekł wreszcie jeden z nich, -jednym słowem skandal.
- Płacisz pieniądze , pijesz szampanskie, a wot tut tebie na scenie
- pokazują gołą babę. ... jak w bani , a publika tak tut jeszcze
- bije brawo,
- Tut nie brawo , rzekł drugi - a wot babie policejskij protokoł
- napisać za naruszenie publicznego porządku i błagonrawja.
- Nigdy ja, jako wzrosły, do babskiej bani nie chodził , a jak kiedy,
- za młodu bywało popatrzył w okno, tak nasze baby taki krzyk podniosły że słychać było w całym siole. a dlaczego bo one wstyd mają.
- A ta [redacted] dla niej wrzystko " tryń trawa , wprost po na-
- szemu " bezsowiestnica " / bezwstydna/ a jeszcze gada że Venus.
- Widział venus w muzei ale tam, tak ona przybrana w mramor i [redacted]
- gałązka trzyma w jednaj ręce w drugiej ławrowy liść..........
- Nu nie daj Boże żeby moja Tatjana Iwanowna nas w takim obszcze-
- stwie zobaczyła tak poszedł by skandał na całe Moskwe, a mnie [redacted]
- tak na fizjonomji jajecznicę by rospisała.
- Pan Meysztowicz, pojedziem my k czortu z tego predstawlenja w
- inne miejsce .
Zapłaciliśmy rachunek siedliśmy do dorożek i za kilka minut znaleźliśmy się na sali Wintergartenu przy stoliku i paru butelkach szampana.
Na scenie ukazał się conferencier
- Panowie i panie, oznajmił, mam zaszczyt przedstawić panom tego
- oto szlachetnego syna pustyni rzekł wskazując ręką [redacted] na jakiegoś ubranego w pasiaty strój
- arabski jegomoscia.
- Nasz znakomity gość który zaledwie od paru dni jest w stolicy
- zaznajomi państwa z tajemną wiedzą magów wschodnich.
Towarzysze nasi westchnęli z ulgą.
- Wot tut tak prawdziwe predstawlenje a nie żadna venus. I arab tu
- sam nastojaszczij, wprost jak by z poezji Puszkina co my izuczali
- na pamięć w komierczeskom uczyliszcze.

- Powiedz gałązko Palestyny
-Gdzie rosłaś ty , gdzie kwitłaś ty

zadeklamował głośno.

Numerem następnym były tresowane foki któremi kierowała mistrzowsko jakaś młoda niewiasta o kształtach obfitych opiętych w męski strój szamerowaną kurtkę , obcisłe spodnie i długie palone buty na nogach.
Zachwyt ogarnął moich towarzyszy.
- Nu takiej sztuki ja poprawdzie nigdy w życiu nie widział , rzekł
- jeden z nich, przyszło sie widzieć tresowane lwy a nawet świnie
- w cyrku Ciniselego , ale żeby takie morskie stworzenie jak
- tiuleń / foka / zobaczyć na scenie tak oczom własnym nie chce się
- wierzyć.
- Nu i ta diewica co robi tresirowke to prosto powiedzieć miłaszka
- wprost chciał by człowiek wskoczyć na scene i rozcałować i tiule-
- nia i miłaszkę.
Ujrzałem z przerażeniem że nasz przyjaciel powstał ze swego miejsca i trzymając w dłoni garść banknotów stumarkowych, chwiejnym krokiem skierował się ku scenie.
W ostaniej chwili zdążyliśmy przytrzymać go za poły.
Skończyło się wreszcie na zaproszeniu araba i poskromicielki fok do naszego stolika.
Goście nasi zarządali aby do stolika przyprowadzono również " tiulenia ofiarując za to 500 marek.
Ledwośmy wspólnie z dyrekcją zdołali wytłumaczyć im że " tiuleń " nie może przez czas dłuższy obejscie się bez wody.
- Nu a żeby wykąpać " tiulenia " / fokę / w szampanskom zaproponował jeden z gości.
- Um Gottes Willen - zawołał przerażony dyrektor wintergartenu chwyciwszy się za głowę.
Przesiedzieliśmy w tym miłym towarzystwie aż do późnej nocy.
Przy pożegnaniu dowiedzieliśmy się że " szlachetny syn pustyni " urodził się nie na Saharze a w Homlu i że jego właściwe nazwisko jest " Rabinowicz ". co zaś do " miłaszki ", to była ona łotyszką rodem z pod Windawy.
Mieliśmy już dosyć całej zabawy i oswiadczyliśmy naszemu szefowi nasze niezłomne postanowienie zrzeczenia się niewdzięcznej roli oficjalnych cicerenów ambasady.

P R A K T Y K A   W   M L E C Z A R N I

Zbliżały się Swięta Bożego Narodzenia. Musiałem dobrze przysiedzieć fałdów aby zakończyć w porę terminową pracę rolniczo statystyczną powierzoną mi przez Timiriaziewa.

Wypełniłem to dość skomplikowane zadanie ku zadowoleniu mego szefa i w nagrodę dostałem kilkutygodniowy urlop.

Choć ciągnęło mnie do domu a perspektywa samotnych świąt nie bardzo mi się uśmiechała , zdecydowałem wykorzystać ten urlop i odbyć kilkotygodniową praktykę w Instytucie Mleczarskim w Hammeln pod Hanowerem.

Dostałem list polecający do dyrektora instytutu prof Vietha i pewnego dnia ubrany w niebieską bluzę i takiż fartuch w drewnianych trepach na nogach znalazłem się w kotlarni podwożąc taczką węgiel do kotłów parowych i pilnując ciśnienia pary pod okiem maszynisty.

Przeskok z atmosfery berlińskiej przyznaję był bardzo raptowny i z trudem nagiąłem sibie do ciężkiej pracy fizycznej. Ze względów taktycznych postanowiłem zachować moje incognito nie ujawniając mego oficjalnego stanowiska.

Ponieważ pierwszym etapem praktyki była kotłownia , byłem zmuszony zmarnować parę tygodni na wożeniu węgla, paleniu w kotłach i dopiero po zdaniu egzaminu wobec inspektora okręgowego i uzyskaniu stopnie palacza " Kessel und Maschinen Wärther dopuszczono mnie do tajników określania procentu tłuszczu na aparacie Gerberta, wyrobu masła , oraz wyrobu twardych i miękich serów od śmierdzącego sera Limburgskie go do Brie i Camambert.

Hammeln jest to staroświecka mieścina położona na granicy Teutobur ger Wald w malowniczej pagórkowatej porośniętej lasem bukowym okolicy.

Hammeln jest związane z legendą o " łowcy szczurów z Hammeln " " der Rathenfänger von Hammeln ".

Na jednej z ulic starego miasta w pobliżu ratusza pokazywano dom w którym ongiś miał mieszkać burmistrz miasta , ojciec pięknej córki przedmiotu miłości Rathenfänger'a.

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia od 5 rano spędziłem w serowarni zastępując moich kolegów którzy na ten dzień wyjechali do swych rodzin.

Pracowałem za trzech przy olbrzymich kotłach napełnionych mlekiem które następnie trzeba było ściąć na twaroh za pomocą " podpuszczki" pokrajać na drobne kawałki , obwinąć w szmaty nadając forme serów posolić i ulokować pod prasą.

Pod koniec dnia upadałem już ze zmęczenia i napół przytomny wróciłem do domu aby się przespać i przebrać na wieczór do mojej gospodyni wdowy , matki dwuch miłych podlotków.

Zapalono choinkę , były tańce, śpiewy , gry , wręczanie wzajemne upominków. Byłem wdzięczny tej poczciwej rodzinie że mogłem spędzić ten wieczór w miłej naturalnej atmosferze a nie tułać się samotnie z memi myślami po mieście.

Około północy wyszliśmy wrzyscy na przechadzkę. Dnia poprzedniego wypadł śnieg , okrył białą szatą ulice i dachy domów. gdzieś w ciemnych głębiach iskrzyły się gwiazdy . Z wież kościelnych w nocnej ciszy płynął uroczysty głos dzwonów

Wrzystkie okna w mieście jarzyły się setkami zapalonych świeczek a do uszu raz wraz dochodziła dzwięczna melodja kolendy

" O Du selige o du helige ......

Czas mi schodził szybko na pracy w miłej przyjaźnej atmosferze personelu mleczarni i moich kolegów. anim się spostrzegł że zbliżał się koniec mego urlopu i powrót do atmosfery berlińskiej od której zdołałem już odwyknąć.

Skorzystałem wiele z mojej praktyki a między innemi wyszkoliłem się w fabrykacji doskonałych małych serków z mleka separowanego.

Po powrocie do domu zająłem wyrobem tych serów . Wyrobiłem sobie dobry zbyt w Petersburgu i przez długie lata Syłgudyszki dostarczały wśród innych produktów owe serki do wielkiej firmy gastronomicznej Kuźniecowa na prospekcie Newskim.

Zaprzyjazniłem się z rodziną właściciela oberży Zum Rathefanger mieszczoącej się na starym rynku w domu noszącym dumnie datę 1437 gdzie według podania miał w swoim czasie mieszkać Rathenfanger.

Lubiłem spędzać tam zimowe wieczory przy szklaneczcu punczu i palącym się kominku grając w warcaby lub wista z dwoma przystojnemi córkami gospodarza.

Między innemi poznałem kilku ziemian okolicznych i kilka razy korzystałem z gościnności barona von Klenke w jego olbrzymim średnio wiecznym zamczysku położonym na wysokim wzgórzu porosłym lasem bukowym Rozscielał się z okien zamkowych wspaniały widok na dolinę rzeki i czerwieniejące w oddali wieżyce i dachy Hammeln.

Baron von Klenke był zagorzałym hanowerczykiem , nienawidział prusaków i wrzystkiego co pruskie. A opowiadano o nim że każdą kurę lub kaczkę upierzoną na kolory pruskie czarne z białem kazał zarzynać bez miłosierdzia.

Któregoś dnia byliśmy wrzyscy w włos od strasznej katastrofy dzięki głupocie jednego z praktykantów węgra z pochodzenia który zaniedbał włączyć pomkę napełniającą wodą kocioł i doprewdził kocioł prawie do czerwoności . Zauważywszy co się święci chciał otworzyc dopływ do kotła wody. Łatwo sobie wyobrazić co by się stało gdyby na rozpalo ne do czerwonosci rurki i blachę wlano wody. Żaden kocioł na świecie nie wytrzymałby raptownego ciśnienia a eksplozja była by więcej niż pewna. Szczęsliwie maszynista spostrzegł się w porę i chwycił za poły w ostatniej chwili bałwana.

Delikwnet tego samego dnia został wydalony z mleczarni. Nieoczekiwanie dostałem telegram podpisany przez Timiriaziewa i wzywający mnie natychmiast do Berlina. Zachodziłem w głowę o przyczynę alarmu.

Profesor Vieth winszując mnie ukonczenia kursu i wręczając dyplom na technika mleczarskiego dodał z uśmiechem.

- Oboje z panem odegraliśmy dobrze swoje role. Pan zachowując swoje
- incognito a ja nie dając po sobie znać że byłem poufnie zawiadomiony
- przez Pruskie Ministerstwo Rolnictwa o pańskim przyjezdzie.

W LONDYNIE

Z niepokojem w sercu opuściłem Hammeln i tegoż wieczora znalazłem się z powrotem w Berlinie . Dnia następnego w godzinach rannych stawiłem się do mego szefa.
" Na rządanie ministerstwa rolnictw wysyłam pana w pewnej delikatnej misji do
" Londynu - rzekł Timiriaziew - proszę się przygotować do drogi i jutro pierwszym
" pociągiem pośpiesznym wyruszy do Anglji.
" Uprzedzam że misja pańska nie należy do przyjemnych , chodzi o nadużycia popełnio-
" ne przez eksporterów syberyjskich . W ubiegłym miesiącu w transporcie masła wysła
" nym z Kurganu na Uralu znaleziono w beczkach kamienie. Trzeba taktownie i pojedn
" wczo załatwić sprawę . Pieniądze na podróż i pobyt w Londynie są do dyspozycji
" Pańskiej a nasza ambasada w Londynie jest zawiadomiona o przyjeździe pańskim .
" Z pewnych względów pojedzie pan drogą dłuższą na Flissingen i Quensborough a
" potem koleją do Londynu . Po przyjeździe zamelduje się pan do Ambasady , misja
" przypuszczalnie zajmie około trzech miesięcy poczem dam panu kilka tygodni urlopu
" dla wypoczynku.
" Żegnam pana i życzę mu powodzenia .

Dnia następnego wieczorem znalazłem się na przystani w Flissingen . Zimno było przejmujące , od morza wiał wicher pędząc po niebie ciężkie ołowiane chmury . Olbrzymie spienione fale rozbijały się z głuchym łoskotem o kamienną nabrzeżnę .
Statek nasz który powinien był odpłynąć zwieczora zmuszony był do pozostania w porcie do nia następnego . Nazajutrz niebo się przejaśniło i z za chmur zaczęło wyzierać słońce . Niestety morze było wciąż wzburzone i miotało naszym statkiem jak łupiną orzecha .

Nie jestem podatny do choroby morskiej ale tym razem widok moich współtowarzyszy podróży zmusił mnie do szukania coprędzej ratunku na pokładzie . Dostałem płaszcz marynarski i trzymając się kurczowo poręczy starałem się utrzymać na nogach .

Co za burza - rzekłem do przechodzącego oficera statku

Spojrzał na mnie zdziwiony - You call that storm , its just a little swalling of water" - odpowiedział.

Na statku spotkałem znajomego asystenta kilońskiej stacji doświadczalnej. Był to bardzo inteligentny żyd niemiecki . Dowiedziawszy się że nie mam jeszcze okreslonego planu co do mieszkania w Londynie zaproponował mi abym skorzystał z adresu znajomego mu pensjonatu . Nie znając stosunków londyńskich chętnie skorzystałem z tej propozycji i po przyjezdzie , prosto z dworca Victoria udałem się pod wskazanym adresem .

Był to pozornie jeden z typowych angielskich pensjonatów uniwersyteckiej dzielnicy Bloomsbury w pobliżu British museum , miescił się na Torrington Square o parę kroków od Tottenham Court Road. Nieoczekiwanie zamiast spokojnej atmosfery angielskiej znalazłem się w jakimś dziwnym towarzystwie składającym się z ludzi różnych narodowosc a spędzającym czas na jakichś tajemniczych obrządkach naradach i seansach spirytysty cznych . Pierwszego wieczora asystowałem na seansie na którym jakiś hindus potrafił zasugestjonować całe towarzystwo do takiego stopnia że znikła nam z oczu rzeczywistość i znalezlismy się na brzegu morskim jakiegos kraju egzotycznego . Ujrzelismy palmy usłyszelismy szum fal które sięgały prawie naszych stóp tak widocznie że panie zaczęły zbierać w ręce spódniczki i odsuwać krzesła .

Seans zaciągnął się długo po północy . Gdym się wreszcie położył , nie mogłem zasnąć mimo zmęczenia a po nieprzespanej nocy dnia następnego stawiłem się rano do ambasady.

Pierwszą osobą z którą się zetknąłem był attaché ambasady , Mój kolega z Liceum ks. Piotr Wołkoński .

" Gdzieś się zatrzymał- spytał mnie

Podałem mu adres pensjonatu . Chwycił się za głowę.

" Czyś oszalał zawołał z przerażeniem w głosie , wyprowadzaj się natychmiast ztamtąd

" Woźny ambasady pojedzie z tobą zabierze rzeczy a na czas pobytu w Londynie " zamieszkasz u mnie - Radzę ci bądź ostrożny Londyn nie należy do najbezpiecz - " niejszych miast na świecie .

" Powiedz o co właściwie chodzi - spytałem .

" Kiedyś się dowiesz a teraz wracaj mi stamtąd jaknajprędzej , a sprawdź czy ci " czasem nie znikły papiery oficjalne któreś zapewnie niebacznie pozostawił w " mieszkaniu ..... ty naiwny wieśniaku .

" Zresztą powiem ci krótko , adres tego pensjonatu jest znany dobrze naszemu " wojskowemu attache ... nie chcę stawiać kropki nad " i " .

Skorzystałem z ostrzeżenia i zaproszenia zacnego Pieti i zamieszkałem w jego mieszkaniu kawalerskim na Chesham Place o kilka domów od ambasady rosyjskiej .

Nazajutrz stawiłem się do ambasadora ALEKSANDRA hr Benkendorfa z pochodzenia niemca bałtyckiego z FÄLL w ESTONII posiadające wielkie dobra SOSNOWKA w gub TAMBOWSKIEJ NADANE BENKENDORFOM W R 1775 ~~w okolicach Dorpatu~~. Był to człowiek o wielkiej kulturze typowy przedstawiciel dawnego typu dyplomacji tak różnej od nowoczesnego typu demokratycznych snobów małpujących nieudolnie ludzi o innej kulturze innym pochodzeniu i innej " Kinderstubie ". Ale passons le mot

Radcą ambasady był pan Stanisław Koziełł Poklewski - polak brat Pana Wincentego z których domem rodzice moi byli zaprzyjaznieni .

Pan Stanisław należał do liczby zdolniejszych dyplomatów swego czasu . Dzięki swym osobistym walorom . olbrzymiej fortunie i przyjazni Króla Edwarda VII wreszcie rozległy stosunkom zajmował wybitne stanowisko w korpusie dyplomatycznym. Był to po za tem człowiek bardzo uczynny , przystępny i łatwy w stosunkach .

Radcą finansowym ambasady był również polak pan Mieczysław Rutkowski . W czasie mojej misji londyńskiej był moim bezpośrednim szefem , nieocenionym doradcą i przyjacielem .

Byłem bardzo zaabsorbowany moją pracą i lwią część dnia spędzałem w dokach lub w wielkich domach handlowych mieszczących się na St Helens Place w City . Na stosunki towarzyskie i zwiedzanie anglji pozostawało mi bardzo mało czasu.

Szczęśliwie udało mi się załagodzić całą sprawę i kosztem pewnej indemnizacji ze strony Rosji zakończyć sprawę polubownie unikając rozgłosu , który mógł by poważnie nadwerężyć zaufanie rynku angielskiego .

W załatwieniu sprawy najbardziej bruzdził mi attache rolniczy Poselstwa Duńskiego który nie przebierał w środkach aby usunąć niebezpiecznego konkurenta rosyjskiego.

O ile mnie pamięć nie myli , w kilka lat po tem zaszedł znowu podobny wypadek który tym razem pociągnął za sobą zamknięcie na dłuższy okres czasu eksportu syberyjskiego masła. Odtąd masło syberyjskie trzeba było skierowywać do Danji gdzie po przerobieniu i przepakowaniu wysyłano je dalej pod flagą duńską jako kuchenne solone duńskie masło eksportowe . Trzeba było kilku lat i wielkich starań aby na nowo zdobyć zaufanie rynku londyńskiego.

W czsie moich codziennych wycieczek do portów przejeżdżałem przez najbiedniejsze najbrudniejsze i najbardziej zaniedbane robotnicze przedmieścia Londynu .

Widok nędzy tam panującej , wynędzniałych zdegenerowanych dzieci , brudów i zupełnego zatracenia godności ludzkiej wreszcie bezustanne pochody bezrobotnych pozostawiły mi przygniatające wspomnienia . Muszę przyznać że najbiedniejsze dzielnice robotnicz Petersburga lub Moskwy nie mówiąc o krajach Europy zachodniej można nyło nazwać rajem w porównaniu do slumpsów londyńskich .

Ze względu na panujące zwyczaje w jadłodajniach robotniczych mieszczących się w pobliżu portu bochenki chleba były zapieczone na mocnym kawałku szpagatu którego koniec był uwiązany do gozdzia wbitego w scianę . Goscie krajali sobie kromki chleba nie mogli jednak schować bochenka do kieszeni lub pod połę .

Kiedyś w jednym z salonów west endu popełniłem mimowolnie wielki nietakt towarzyski wspominając o moich wycieczkach do wschodniej szęści Londynu zauważyłem że atmosfer nagle zesztywniała a pani domu, zauważyła z przekąsem że wogóle nigdy w życiu tam nie była i że zapewne przyznam że są ciekawsze tematy od slumpsów londyńskich .

Nigdy nie mogłem zrozumieć jakim cudem te dwa swiaty mogły egzystować obok siebie wzajemnie się ignorując i wzajemnie nie znając. W żadnym kraju nie spotkałem się z tak rażącym przeskokiem od zbytku do dna nędzy jak w stolicy świata .

Uprzedzono mi że poruszanie tematów dotyczących nędzy ludzkiej i dzielnic robotniczych jest uważane za szczyt złego wychowania odtąd unikałem starannie wrzystkiego co mogło by naprowadzić na mysl że poznałem wschodnie dzielnice londynu .

Zwyczaje i hipokryzja epoki wictorjańskiej tkwiły jeszcze głęboko w mentalnosci przeciętnego anglika.

Przez mego przyjaciela ks Wołkońskiego zostałem wprowadzony do paru " salonów " londyńskich , brałem udział w kilku polowaniach na lisa ze sławnym w owym czasie " huncie " Quorn w hrabstwie Leicester w okolicach miasta Melton Mowbrey spędziłem parę dni w Szkocji chcąc poznać kraj z którego pochodziła moja Babka .

Mimo wygodnego i barwnego życia czułem że z trudem mógł bym się zakorzenić w tym kraju atmosfera była nudna , sztywna i przygniatająca . Miałem ciągłe wrażenie że jakieś niewidoczne oczy scigają mnie i śledzą każdy mój krok a nieraz pytałem siebie gdzie jest ta osławiona " good old merry england "

Brak czasu stanął mi na przeszkodzie zwiedzenia gospodarstw angielskich zwiedziłem jedynie fermę królewską w Windsor i oglądałem sławnego stadnika shorthorna zwanego Roayl Duc sprzedanego [illegible] do Argentyny za Ł10.000 olbrzymią jak na owe czysy sumę.

Pobyt mój miał się ku końcowi. Na moje zapytanie otrzymałem odpowiedz Timiriaziew

z pozwoleniem na szesc tygodni urlopu .

Zdecydowałem skorzystać z tego czasu aby dopełnić moje wiadomosci przesłuchaniem wiosennych kursów ogrodniczych na Królewskim Instytucie Ogrodniczym w Geisenheimie nad Renem.

W pierwszych dniach Kwietnia z uczuciem ulgi opuszczałem Londyn udając się na Flissingen i Kolonję i pewnego wieczora znalazłem się w Hotelu Frankfurter Hof w Geisenheimie nad Renem gdzie już mnie oczekiwał M8j przyjaciel Otto von Kempis z którym umówilismy się zawczasu że odbędziemy wspólnie ten kurs.

P U S T E L N I K

Wiosna nad Renem była w pełnym kwieciu . Po skończonych wykładach chodzilismy z moim przyjacielem v. Kempisem na długie spacery po malowniczej okolicy , bywaliśmy często w Rauenthal na szklaneczce dobrego wina lub siadywaliśmy wieczorami na balkonie oberży zur Krone w Assmanshausen przy kieliszku czerwonego " Assmannashausen. Ny tle tych bladych wieczorów majaczyły w srebrzystej mgle po przeciwległym brzegu Renu kontury zamku zawieszonego w górze nakształt orlego gniazda. Powietrze przesiąknięte zapachem kwitnących drzew drgało od niezliczonych treli słowiczych . Gdzieś w dole płynęła rzeka .

Pewnego wieczora wyszliśmy na daleki spacer w góry Taunusu . W labiryncie scieżek straciliśmy powrotną drogę i brnęliśmy coraz głębiej w las . Mrok zapadał nie było rady zdecydowaliśmy przeczekać aż do świtu.

Gdyśmy tak medytowali nad naszym położeniem stanęła przed nami jakaś dziwaczna postać . Był to mężczyzna o białych włosach i długiej siwej brodzie. miał na sobie biały habit mnisi a na piersiach naszyty wielki czerwony krzyż.

- Widzę żeście zabłądzili - rzekł mnich - nie mam wiele do ofiarowania , ale
- postaram się dla was o wygodny nocleg , jakiś skromny posiłek i szklankę wina.

Przyjęliśmy z radoscią tę propozycję .

Szliśmy w milczeniu za naszym gospodarzem . Wkrótce w gęstwinie zamajaczyły kontury białego domku ukrytego wsród konarów olbrzymiego dębu .

- Panowie jesteście obaj katolicy , nieprawdaż- spytał nas.

Skinęliśmy potakująco głową.

- Prosiłbym abyście panowie zachować zupełną dyskrecję o waszym tu pobycie i
- naszym spotkaniu - rzekł po namyśle - B itte um Ehrenswort - Wciągnął do nas rękę .

Weszliśmy do schludnej izby o scianach wybielonych wapnem . Na kominie tlała kłoda dębowa rzucając krwawe blaski na mękę Pańską rozpiętą na wielkim czarnym krzyżu zawieszonym na ścianie . W powietrzu czuć było zapach fijołków w komnacie pełno było tego kwiecia . ... na stole . Wzdłuż ścian stały szafy i półki pełne książek

- Tyle lat rzekł do siebie nasz gospodarz , tyle lat nie było tu nikogo - raz
- ostatni pamiętam - tu się zamyślił - było to przed dziesięciu laty , jeden
- nieszczęśnik , nocował u mnie , Boże zmiłuj się nad tą grzeszną , biedną duszą .

Głos mu zadrgał . zdawało mi się że w oczach błysła łza i spłynęła po ogorzałej pomarszczonej twarzy .

Gospodarz nasz wyszedł i wkrótce powrócił z tacą w ręku na której było masło ser chleb i dzban wina .

- Nie mogą wam nic więcej ofiarować , pijcie to wino to jest stary Rüdesheim z tego
- dobrego roku.

Dziwne te nasze reńskie winn ... tyle w nim aromatu tyle jak by ukrytego słońca i wiosny .

- Jaki ten świat jest piękny dodał, czemu wy ludzie tak psujecie ten dar Boży ten
- ten cenny skarb jakim jest życie . Coście zrobili z tego swiata .
- Zapewne nigdy w życiu doczesnym już się nie zobaczymy , zapamiętajcie panowie
- te moje słowa. Oto nadejdą czasy straszne , nadejdą długie lat dziesiątki
- krwawej rzezi mordów i prześladowań , nadejdą zbrodnie tak okropne tak zwyrodnia
- łe że przejdą ludzką miarę a będą chyba dziełem szatana który zawładnie połową
- świata.
- Szczęśliwy jestem że już niedożyję tych czasów choć walka ze złem czeka na mnie i na tamtym świecie . Ale wy moi panowie , powiem wam jedno niech was Bóg strzeże .
- Jedne narody powstaną , zgubi ich własna lekkomyślność i egoizm jednostek inne
- zginą zgubi ich własna pycha , zarozumiałosc i nienawiść - ale o tem mówić

- Czy pan czytał Nitchego - zwrócił się nieoczekiwanie do mnie z zapytaniem
- Przecie to pański ziomek nazywa się Nencki .
- Pan przecie jest polak ? Skinąłem potakująco głową .
- Rzecz dziwna - ciągnął dalej - mieszanina dwuch ras daje czasem nieoczekiwane
- wyniki . Mieszanina szczepów słowiańskich i litewskich z germanami dała ludzkosci
- dała to co nazywamy prusakiem i co nazywamy filozofją Nitchego , dała wreszcie
- dzisiejsze niemcy .
- Tylko pycha tylko zarozumiałość , tylko bałwochwalcze uwielbianie siły fizycznej
- i skrajnego materjalizmu przykrytego płaszczem patryjotyzmu . Nitche to synteza
- ideologji pruskiej jeżeli wogóle zasługuje to na nazwę ideologji . To pierwszy
- zwiastun zbliżającej się światowej katastrofy .
- To ksiądz przepowiada koniec rasy germańskiej ? zapytałem zcicha .
- Czy pan zna legendę o Kyfhausen ?
- Tak odrzekłem , Barbarossa
- Wielki Barbarossa wstanie jeszcze a z nim wstaną nowe niemcy , wstanie kiedyś
- naród niemiecki z upodlenia , grzechu z morza zbrodni i krwi . Prusacy muszą
- zginąć bo oni są zródłem zła na świecie są w tej chwili narzędziem w ręku tych
- o których wolę nie mówic głośno a i panom radzę nie powtarzać jeżeli nie chcecie
- by i was nie dosięgneła krwawa bezwzględna i mściwa ręka z pod znaku ąąą.....
- Nasz zakon zginął w walce z nimi .
-Ale czasy pokuty i uspokojenia jeszcze nie nastały . Kiedyś z gruzów i popielisk
- powstaną nowe niemcy nowy naród odrodzony .... a wtedy może świat przestanie
- nas nienawidzieć .
-Dzisiejsi niemcy ale nie tylko niemcy są ślepi i głusi oczy ich zaciągnęły się
- bielmem i już nie zobaczą .... tu spojrzał na krucyfiks .
Obejrzałem sie mimowolnie , ogień na kominie buchnął czerwonym żarzewiem i zdawało

mi się że z korony cierniowej na głowie Chrystusa Pana spłynęła krew .

Pytanie zaczęło mi się cisnąć do głowy pytanie natarczywe ..... i zamarło na ustach .

Mnich spójrzał na mnie badawczo .

- Ja nie mogę panu odpowiedzieç a choć bym i mógł nie powiem wrzystkiego . Niech
- pan szuka w swoim narodzie w jego wielkich zaletach i wielkich wadach odpowiedzi
-Powiem jedno gdy nadejdzie czas wytchnienia nie łudzcie się że to koniec waszej
- drogi krzyżowej to nie koniec to dopiero początek. Strzeżcie się własnych zdrajców
- i własnych fałszywych proroków a zapewne prędzej dojdziecie do celu .
- Nie dowierżajcie tym którzy udają przyjaźń a was nienawidzą .
- Przed narodem pańskim daleka droga pełna zasadzek i przepasci ale dojdziecie do
- celu przejdą nad waszą głową burze i wypadki ale gdzieś na horyzoncie jasnieje
- jutrzenka zwiastująca pogodę i odrodzenie . W każdym razie choć jestem niemcem
- życzę pańskiemu narodowi jaknajlepiej .
- Ale późno już chodźmy na spoczynek .

Ułożylismy się na czystej pachnącej sianem pościeli i zasnęliśmy twardym snem młodosci . Słońce było już wysoko gdyśmy otworzyli oczy . W sąsiedniej izbie na stole znaleźliśmy przygotowane śniadanie i kartkę gospodarza w której nas przepraszał że zmuszony był wyjść wcześnie i wskazał na powrotną drogę przez Halharter Zange do Geisenheimu .

Był cichy pogodny poranek wiosenny . Pachniało czeremchą . Na listkach wiosennych buczyny na żółtych kluczykach błyszczały w słońcu wielkie krople rosy. Gdzieś zdaleka odezwała się kukułka.

Szliśmy w milczeniu . Raptownie Kempis przystanął i spójrzał na mnie.

- Jalowiecki weiss Du - spytał .
- Nein - odrzekłem
- der Rosenkreuzer !

Gdym po raz pierwszy opowiedział żonie mojej te spotkanie wyczułam w jej wzroku i zachowaniu niedowierzanie . Napisałem tegoż dnia do Kempisa z którym nie korespondowałem od wielu lat . Ucieszyłam się bardzo gdym po dziesięciu dniach otrzymał odpowiedź potwierdzającą całkowicie moje opowiadanie .

Na R U G J I

Jednym z domów Berlińskich licznie uczęszczanych przez młodzież dyplomatyczną był dom Hr Posadowskiego , Premjera Prus .

Hr Posadowski pochodził zapewne z zniemczonej szlachty pomorskiej . Był to wysoki dostojny pan o długiej siwiejącej brodzie i charakterystycznej postaci będącej stałym tematem do dowcipów i karykatur humorystycznego tygodnika " Fliegende Blatter . Państwo Posadowscy mieli cztery dorodne córki , i rzecz naturalna dokładali wszelkich starań aby przyciągnąć do swego domu jaknajwięcej młodzieży . Co czwartek odbywały się tam herbatki tańcujące gdzie obtańcowywaliśmy po kolei panny Posadowskie pilnie przestrzegając ustalonej towarzysko normy dwuch tour'ów walca naokoło wielkiej sali balowej. Panny Posadowskie były jednak tak do siebie podobne że na tym tle zdarzały się wciąż małe nieporozumienia , gdyż w wirze zabawy trudno było zapamiętać twarz tancerki .

Pewnego razu otrzymałem odpowiedź " Ich habe schon mit ihnen getantz aber meine Schwester tanzt nicht " / ja już tańczyłem z panem ale moja siostra nie tańczy / a biedny Edward Meysztowicz gdy po raz trzeci poprosił tę samę pannę do tańca otrzymał gr oźne ostrzeżenie " Ich werde gleich Mama sagen " W owych czasach powiedzenie mamie było poważnym ultymatum i groziło albo oświadczynami o rękę córki albo w najlepszym wypadku wymówieniem domu pod zarzutem bałamucenia panien z towarzystwa

Na jednym z takich wieczorków zwróciłem uwagę na wysoką przystojną brunetkę rozmawiającą na uboczu z oficerem huzarów .

Było coś dziwnie szlachetnego i powabnego w całej jej postaci . Miała na sobie świetnie skrojoną czarną koronkową suknię . Warkocz ciemnych włosów spleciony modą uwczesną nakształ korony odbijał od jej nieco opalonej twarzy i niebieskich a głębokich ja toń jeziora oczu . Nie miała na sobie żadnej biżuterji tylko wielki sznur pereł zwisał z jej szyii .

Mimowolnie podeszłem bliżej aby się jej przyjrzeć. Oficer stojący obok skinął na mnie poznałem w nim mego znajomego z klubu von Mackensena / późniejszego marszałka / w owym czasie majora huzarów śmierci / Todte Husaren /

Uprzejmie przedstawił mnie pani .

" Niech pan będzie sędzią rzekł do mnie Mackensen - różnimy się zasadniczo z " panią baronową co do wartości Trakenów i Hanowerów .

- Odrzekłem że chociaż nie znam przebiegu dyskusji obwawiam się że mój sąd wypadnie raczej na korzyść hanowerów tembardziej że miałem możność zwiedzenia obydwuch stadnin .

- Widzi pan panie majorze - zawołała baronowa - nawet attache rolniczy sąsiedniego - a sławnego z hodowli koni mocarstwa jest mego zdania , choç doprawdy nie wiem

- zwróciła się do mnie z uśmiechem, nie wiem czy pan się interesuje więcej końmi

- czy krowami w każdym razie rozmawiając z majorem radzę panu aby pan chwalił

- wrzystko co jest wschodnio pruskie .

Po kilku chwilach von Mackensen wycofał się z dyskusji pozostawiając mnie sam na sam z baronową .

W ten sposób korzystając z zaproszenia baronowej von Schwanenburg znalazłem się pewnego letniego dnia na małej stacyjce Sagard na wyspie Rugji w drodze do jej majątku położonego na wybrzeżu morskim . Przed stacją kolejową stała para rosłych kurtyzowanych szpaków zaprzężonych do żółtego breka . Stangret z uszanowaniem uchylił czapki .

- Panie baronie - rzekł - pani Baronowa wyjechała konno no pańskie spotkanie

- zapewnie spotkamy ją po drodze .

Było ciche upalne popołudnie letnie . Wjechaliśmy na szeroki piasczysty gościniec Po obu stronach ciągnął się bór sosnowy Pachniało rozgorzałą w słońcu sosniną żywicą i mchem .

Byliśmy już w głębi boru gdy stangret zwrócił się do mnie.

- Pani baronowa - rzekł

Nachyliwszy się w stronę ujrzałem zdaleka sylwetkę amazonki zbliżającą się powolnym kurc galopem w naszą stronę .

Siedziała na rosłym złotym kasztanie , ubrana była w szarą skromną amazonkę z melonikiem na głowie.

Ze sposobu siedzenia i prowadzenia konia zmiarkowałem od razu że mam do czynienie z amazonką niepowszedniej miary .

Podjechawszy skinęła przyjąźnie ręką , zeskoczyła z konie zwolniła popręg i rzuciła lejce groomowi . W parę chwil siedziała już przy mnie w breku .

- Rada jestem że widzę pana u siebie , uprzedzam zgóry że cały dzień jutrzejszy - spędzimy na koniu . Co za nowiny przywozi pan z Berlina .

Opowiedziawszy pokrótce najnowsze plotki towarzyskie stolicy przeszliśmy na tematy rolnicze.Byłem zdziwiony jej erudycją rolniczą zdrowym sądem i doskonałę orjentacją w stosunkach gospodarczych niemiec. Zresztą uprzedzono mnie w Berlinie że baronowa po śmierci męża poświęciła się całkowicie wychowaniu swej córeczki i gospodarstwu którym kierowała umiejętnie trzymając wrzystko żelazną ręką na swych kilkunastu tysięcach morgów .

Miało się ku zachodowi gdyśmy wjechali w aleję lipową i zatoczywszy krąg stanęliśmy przed wielką ponurą kamienną budową przypominającą wyglądem swym zamek krzyżacki.

Niech pan zbyt długo się nie przygląda fasadzie tego domu bo gotów pan na wstępie dostać czarnej melancholji . Pochlebiam sobie że wnętrze jest weselsze .

Johan,rzekła baronowa do starego kamerdynera czekającego w drzwiach dworu proszę odniesc rzeczy pana barona do jego pokoju . Za godzinę czekamy pana z obiadem - zwróciła się do mnie.

Baronowa miała rację wnętrze domu nie przypominało w niczem jego surowej krzyżackiej fasady . Jedynie wielka sień o ceglanej posadzce i scianach obwieszonych rogami i starą zbroją nie odbiegała od przeciętnego zamku baronów meklemburgskich lub

pomorskich natomiast wnętrze było urządzone z gustem swiadczącym o wysokim poziomie artystycznym właścicielki . Wszędzie było pełno kwiatów , na scianach wisiały przeważnie krajobrazy,akwarele i stare sztychy angielskie . Czuć było w całym otoczeniu rękę kobiecą .

Przebrawszy się w smoking zeszłem o oznaczonej godzinie na dół Baronowa przedstawiła mnie swojej ciotce starszej siwej dostojnej pani o twarzy jak by wyciętej z potretów rodzinnych i swojej córeczce prześlicznej ośmioletniej niebieskookiej blondynce w towarzystwie guwernantki angielki .

Jedzenie było świetne , wina przednie a sposób podania i przyrządzenia potraw przypominał mi najwytworniejszą kuchnię petersburgską .

Nie mogłem się powstrzymać od wypowiedzenia paru komplementów pod adresem szefa / przyznam się że od młodosci byłem czuły na dobrą kuchnię / mimochodem wspomniałem też prowincje bałtyckie .

- To pan zna Rygę spytała ze zdziwieniem

-Odpowiedziałem że Ryga jest moim najmilszym miastem uniwersyteckim .

-Czy nie był pan czasem w korporacji Arkonii ?

Skinęłem potakująco głową .

Teraz rozumiem zawołała wesoło - Mam wrażenie że bywał pan w domu moich rodziców baronów Transee na Tronfolger bulwar .

- Bywałem tam często w towarzystwie kilku kolegów odrzekłem .

Teraz rozumiem skąd pana znam , pamiętam go jako swieżo opierzonego a bardzo nieśmiałego fuksa Arkonji , i zwykle po wizycie u nas wybierał się do swojej babki czy ciotki marszałkowej Szemiothowej mieszkającej o piętro niżej , koledzy starsi nabierali pana jak mogli i zwykle przynaglali aby się pan nie spóznił do swojej babki .

Naraz przypomniałem sobie piękną panną Transee w której nie jeden z Arkonu kochał się skrycie .

- Było to dawno w roku 1895 , tegoż roku wyszedłem zamąż i wyjechałem na Rugję .

Odtąd rzadko odwiedzam moją kochaną Rygę . powiedziała baronowa .

Poczułem się od razu w dawnej miłej ryskiej atmosferze , język mi się rozwiązał , przypomnieliśmy dawne czasy i bal Arkonii i wycieczki saniami za miasto i dawnych przyjaciół i znajomych , i koncerty symfoniczne w parku Wermańskim i wiosenne toki głuszców pod Remershofem .

Gdyśmy wreszcie wstali od stołu baronowa zaproponowała mi cygaro i wyszliśmy z sali jadalnej na taras zamkowy zawieszonym nad urwistym brzegiem morza.

Noc była cicha miesięczna . Przed nami w blaskach księżycowych rozscielała się gładka jak lustro powierzchnia morza a gdzieś daleko na widnokręgu widać było białe kredowe urwiska Arkony spadające pionowo ku morzu .

Baronowa wskazała ręką ku północy

- Zmieniłam plany jutro jutro pojedziemy w tamtą stronę aby pan złożył ofiarę swoim
- bogom , Nigdy bym sobie nie darowała gdybym Arkonowi nie pokazała Arkony i świątyni
- światowida rzekła z uśmiechem .

- Czy pani nie czuje się czasem samotnie i smutno w tym starym zamczysku ? spytałem Poczułem na sobie zimne stalowe spojrzenie . Musiałem poczerwienieć jak burak wstydząc własnej głupoty , tembardziej że dostrzegłem charakterystyczne ruszenie ramionami . Baronowa wybuchła śmiechem .

- Poznaję w dzisiejszym dyplomacie dawnego fuksa arkonji , niech się pan nie peszy rzekła a ja wybaczam panu tę drobną gafę towarzyską i mam nadzieję będziemy dobremi przyjaciołmi rzekła trzepiąc mnie z ojcowska po ramieniu .

- Widzi pan ja nie jestem sama , mam dom pełen ludzi , mam cel w życiu wreszcie nie
- czasu na rozpamiętywania i smutki , miałem ich zresztą w życiu dosyć, zresztą
- przyznam się panu że o ile lubię przyrodę , muzykę , sztukę o tyle nie znoszę
- sentymentalności .

- Miałem męża którego kochałem nad życie . Moj mąż kapitan marynarki wojennej zginął
- jak gentleman ratując życie kolegi gdzieś w fiordach norwegskich .
- Ubliżyłabym jego pamięci gdybym nie dokładał wszelkich starań aby ratować innych
- ale tych co na to prawdziwie zasługują .

Dla egoistów , dla ludzi trawiących życie na samoanalizie i rospamiętywaniu własnych często nie realnych cierpień mam mało sympatji a jeszcze mniej swpółczucia . Jestem zarówno jak i pan katoliczką , a niech mi pan wierzy że pogoda ducha w nieszczęściu jest więcej warta i jest więcej chrześciańską od rozpaczy i łez a bohaterstwo życia i dnia powszedniego więcej warte od bohaterstwa śmierci .

Za moch panieńskich czasów znałem wielu z was arkonów , zresztą dom nasz jest spokrewniony ze szlachtą litewską wasza korporacja była szkołę charakterów i korporacją ludzi dobrze wychowanych ale i ona nie mogła często wyplenić w was tych usterek charakteru za które zapłaciliście waszę niepodległością i utratą waszej pięknej ojczyzny .

Jak żeccząsto mózmawialiśmy na ten temat z jednam z najbardziej wartosciowych pańskich starszych kolegów Dowgiałłą zwanym dogiem o ile mnie pamięć nie myli .

amilkliśmy oboje .

- Jaka dziś cisza - rzekła baronowa - czy pan uwierzy że bywają tu takie wieczory że
- słychać bicie dzwonów kościelnych z dalekiego Greifswaldu ale zato gdy przyjdą wichury
- jesienne to ryk morza zagłusza wrzystko a fale biją o brzeg z taką siłą że strumienie
- wody i piana morska zalewa podłogę tarasu na którym stoimy . W takie noce często
- słychać daleki przenikliwy śpiew dzikich łabędzi .
- Zresztą jam się przyzwyczaiła do szumu morza i sypiam najlepiej w burzliwe jesienne
- noce .
- Ale już późno ja wstaje o szóstej rano o osmej czekam pana przy śniadaniu a potem
- w drogę rzekła baronowa przeciągając mi na dobranoc rękę.

Dnia następnego po wczesnym sniadaniu byliśmy już na koniach . Dostałem rosłego gniadego wspaniałego huntera Jak wrzystkie huntery był twardy w pysku i miał tentedncję do ponoszenia jeźdca .

- Dałem panu konia dość trudnego w prowadzeniu ale przypuszczam że pan jest kawale-
- rzystą . W jakim pułku odbywał pan służbę wojskową - spytała

W W pułku konnych grenadjerów gwardii w Peterhofie odrzekłem .

- A więc jesśmy znowu " en pay de connaissance , gdyż pułkiem tym dowodził wuj mój
- Baron Pillar von Pilchau -

Odrzekłem że znałem barona osobiście i że z rodziną Pilarów jesteśmy zaprzyjaźnieni od lat dawnych .

Baronowa się zamyśliła . Teraz przypominam dobrze rzekła czy inżynier wojenny Jałowiecki o którym zawsze tyle dobrego słyszałem z ust mego wuja marszałka szlachty Liflandzkiej jest pańskim krewnym .

- Jest moim ojcem - odrzekłem

- Ach zawołał baronowa , to pan jest synem owego żelaznego generała , twórcy naszych
- kolei liflandskich tak bowiem zwano ojca pańskiego który cieszył się wielką
- popularnością wśród naszej szlachty bałtyckiej .

Spojrzała na mnie badawczo .

- Nie wiem czy pójdzie pan w ślady swego ojca - rzekła - wybrał pan najłatwiejszą
- i najwygodniejszą drogę życiową . Czy pan zamierza nadobre wsiąknąć w tę zatrutą
- atmosferę snobów dyplomatycznych ? - spytała

- Miałem na ustach odpowiedz,zamilkłem nie chcąc przerywać słów mojej towarzyszki

- Jeżeli jako starsza wiekiem a może i doświadczeniem mam prawo dać panu przyja -
- cielską radę , to niech pan wraca do siebie na rolę,do interesów , do walki życiowe
- niech pan lepiej pomaga ojcu ..... doprawdy szkoda czasu i pieniędzy na siedzenie
- w Berlinie to zajęcie nie dla prawdziwego mężczyzny a szczegulnie syna takiego
- człowieka jakim jest ojciec pański .

- Pani baronowo rzekłem nie dalej jak przed kilku miesiącami słyszełme podobną

radę z ust mego dawnego szefa barona Wangenheima z Klein Spiegel na Pomorzu .

- Co słyszę to był praktykantem w Klein Spiegel - zawołała zdziwiona - Wangenheim to

- bliski krewny mego nieboszczyka męża , bardzo kocham tę całą rodzinę ...• to są

- wyjątkowi ludzie .

- Powiem nawet panu że słyszałem od wuja że miał takiego praktykanta gdzieś z dalekie

- nadbałtyki czy Litwy , nawet powiem pod sekretem że chwalił pana jako sumiennego

- i pracowitego ucznia ale wielkiego snoba , zresztą nie jest to żaden zarzut

- osobiscie wolę nawet pewnę dozę umiarkowanego snobizmu bo to zmusza ludzi do

- podciągania się wzwyż zawołała wesoło ,

Na wspomnienie Klein Spiegel poczułem że krew uderzyła mnie do głowy.

Baronowa spojrzała na mnie badawczo i uśmiechnęła się zagadkowo .

Rozmowa się urwała gdyż w tej samej chwili staną przed nami opalony starszy siwy

mężczyzna rządca folwarku przez który wiodła nasza droga .

- Panie Hofman czy pan oddzielił jałowice które mamy wysłać na wystawę rolniczą w

- w Berlinie ?

- Tak jest , Pani Baronowo

- Niech pan zajrzy na pole buraczane tam od lasu , mam wrażenie że buraki straciły

- kolor , czy pan już zastosował dawkę saletry .

- Dałem przed dwoma dniami około dwuch centnarów pojedyńczych na hektar , rzekł

tonem służbowym rządca

- Jeszcze jedno zwróciła się do rządcy baronowa proszę nie dalej jak jutro oczyścić

- rów ściekowy na łące , przypominałem już o tem panu

Rządca dotknął ręką kapelusza ruszyliśmy w dalszą drogę .

Koło południa stanęliśmy na urwistym brzegu Arkony . Na dole szumiało morze a

gdzieś na horyzoncie w niebieskawej mgle odcinała się linja brzegów Szwecji .

Dzień był upalny . Należało dać koniom wypoczynek . Zajechaliśmy do starej

pokrytej słomą oberży i pozostawiwszy konie pod opieką stajennego zasiedlismy w cieniu rozłożystej lipy za zasłużony posiłek , byliśmy oboje głodni , i butelkę chłodnego reinwejnu .

Słońce się schowało za ciemną smugę boru i tylko ostatnie jego promienie czerwieniły wierzchołki drzew gdyśmy wjechali w aleję lipową prowadzącą do dworu .

Baronowa zwolniła tępa i przeszła w krok :

- Niech pan uważa na konia bo gotów pociągnąć pana do stajni a gdy się zerwie w - galop żadna siła nie zdoła go powstrzymać .

Był czas najwyższy gdyż koń zaczynał się niecierpliwić na dobre i czułem że lada chwila przestanę nad nim panować

Dnie mijały szybko , zwiedziliśmy gospodarstwo , byliśmy w lasach bukowych na Stuben-kammer i nad brzegami ukrytego w głębi leśnej jeziora Herta gdzie podobno dawniej stała świątynia Swiatowida po której pozostały jeno zwaliska i złomy kamieni .

Trzeba było wracać do Berlina .

Przy pożegnaniu baronowa . wzięła mnie za słowo że skoro zakończę moją misję w Berliie i wróce do rzeczywistości dnia i pracy powszedniej nie omieszkam dać jej znać o sobie

- Niech pan pozdrowi przy spotkaniu Wangenheima no i resztę rodziny dodała z uśmiechem . Jeżeli będę w Berlinie dam panu znać o sobie i myślę że pan mnie zaprosi na dobre sniadanie .

- Do Dressela czy Hillera pani baronowo - spytałem .

- No naturalnie do Dressla odrzekła wes

Konie ruszyły .

S P O T K A N I E

Zbliżał się termin konferencji mającej ustalić ostateczne warunki umowy celnej pomiędzy Rosją a Rzeszą Nimiecką . Na barki naszego szefa exelencji Timiria - ziewa spadła ciężka praca przygotowania materjałów wreszcie perspektywa przewodniczenia na konfernecji. Tymczasem Timiriaziew z przepracowania rozchorował się poważnie a lekarze stanowczo zalecili mu dłuższy wypoczynek .

Wobec choroby głównego aktora odłożono konferencję " ad calendas grecas " zdaje się ku zadowoleniu obu stron.

Korzystaliśmy z Meysztowiczem z nieoczekiwanych wakacji tembardziej że Meysztowicz jako zastępca Timiriaziewa był bardzo skrępowany i nie miał w gruncie rzeczy prawa decyzji nawet w sprawach trzeciorzędnej wagi .

Mając sporo czasu Meysztowicz używał częstych konnych spacerów w Thiergartenie W czasie moich przyjazdów do Berlina towarzyszyłem mu zwykle w jego wyczynach sportowych które dla mego towarzysza kończyły się nie zawsze pomyślnie szczegulnie od czasu gdy nabył narowistą a łatwo ponoszącą szkapę którą trzymał w maneżu na KOnigin Augusta Strasse . Meysztowicz był więcej dyplomatą a mniej kawalerzystą .

Pewnego jesiennego poranka wracaliśmy stępa szeroką zasypaną żółtym liściem aleją lipową . Przed nami ukzała się postać jeźdzca w którym poznaliśmy Cesarza Wilhelma , jechał krótkim galopem w towarzystwie swego adjutanta .

Na widok Cesarza uchyliliśmy kapeluszy .

Byliśmy nie mało zdziwieni gdy Cesarz skinieniem ręki zatrzymał nas .

- Jak zdrowie exelencji Timiriaziewa spytał .

- Lepiej - Majastet odrzekł Meysztowicz

- Proszę się od mnie kłaniać i życzyć exelencji powrotu do zdrowia , Jaki piękny - ranek panowie nieprawdaż ! - zawołał i ruszył dalej galopem .

- Widziałeś - rzekł Meysztowicz - poznał mnie od pierwszego wejrzenia !

- Nie wiem czy ciebie czy mnie czy nas obojga , ale mniejsza o to a każdym razie

- należy przyznać że Cesarz ma pamięć zgoła niepospolitą - odrzekłem .

P O W R O T

Pod wiosnę roku 1903 otrzymałem od mego ojca list wzywający mnie z powrotem do domu. Ojciec potrzebował mojej pomocy w związku z przebudowaniem naszego dworu i rozpoczęciem meljoracji torfowych w Syłgudyszkach .

Spadło to na mnie bardzo raptownie i nie byłem wcale przygotowany do opuszczeni srodowiska w którym czułem się bardzo dobrze .

Moja praca w Berlinie była bardzo interesująca , poznałem wielu ciekawych ludzi zwiedziłem sporo gospodarstw , objechałem dosłownie całe Niemcy od nadmorskich łęgów Fryzji aż do podnórza alp bawarskich od Prus Wchodnich aż po brzegi Renu

Skorzystałem i nauczyłem sie wiele .

Wreszcie od lat bodaj dziecinnych miałem jakąś instynktowną niechęć i lęk przed wschodem jakieś podswiadome uczucie strasznego płynącego z tamtąd niebezpieczeństwa . Polubiłem Zachodnią Ueropę jej piękne dobrze zagospodarzone tonące w zieleni sadów wsie i dwory pańskie , polubiłem jej pełne tradycji grody , jej piękne świątynie i zamki rycerskie , polubiłem wreszcie zachodnią praworządność czystość i dobrobyt .

Miałem też poważną rozmowę z moim szefem Timiriaziewym który mnie pomawiał że opuszczam go w chwili najpotrzebniejszej .

Nie było jednak rady Ojciec mój był stanowczy i wystosował pismo przynaglające mój powrót do domu .

Zaledwie miałem czas pożegnać moich znajomych i przyjaciół , odwiedzić Klein Spiegel gdzie pożegnany serdecznie przez mego szefa i jego rodzinę otrzymałem przyjacielskie zapwenienie że w każdej chwili mogę liczyć na jego radę i pomoc .

Wreszcie wierny słowu napisałme list do baronowej Schlägentin że opuszczam " zatrutą atmosferę snobów dyplomatycznych ". Byłem mile zdziwiony gdy otrzymałem telegram oznajmiający o jej przyjeździe . Zaprosiłem ją na " dobre śniadanie " do Dressla i tegoż wieczora odporowadzony przez liczną grupę przyjaciół i znajomych siadłem

na dworcu Friedrichstrasse do kurjera Petersburgskiego .

Czułem że znowu odwróciła się karta mego życia że przeszło coś do czego się już nigdy nie wróci wrszcie z wielu względów wolałem pozostać jeszcze przez pewien czas zagranicą i nie wracać do kraju zanim się pewne rzeczy nie ułożą i nie wyświetlą .... los chciał inaczej .

Mieczysław Jałowiecki

Londyn 22.9.61

Kochany Mieczysławie,

W zeszły piątek byłem na pogrzebie śp. Płk. lek. Wł. Bandrowskiego. Skorzystałem z okazji wypełnienia tego, co mi oddawna leżało na sercu. Pomodlić się na grobie śp. Żon, które b. kochałem.

Dziękuję Ci za gościnność i ciekawą rozmowę.

Było niespodzianką dla mnie, żeś w 1898 r. służył w Kon. Gren. gw.

Piszę Ci więc co może Cię zaciekawić, z tego co wiem.

Na jesieni 1917 r. formował się w Antoninach 2 p. uł. W. P., który potem przyłączył się do I Korpusu na Wschodzie Generała Dowbora Muśnickiego. Z żołn. Polaków z 2 Dyw. Kaw. gw. i 10 ej Dyw. Kaw.

Do Pułku 4/szw. 2 uł. przyłączyłem się 23 kwietnia 1918 r. w Bobrujsku, jako Porucznik, z Legji Oficerów Jazdy. Pułk składał się.

Dowódca Rotmistrz Kwatermistrz Warakiewicz. Płk Moniuszko Płk Ślaski Tokarzew.

1 szw. Trzy plutony Konnych Grenadjerów. 1 pluton Lejb dragonów. Konie
Dowódca podrotm. Wincenty Jasiewicz: ppr. Żuliński (po zmianie wszystkie kare.

2 szw. 53 konie z Lejb ułanów. Pluton 15 p. Pogran. Kon. (Płk Pułk. Bulaczkow)
Dowódca podrotm. Witold Cieślewski z Kamiennej: z Ostrogard Kurat.) Konie kasztany.

3 szw. 2a plutony Odesskich ułanów. 2 plutony Ingermanlandskich huzarów
Dca podrotm. Bojęcki (jest w „Ogniśku" pułk. 41 Pz) Konie ryże i siwe.

4 szw. 2 plutony Lejb Dragonów 2 plut. Nowgorodskich drag.
Dca podrotm. Zelisławski por. JPy Konie gniade.

5 szw. b. Zapas. szw. 1 p. ułanów, Dca podrotm. Harakalło Horawski.
(pluton Kon. super. ppr. Mański) Konie różne.

6 szw. b. Zapas. szw. 3 p. ułanów („Selekt ułani" z Mińska ochotnicy)
Dca rtm. Kelpo. Konie różne.

Szwadron Karabinów Maszynowych / Kulomiotowy. 2 plutony — z 10 Dyw. Kaw. ros. Dca por. Szreiczyński

Konie różne

Żołnierze Polacy Królewiacy. Kaliskie. Warszawskie. Wieleckie.
przeważnie.
W Plutonie Trębaczy był Kapelmistrz wr. Wiltos b. Kapelm. Kon. Gren.
Napisał On Marsz 2 p. ułanów – był z Pułkiem do 1939 r.
Pamiętam również Trębacza z tego Plutonu. Nazwiska nie pamiętam.
Z Kon. Grenadjerów wydzielił się ze Srebrną Georgjewską trąbą nie stały
grał przez 5 lat. Grał na niej i w 2 p. uł. Co się potem z nią stało
nie pamiętam, po demobilizacji w Bobrujsku.

Po wybuchu rewolucji w Rosji: Pułk Kirasjerów Cesarza otrzymał nazwę
Podolski – na pamiątkę włączonego doń Pułku z Warszawskiej gwardji.
w 1831.
Pułk Kirasjerów Cesarzowej otrzymał nazwę Gatczyński.
Lejb ułani – 1 pułk ułanów Gwardji. Ułani gw. Cesarza – 2 p. uł. gw.
Konie w 2 p. uł. były wymieniane w szwadronach, aby ludzie nie sądzili
Maj 1918 I korp.
że to ich, a nie Państwowa Polska własność.

1e plutony miały maść najciemniejszą, 4e najjaśniejszą.
Przy formowaniu się 2 p. uł. w Polsce w 1918 r. konie początkowo
były w plutonach 1y kare 2gi gniade 3ci kasztany, 4y siwe.

Potem w 1920 r. 1 szw. siwe – dowodziłem nim pod Kijowem podczas
walk z Budiennym (szwadron Kutnowski)
2 szw. kare 3ci (Kaliski) kasztany 4y szw. gniade, Kon i 5 ty gniade
(kaliski) i siwe szw. b. 5 y Podlaski i 4o student Uniw. Warszawy Kasztany
plutony Szczegóły
O ile będzie to dla ciebie drogi Mieczysławie możliwem,
przypomniałbym, abyś i u mnie był. Londyn–Wandsworth–
92 St. Ann's Hill S.W. 18. Telef. VAN 2922.
Tymczasem pisz i mały co pamiętasz. To takie cenne dla Historji i tradycji
Ściskam Cię serdecznie. Panom znajomym ucałowania rąk
Panom ukłony Tyczaj. Wybacz dopiski dla wyjaśnienia.
Jerzy R.

Dla Pani Łutowskiej: „Na wiosnę 1920 r. kończyłem Szkołę Kawalerji w Przemyślu.
Z nas partii Grudziądz ze mną skończył mój przyjaciel porucznik Jan
Krzysztoporski z 17 p. uł., zginął w Maju 1920 pod Korostyszewem
na Ukrainie." Był on z 1 p. Kirasjerów Niem. z I Wojny Europ. Był ze Śląska
Niemieckiego."